



# SYRENA



ROK XXIII  
PARYŻ—LONDYN

# ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca o wolność

Nr 15/16 (1083-4/815-6)

CZWARTEK, 11-18 kwietnia 1963

## ODEZWA WIELKANOCNA

Wielkanocny hymn „Exsultet” opiewa nam drogi zbawienia ludzkości poprzez tysiąclecia. Wszystkie te drogi schodzą się w Chrystusie Zmartwychwstałym.

On jest Zbawicielem, jest spełnieniem wszystkich nadziei i tęsknot.

Radując się z Rezurekcji Pana naszego, dziękujemy Mu że przed tysiącem lat podniósł nasz Naród z chryzmalnicy i wcielił go do Rodziny Bożej, którą jest Kościół. Dziękujemy Chrystusowi za liczny poczet świętych Rodaków naszych, którzy w niebie Boga twarzą w twarz oglądają i za nas się modlą. Radujemy się z czynnej Wiary Ojców naszych, co jako prawi synowie „zawsze wiernej Polski” przykładem nam świecą w szerzeniu królestwa Bożego na ziemi.

W tym Chrystusowym pochodzie kroczyli również ci, co razem z nami walczyli przeciwko potęgom ciemności i dziś na licznych cmentarzach wojennych chwalebnie oczekują zmartwychwstania. Tak jak w Polsce wyruszyliśmy w procesji rezurekcyjnej na cmentarz, by krewnym i przyjaciółom zaśpiewać radosną wieść o Zmartwychwstaniu Pańskim, tak i my na Emigracji dziś chcemy odwiedzić czcigodne groby naszych poległych Braci lub też w kościołach gorąco za nich się modlić.

Życząc Wam, Drodzy Bracia, Wesołego Alleluja, proszę Boga, byśmy wszyscy przez Sakramenty wielkanocne oczyszczeni, rzetelnie się przygotowali do radosnego obchodu Tysiąclecia Chrztu Polski, które stanowić będzie drugi kamień milowy w pochodzie naszego Narodu do chwaty Bożej i wielkości naszej Ojczyzny.

Serdecznie Wam błogosławie

† F. JÓZEF GAWLINA  
Arcybiskup, Opiekun Emigracji

JAN KUNERT

## WIELKANOC W NORWEGII

Oslo, w kwietniu.

Napisał Hemar w r. 1949 wiersz pt. „Piosenka o przychodni”, pamiętam ostatnią zwrotkę:

.. Tak daleko — patrz — a tak blisko,  
Czemu tży ciekną z lic?  
Bo kiedyś, kiedy miałem to wszystko,  
To myślałem — psia krewn — że  
to nic! ...

Chodziło oczywiście o Lwów, o chlib kulikowski, o wodę dobrostańską, o jakąś Wiśkę czy Nastkę, o to wszystko co pozostało za nami, lecz codziennie wraca najczulszym wspomnieniem i rozściela się w sercu żarliwym przywiązaniem. Mnie w tej chwili nie chodzi o Polskę z jej tysiącletnią chwałą, ani o mój Lwów z jego wypróbowaną wiernością, chodzi mi o jedną tylko małą rzecz, bardzo przyziemną i może nieważną a jednak niezapomnianą. Kiedyś, kiedy ją miałem, to myślałem, że to nic, dziś jakże mi jej brak. Wpatrzony czujnie w tamte lata i strony widzę polski stół wielkanocny a szczególnie wyraźnie tradycyjne śniadanie przy tym stole w pierwszym dniu świąt. W każdej polskiej rodzinie zamieniało się śniadanie wielkanocne w wyszukaną ucztę, w dogłębne przeżycie, w rozkosz zmysłową po której trzeba było pić senes lub wodę Franciszka Józefa, chodzić z kompresem na głowie, ale na przyszły rok znowu nie można było się tego śniadania doczekać i znowu z ochotą się do niego zasiadało.

A w Norwegii nic z tego, nie ma śniadania, nie ma rozkoszy, nie ma po czym biegać do apteki, nie ma w ogóle takich świąt. Są — lecz nie w domu, nie w rodzinie, rozdrabniają się w przestrzeni, w górach, na śniegu.

Niespełna 800 km (w linii prostej) dzieli brzeg norweski od brzegu polskiego, oba kraje leżą w Europie, w obu żyją ludzie biali, oba są chrześcijańskie a jaka ogromna różnica obyczajów. I tradycji i mentalności i upodobań. Po prostu ogień i woda.

W długim łańcuchu wzajemnych różnic widoczne ogniwo stanowi Wielkanoc. W Norwegii wypada ona pod każdym względem inaczej niż w Polsce. Najpierw pod względem atmosferycznym. Dorosły człowiek może na palcach jednej ręki policzyć takie lata w swoim życiu, w których pogoda na Wielkanoc była zła. Zła t.zn., że nie było czystego nieba i słońca. Może leżeć mniej lub więcej śniegu, może być zimniej lub cieplej, ale rok w rok niebo jest bezchmurne od świtu do zmierzchu i leje się słońce. „Poskewer” (fonetycznie) czyli „pogoda wielkanocna” nazywają Norwedzy to istotnie niezwykle zjawisko. Bywają często zmienne lata i zimy, może wypaść maj deszczowy lub październik suchy i na odwrót — nigdy prawie nie odmienia się pogoda na Wielkanoc. Oczywiście, Wielkanoc jest świętem ruchomym, raz może przyjść w drugiej połowie marca innym razem

(Dokończenie na str. 6)

### Wesołego Alleluja!

Czytelnikom, Przyjaciółom  
i wszystkim Polakom  
ż y c z y  
Redakcja i Wydawnictwo  
„Orla Białego—Syreny”

Następny numer OB/Syreny  
ukaze się po tygodniowej  
przerwie świątecznej z datą  
25 kwietnia.

## NIE ZABIJAJ!

Mówi Prymas Polski  
w obronie przyszłych  
pokoleń

Mocno zabrzmiały słowa Prymasa Wyszyńskiego w kazaniu wygłoszonym na zakończenie rekolekcji dla lekarzy w Warszawie. Potępił spędzanie płodu i sztuczne zapobieganie ciąży.

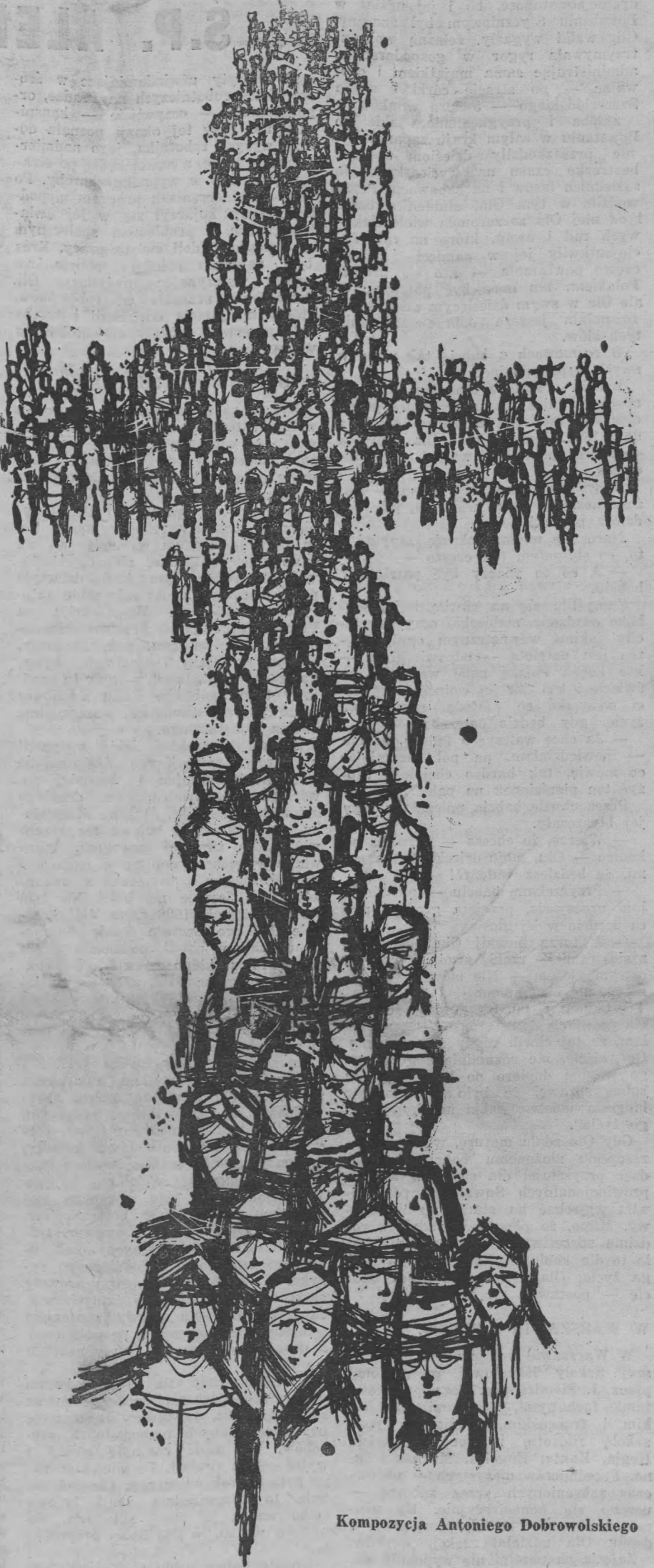
Dokoła sprawy przeludnienia czy nadmiernej ilości urodzeń — zwłaszcza w krajach o niskim poziomie rozwoju gospodarczego i kulturalnego — toczy się dyskusja od długiego czasu. Indie uznały problem za najbardziej palący ze wszystkich. Różne instytucje międzynarodowe, zwłaszcza skupione dokoła Organizacji Narodów Zjednoczonych, przeprowadzają studia i ogłaszają wnioski alarmujące. Nie upływa tydzień by któryś z badaczy lub któraś z instytucji nie wystąpiła z rewelacją na temat zaskakującego tempa przyrostu ludności. Zapowiedzi, że za lat dwadzieścia, pięćdziesiąt czy sto zabraknie nie tylko żywności, lecz i miejsca na świecie przestały nie tylko przerażać lecz nawet bawić.

Problem jest prawdziwy a obawy nie są nowe, chociaż upłynęło sporo czasu od złowrogich a niespełnionych dotychczas przepowiedni Malthusa. Podniesienie możliwości rolnictwa i przemysłów spożywczych, wyzyskanie zapasu nieuprawianej ziemi, znalezienie żywności w morzach lub w procesach chemicznych — to jeden z aspektów towarzyszących próbom znalezienia odpowiedzi na niepokojący okrzyk: jest nas, względnie będzie nas, za dużo. Z tym aspektem łączy się cały szereg dodatkowych, rzędu gospodarczego i kulturalnego. Wszystkie można zmieścić pod jednym hasłem: walka o podniesienie produktywności w krajach zacofanych lub niedostatecznie rozwiniętych.

Pozostaje aspekt moralny. Ten instytucje międzynarodowe gotowe są pomijać milczeniem a wiele ugrupowań religijnych skłania się ku coraz bardziej elastycznej jego interpretacji. Kościół katolicki nie odstępował od poglądu, że wstrzemięźliwość seksualna, co wcale nie jest równoznaczne z abstynencją, jest jedynym moralnym sposobem zmniejszenia ilości urodzeń. Wszelkie inne sposoby kwalifikuje jako morderstwo. Nie inaczej zakwalifikował je Prymas Wyszyński.

Lecz nie ograniczył się tylko do przypomnienia nauki Kościoła. W kazaniu swym zajął się niebezpieczeństwem celowej i planowej depopulacji Polski. Właśnie Polski. Akcją depopulacji prowadzi reżim w Polsce rządzący. Propaganda, jak dotychczas, daje wyniki skromne, choć spadek ilości urodzeń już się zaznaczył. Niemniej, lub tymbardziej, wzrasta nacisk na lekarzy, szpitale i na społeczeństwo by stosować spędzanie płodu niemal jako regułę, a nie jako wyjątek.

Prymas nie przebiegał w słowach. Nazwał politykę reżimu ludobój-



Kompozycja Antoniego Dobrowolskiego

stwem. Porównywał ją z ludobójstwem jakie stosowali Niemcy w komorach gazowych wobec mieszkańców Polski.

Staną więc nie tylko w obronie moralności, lecz także, i to w sposób odrzucający z góry wszelki kompromis, w obronie interesu narodowego Polski, w obronie jej przyszłości.

W Polsce nie ma żadnego powodu do obaw tego typu jakie żywią Indie. Argumenty w rodzaju „brak mieszkań”, „perspektywa bezrobocia”, „trudności przemysłu pracującego na potrzeby konsumpcyjne” — świadczą tylko o niezaradności i kompletnej indolencji gospodarki komunistycznej. Polska przeludniona nie jest. Jej przyrost naturalny, duży po wojnie, nie prześcignął rozwoju technologii. Gdyby nie gospodarka komunistyczna Polska w dzisiejszych granicach swój

pulał bezpieczeństwa widzieć by mogła w rejonie 80 milionów mieszkańców. Ma ich trzydzieści.

Przyczyny istotne uzgodnionej z Kremlem polityki depopulacyjnej rządu komunistycznego i partii leżą gdzieindziej. Nie jest wcale paradoksem czy nieporozumieniem, że polityka zwiększania ilości urodzeń w rosyjskiej części Związku Sowieckiego znajduje swój odpowiednik w polityce zmniejszania ilości urodzeń w Polsce. Nie licząc Chin, Polska jest nie tylko najmniej pewnym psychicznie krajem bloku sowieckiego, lecz jest jednocześnie najliczniejszym.

Polaków jest za dużo nie z punktu widzenia interesu Polski, lecz z punktu widzenia interesu Rosji Sowieckiej. Im mniej będzie potencjalnych wrogów komunizmu, im mniej podej-

(Dokończenie na str. 3)

FP 2156

W Domu Karoliny z Truskolaskich Zahorskiej w Suwałkach panowały tradycje powstańcze, bo i jej udział w Powstaniu Styczniowym był znaczący. Gdy walki wygasły, żelazną wolą utrzymywała rygor w gospodarstwie, administrując sama majątkiem i chowając — po stracie córki i zięcia Szczerbińskiego — 5-cio wnuków.

Żaloba i przynębianie, jakie po Powstaniu w całym kraju zapanowały, nie przeszkodziły dzieciom spędzać bez troski czasu na wycieczkach do sąsiednich lasów i na zabawach. Prym wodzila w tym Ola, ulubienica babci i od niej Ola zaczerpnęła wiele ciekawych rad i uwag, które na całe życie utkwiliły jej w pamięci. Babcia często powtarzała — kto się urodził Polakiem, ten musi być patriotą, — ale Ola w swym dziecięcym umyśle nie rozumiała jeszcze dobrze znaczenia tych słów.

O rozmowach z babcią tak pisze w swych wspomnieniach:

Babcia — stale w czarnym stroju — nosiła również na znak żałoby pierścionek z tabliczką z czarnej emalii z datą 1863. Jednego razu Ola zapytała — babciu, pozwól mi włożyć ten pierścionek.

Wstrząsnęła przecząco głową — możesz nosić go tylko wówczas, gdy będziesz patriotką Olu.

Nareszcie miałam okazję zapytać o to, co słyszałam tak często —

— A co to znaczy być patriotką? babciu.

Zamyśliła się na chwilę i jej głęboko osadzone, niebieskie oczy zaświeciły jakimś wewnętrznym ogniem — ten jest patriotą — odpowiedziała — kto kocha Polskę nade wszystko na świecie i kto dla jej wolności poświęci wszystko co posiada, nawet swe życie, gdy będzie potrzeba.

— Ja chcę walczyć o Polskę, babciu — powiedziałam, na pół rozumiejąc co mówię, tak bardzo chciałam włożyć ten pierścionek na palec.

Przez chwilę babcia milczała a oczy jej błyszczały.

— Wierzę, że chcesz — odrzekła na koniec — Olu, moje dziecko, przyrzec mi, że będziesz walczyć!

— Przyrzekam, babciu — powtórzyłam uroczyście, przejęta grozą i mocą uczucia w jej głosie.

— A teraz biegnij Olu i baw się z siostrami — rzekła swoim zwykłym, ostrym głosem — Nie mów o tym nikomu, ale nie zapomnij!

Wyszłam z pokoju dumna, że babcia powierzyła mi taki sekret; czułam, że tej chwili nigdy nie zapomnę. Oczywiście, nie rozumiałam wtedy jego wagi i dopiero po latach zdałam sobie sprawę, że było to właściwe błogosławieństwo babki na drogę mego życia.

Gdy Ola zdała maturę, wierna przyrzeczeniu złożonemu babci, nie widząc przyszłości dla siebie w małych prowincjonalnych Suwałkach, postanowiła wyjechać na studia do Warszawy. Mimo, że pomysł wzbudził w rodzinie sprzeciw, wo wówczas nie była to dla kobiet ogólnie przyjęta droga życia, Ola — poparta przez babcię — postawiła na swoim.

#### W WARSZAWIE I W PPS.

W Warszawie wstąpiła Ola do Wyższej Szkoły Handlowej prowadzonej przez J. Siemiradzka. Poza przedmiotami fachowymi, językami niemieckim i francuskim, studiowała poza szkołą filozofię i ekonomię, dzieła Hegla, Kanta, Engelsa, Marksa i inne. Przedmiotów ojęzycznych — podówczas zabronionych przez zaborcę — uczono się konspiracyjnie. By uzupełnić skromny budżet otrzymany z domu, Ola udzielała lekcji języków.

Zajęcia na uczelni nie wypełniły zainteresowań Oli, a Warszawa wciągnęła ją w wir życia młodzieży intelektualnej. Pochłaniały Jej uwagę konspiracyjne ruchy niepodległościowe i w nurty te z przejęciem się wsluchiwała. Imponowała Oli postać przywódcy Ligi Polskiej, uczestnika Powstania Styczniowego, opromienionego sławą Zygmunta Miłkowskiego-Jęzka. Gdy jednak w programie Ligi Polskiej walka zbrojna o niepodległość zeszła na plan drugi, stał się dla Oli bardziej atrakcyjnym program PPS, w którym walka zbrojna była silnie podkreślona. Tym bardziej, że zaczęły ją interesować i problemy społeczne, gdy po skończeniu studiów przyjęła posadę urzędniczą w fabryce wyrobów skórzanых z Woli u p. Horna i tam zetknęła się z dół robotnika. Wówczas to w 1904 r. wstąpiła do PPS., przyjmując pseudonim „Ola“. Był to krok śmiały, ryzykowny, działalność bowiem polityczna była nie tylko zabroniona, ale srogo przez zaborcę tępięna. Zdemaskowanie przynależności do partii groziło sądem, więzieniem i zsyłką.

Początkowym zajęciem Oli w partii

KAZIMIERZ IRANEK-OSMECKI

## Ś.P. ALEKSANDRA PIŁSUDSKA

były odezwytymi uświadamiwiającymi w środowiskach robotniczych na Pradze, organizowane — oczywiście — konspiracyjnie. Przy tej okazji poznała dobrze wyzysk robotnika, jego nadmierną pracę, biedę, a nawet nędzę po stracie pracy lub w wypadku choroby. Po tych doświadczeniach program niepodległościowy kojarzył się w jej świadomości z problemem społecznym — z poprawą doli świata pracy. Kres tym zajęciem położyła policja rosyjska wszczynając inwigilację Oli. Ostrzeżenie przyszło od robotników, którzy inwigilację dostrzegli i trzeba było przerwać odezwytymi dla uniknięcia wstępy.

#### W ORGANIZACJI BOJOWEJ

Był to okres niezwykłego niepokoju w Rosji, toczącej wojnę z Japonią, wywołanego niesprawiedliwością społeczną i głodem; wybuchły strajki i ruchy głodowe krwawo tłumione przez policję i wojsko.

Ferment ten ogarnął i Polskę przygotowując rozmiary rewolucyjne, a poza tym społecznym wysuwały się na czoło cele polityczne, niepodległościowe. W ruchu tym PPS dzierżyła prym moralny i zdobywała sobie autorytet powszechny. Manifestacja na Placu Grzybowskim, krwawo stłumiona, zamach na gen. gubernatora, pogrom na Placu Teatralnym, „krwawa środa“ w Siedlcach — były to przejawy tego napiętego stanu i bojowej postawy społeczeństwa, szczególnie świata robotniczego.

Z dwu kierunków, jakie w partii nurtowały, zalecającego zdecydowane wystąpienia zbrojne i bardziej powściągliwego, zwolennikiem drugiego był Józef Piłsudski. Stał na stanowisku, że organizacja bojowa ma stanowić kadre zbrojnej rewolucji, która winna wybuchnąć dopiero w momencie gwarantującym powodzenie, a warunków tych jeszcze nie było. Na tym tle 22 listopada 1906 r. na VIII Zjeździe PPS we Lwowie doszło do rozłamu. Odłam partii podzieliący poglądy Piłsudskiego nazwał się Frakcją Rewolucyjną PPS, a on został jej przewodniczącym i objął kierownictwo organizacji bojowej. W organizacji bojowej z zadaniem gromadzenia broni znalazła się Ola.

Zadanie Oli było bardzo trudne i niebezpieczne. Wymagało znalezienia źródeł zakupu broni zagranicą, sprowadzenia do przejściowego magazynu w Galicji nad granicą Królestwa, zorganizowania przetrzutu przez granicę, zmagazynowania w Warszawie i rozdzieleniu pomiędzy oddziały bojowe. Wszystkie tryby tego złożonego mechanizmu trzeba było przeprowadzić, a łączył się z tym cały system szpiegów, hasel, konspiracyjnych lokali, ukrytego transportu i codziennego ryzyka. W mechanizmie tym pracowały setki ofiarnych osób związanych wiarą w cel, któremu służyły, zaufaniem wzajemnym i gotowością do poświęceń, a duszą i sprężyną tej pracy stawała się Ola.

Dziesiątki razy Ola wraz ze swymi współpracownikami przewoziła na sobie dynamit, rewolwery i amunicję używając różnych przemysłowych sposobów, by usnąć czujności policji i wyjść cało z rewizji. Po wielokroć razy była o krok od wstępy. Chociaż nie była to bezpośrednia akcja bojowa tylko ważna jej część składowa, ale to było już to, co Ola babci przyrzekała.

Dopóty dżban wodę nosi... W jednym lokalu konspiracyjnym, do którego Ola w styczniu 1907 przysłała po odebranie broni, wpadła w zasadkę policji. Następnym tego było aresztowanie, więzienie przy ul. Dąbrowskiej i na Pawiaku i przesłuchania policyjne. Zbyt mało jednak miała policja dowodów, a Ola zbyt była dobrą konspiratorką by dać się w śledztwie złamać. Po kilku miesiącach pobytu w więzieniu zwolniono ją z braku dowodów winy. Gdy już raz padło podejrzenie, trzeba było na jakiś czas przerwać pracę w bojówce i Ola wyjechała na odpoczynek pod Warszawę.

#### WSPÓŁPRACA Z PIŁSUDSKIM

Pracując w organizacji bojowej, którą kierował Piłsudski i prowadząc ważny dział zaopatrzenia — Ola często spotykała się z nim służbowo. Pierwszy raz w 1906 r. w konspiracyjnym magazynie broni pośród koszy rewolwerów i amunicji, kiedy to Piłsudski przeprowadzał inspekcję swych bojowych oddziałów. Kiedy indziej znowu w Krakowie i w Zakopanem gdzie u-

czestniczyli w Konferencji Organizacji Bojowych, a Ola jako delegatka z Warszawy sekretarzowała konferencję. Innym razem w Kijowie, dokąd Ola dostarczyła z Warszawy transport broni.

W takich to okolicznościach nawiązało się między nimi wzajemne uczucie.

Poza uciskiem i terrorem stosowanym w Polsce zaborca rosyjski wyściskał z obywateli najrozmaitszymi sposobami, kontrybucjami, konfiskatami i nadmiernymi podatkami obrzymie fundusze, które z kolei używał na rusyfikację Polski. Z zubożonego kraju nie mogła partia uzyskać tak hojnych świadczeń na cele niepodległościowe by zaspokoić różniczną potrzebę organizacji bojowej. Postanowiono więc, że zrabowany polskim obywatelom przez zaborcę pieniądź zostanie mu odebrany i użyty na walkę przeciwko niemu. W myśl tej zasady organizacja bojowa przeprowadzała uderzenia na rosyjskie kasy skarbowe.

W 1908 r. pod kierownictwem Piłsudskiego przygotowano na st. kol. Bezdany pod Wilnem uderzenie na pociąg przewożący pieniądze z Polski do Petersburga. W uderzeniu wzięło udział 16 mężczyzn i 4 kobiety, a między nimi i Ola.

Po kilkumiesięcznych przygotowaniach obejmujących dokładne rozpoznanie terenu, miejsc koncentracji, punktu uderzenia, ukrycia się po akcji i skrytego odskoku oraz sposobów przechowania i przetransportowania pieniędzy — uderzenie przeprowadzono pomyślnie 26 września 1908 r. Uczestnicy wycofali się sprawnie, a pieniądze ukryto w przygotowanych kwartach.

Do zadań Oli — poza udziałem w przygotowaniu akcji — należało część zdobycy przewieźć w bezpieczne miejsce, a poza banknotami były też ciężkie skrzynie z bilonem. Trzeba było odbyć kilka wypraw, co trwało wiele miesięcy, zanim Ola zdołała wykonać zadanie. Trzeba było odbyć wiele podróży różnymi szlakami, które prowadziły m. in. przez Kijów, stosować różne wybiegi by nie dać się ogarnąć agentom Ochrany i gęstej sieci policyjnej, która przez długi czas penetrowała okolice Bezdany i Wilna. Powierzona opiece Oli pieniądze, bez żadnej straty znalazły się w miejscach przeznaczonych na zakup broni, na szkolenie bojowe i na uwalnianie więźniów, członków partii.

#### RUCH STRZELECKI — WOJNA

Akacja pod Bezdanami była jedną z ostatnich, poważniejszych pod zaborem rosyjskim, gdyż ciężar przygotowań przeniesiono do Galicji. W przewidywaniu zbrojnego konfliktu europejskiego Piłsudski obrał Galicję jako teren organizowania zaczątków polskiej siły zbrojnej. Tam też udała się Ola, tam bowiem wyrastały nowe zadania, gdyż w rozwijającym się ruchu strzeleckim potrzebne były liczne sily pomocnicze. Warunki pracy nie wymagały już tak ścisłej konspiracji i Aleksandra Szczerbińska mogła oficjalnie wziąć na siebie obowiązki bibliotekarki Zw. Walki Czynnej (późniejszego Zw. Strzeleckiego) we Lwowie. Skromną bibliotekę kilkudziesięciu tomów powiększyła wkrótce do kilkuset, sama tłumacząc podręczniki wojskowe z innych języków, podówczas bowiem polskiej literatury wojskowej jeszcze nie było.

Gdy przygotowania wojskowe były już zaawansowane, z inicjatywy Aleksandra Szczerbińskiego pomyślano o sformowaniu oddziału kobiecego. Zadaniami jego miała być służba kuryersko-wywiadowcza poza liniami bojowymi. Dla dobrego wykonania tych zadań niezbędne było zdobycie podstawowych wiadomości wojskowych i w tym celu powstaje z udziałem Aleksandry Szczerbińskiej bodaj pierwszy w jakimkolwiek wojsku Kobięc Oddział Pomocniczy Służby Wojskowej. Liczy on we Lwowie 60 kobiet, ale powstają takie oddziały i w innych miastach Galicji i tam zagranicą gdzie Zw. Strzelecki ma swoje oddziały.

Tymczasem powstaje potrzeba wyjazdu do Wilna na zjazd Rew. PPS. Ola udaje się tam za sfabrykowanym paszportem i tylko cudem unika wstępy. Policja rosyjska wpadła bowiem na trop zjazdu i aresztowała przybywających delegatów. Po wielu przygodach udało się Oli ujść przed zasadzkami rosyjskiej Ochrany i wrócić szczęśliwie do Lwowa.

Po wybuchu wojny i wkroczeniu 1-ej kompanii kadrowej do Królestwa Alek-

WSPOMNIENIE

sandra Szczerbińska kieruje Kobięcym Oddziałem Kuryersko-Wywiadowczym I Brygady, do którego to zadania była przygotowana. Była to służba uciążliwa, wymagająca nie tylko dużego opanowania nerwowego, sprytu i przebiegłości przy przedzieraniu się przez linie bojowe, ale i wysiłku fizycznego. Kuryerki nawiązywały łączność z placówkami POW po drugiej stronie linii frontu, zbierały wiadomości, — a szlaki ich podróży sięgały do Odessy, Kijowa i Mińska. Gdy front bojowy zastąpił w ciągłej linii okopów i drutów kolczastych i służba ta straciła rację bytu nowym następnym zadaniem Aleksandry Szczerbińskiej była praca w POW. Administrowała w Warszawie bibulą propagandową i pomagała przy werbowaniu członków.

Niemcy tępiłi POW jako organizację tajną, rewolucyjną o celach dla nich niebezpiecznych. Mimo że Aleksandra Szczerbińska miała duże doświadczenie w konspiracji, nie uchroniła się przed aresztowaniem. W listopadzie 1915 r. znalazła się na Pawiaku, który znała już z czasów zaboru rosyjskiego. Postawiono jej zarzut uprawiania agitacji za werbnikiem do organizacji nielegalnej i skazano na osadzenie w obozie odosobnienia.

Rok bez mała spędziła w obozach w Szczypiornie pod Kaliszem i w Lauben na Śląsku pośród osadzonych tam o-

sób rozmaitych narodowości. Do wielu przykrości wynikających z charakteru odosobnienia, z których odcienie od świata, brak wiadomości i beczynność były najgorsze do zniesienia, dołączył się pod koniec 1916 r. — głód. Dopiero akt 5-go listopada 1916 r., którym państwa centralne Austria i Niemcy zapowiedziały „niepodległość Polski“ przywrócił jej wolność.

Prawdziwa wolność i niepodległość całej Polski nadeszła dopiero po wypędzeniu Niemców 11-go listopada 1918 r. Po powrocie Piłsudskiego z twierdzy magdeburgskiej i przyjęciu przez niego godności Naczelnika Państwa — wówczas już Aleksandra Piłsudską — nie potrzebowała dłużej stosować się do przyrzeczenia złożonego babci. Walka o Polskę i o jej granice podjęła już regularna Armia Polska. Po wielu latach walki w konspiracji Aleksandra Piłsudska mogła oddać się wychowaniu dzieci — Wandy i Jagody — oraz pracy społecznej w wolnym kraju.

W życiu Aleksandry Piłsudskiej i Jej działalności zawarty jest smat historii Polski i jej rozdziału „Walki o Wolność“. Rozdział ten był spuścizną powstańczej tradycji wywiezionych z domu babki i Jej błogosławieństw na tę ciężką drogę życia, jaką sama sobie obrała. Za pracę swą na rzecz wolności odznaczona została Orderem Wojennym Virtuti Militari V klasy i Krzyżem Niepodległości z Mieczami.

Pochylenie sztandarów wojskowych nad Jej mogiłą w Londynie było złożeniem hołdu Pierwszemu Żołnierzowi Kobiecie w walce o wolność Polski.

STANISŁAW PACZYŃSKI

NAD BRZEGAMI SEKWANY

## „NA TYM ETAPIE“

NARADA warszawska z 21 lutego br., o której pisałam przed dwoma tygodniami podając listę mówców i omawianych tematów — znaczenie przekroczyła „paxowskie“ ramy. W debacie nad sposobami jak najszybszego wprzęgnięcia emigracji polskiej do służby sowieckiej, przekształcenia jej w wysunięte na Zachód macki „nadwiślańskiej brygady szturmowej obozu socjalistycznego“ — wzięli udział najwybitniejsi specje całego aparatu reżymu do walki z polskim obozem niepodległościowym.

Istotnie, poszczególne zagadnienia emigracyjne analizowali nie tylko „paxowcy“, lecz także przedstawiciele takich organizacji „społecznych“, jak „Polonia“ i „Towarzystwo Rozwoju Ziemi Zachodniej“. Takich instytucji „naukowych“, jak powołana przed trzema laty przez PAN, „Komisja do badania problemów Polonii zagranicznej“, w której zasiadają politycy w rodzaju Henryka Jabłońskiego i Stefana Żółkiewskiego. Takich „spółdzielni dziennikarskich“, jak „Zachodnia Agencja Prasowa“, zasilająca niejedno „emigracyjne“ pismo. Takich instrumentów masowego oddziaływania, jak „Dział Zagraniczny Polskiego Radia“.

Krótko mówiąc, była to generalna reżymowa narada. Oficjalnie odbyła się z inicjatywy i pod przewodnictwem PAX-u. Ale nie ma najmniejszej wątpliwości co do tego, że kryje się za nią nie tylko polska kompartia i rozszyfrowany już trochę na emigracji MSW 5, lecz także — i przede wszystkim — Moskwa.

Narada wykazała niezbicie, że PAX odzyskał swe dawne pozycje i brutalnie usunął w cień „wych konkurentów ze „Znaku“ i „Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Społecznego“. Ani Stomma, ani Kisielewski, ani Zawieyski, ani Frankowski nie zostali zaproszeni.

Nikt oczywiście w dalszym ciągu nie będzie przekonywał emigracji do komunizmu. Na to jeszcze za wcześnie. Aparat reżymowej propagandy jest bowiem świadom tego, że „przekonywanie Polonii bezpośrednio do socjalizmu jako ideologii czy ustroju społeczno-gospodarczego byłoby na tym etapie nieskuteczne“. Nacisk

więc „na tym etapie“ zostanie położony na inną sprawę. Na to mianowicie, że naród rzekomo dobrowolnie wybrał sobie dzisiejszy ustrój polityczny i że ten wybór jest „wyborem trwałym i polskim“. Takie właśnie przekonanie trzeba najpierw wpoić w emigrantów. Trzeba ich nauczyć „poprawnego rozumowania politycznego“ i dążyć do „przekształcenia ich patriotyzmu abstrakcyjnego na konkretny“. Jest to najpilniejsze dzisiaj zadanie propagandy reżymowej. Dopiero po wykonaniu tego podstawowego zadania — reżym będzie mógł myśleć o przejściu do „drugiego etapu“.

Reżymowi nie starczy, że emigracja broni, na przykład, „umieszca to w kontekście wyrażenie dla Polski Ludowej wrogim“. Z punktu widzenia reżymu, ten stan rzeczy jest po prostu niedopuszczalny. Emigracja powinna bronić nie tylko granic, ale i utrzymania się w tych granicach bolszewickiego ustroju. Dopiero taka obrona będzie miała jakieś znaczenie. Dopiero wtedy można będzie mówić o „poprawnym rozumowaniu politycznym“ emigracji i o jej „konkretnym patriotyzmie“.

Obudzenie w emigracji „konkretnego patriotyzmu“ winno się odbyć „na obecnym etapie“. Jest to więc, jak wspominałem, zadanie pilne. Ale jak się do niego zabrać? Warszawska narada polityków znalazła na to pytanie odpowiedź. Oto zagadnienie granic należy rzucić na tło znacznie szersze: „poprzez problem niemiecki i niebezpieczeństwo militarizmu bolszewickiego związać emigrację ze sprawą pokoju“. A ponieważ, jak powszechnie wiadomo, jedynym obrońcą pokoju są Sowiety, przeto takie „związanie“ dałoby w konsekwencji jeszcze jeden wynik: związałoby nareszcie emigrację z Moskwą.

Według „katolickich“ polityków, wielką rolę w przygotowaniu emigracji do jej „właściwych zadań“ powinny odegrać emigracyjni księża. Tym bardziej, że „w przeciwieństwie do politycznych kół nowej emigracji — duchowieństwo emigracyjne jest na ogół wychylone w kierunku bliskiej łączności z Krajem“. Toteż „katolicko-“  
(Dokończenie obok.)

NIE ZABIJAJ!

(Dokończenie ze str. 1)

ranych polskich chłopów, strajkujących polskich robotników, buntowniczych i zakąszonych „Zachodem” polskich intelektualistów, im mniej wierzących katolików — tym lepiej dla komunizmu. Tym lepiej dla Rosji. Prymitywny nacjonalizm rosyjski w wydaniu komunistycznym wiele tłumaczy. Przykładem próby zmniejszenia przyrostu wśród Uzbeków, Kazachów i przede wszystkim Ukraińców, przy jednoczesnym popieraniu wzrostu ludności wśród Rosjan. Społeczeństwo polskie zdaje sobie z tego sprawę. Stąd mała skuteczność reżimowego ludobójstwa. Lecz tej walki nie sposób prowadzić z ukrycia,

w niedomówieniach, w „emigracji wewnętrznej”. Nie sposób, gdyż będąc także zagadnieniem politycznym jest przede wszystkim zagadnieniem moralnym. Zasada „nie mieć dzieci” jest takim samym przestępstwem jak zabicie dziecka. Tu jest owo „non possumus”, nie tylko Kościoła lecz i narodu.

Prymas Wyszyński je wypowiedział.

I jeśli o co powinniśmy się modlić w Święta Życia, w Święta Zmartwychwstania, to o to by narodowi polskiemu przybywało dzieci w dzisiejszej polskiej rzeczywistości. Zwiększenie na tym polu jest warunkiem każdego innego.

NAD BRZEGAMI SEKWANY

(Dokończenie ze str. 2)

kie instytuty wydawnicze powinny dobrze przemyśleć formy swego oddziaływania na społeczność emigracyjną, a przede wszystkim na jej duchowieństwo”. Przyjazdy zaś emigracyjnych księży do Kraju należy tak zorganizować, by „mieli możliwość... zapoznania się z osiągnięciami gospodarczo-społecznymi Polski, a także z placówkami naukowymi i kulturalnymi w Kraju”.

Na wszelkie zresztą przyjazdy do Kraju ma być położony nacisk zupełnie specjalny. Na zwiedzanie krajowych placówek „społecznych”, kulturalnych i „naukowych” także. Jest to bowiem najlepsza metoda „właściwego oddziaływania” i... werbunku różnego rodzaju „korespondentów”, zwłaszcza wśród emigracyjnych intelektualistów, „najcenniejszego dla Polski elementu”.

Albowiem na emigrację robotniczą trzeba machnąć ręką. Zgodni są co do tego wszyscy uczestniczący warszawskiej narady. Reżym się ostatecznie przekonał, że do wykonywania na emigracji sowieckich zadań robotników namówić się nie da.

Zamysły reżimu w stosunku do emigracji wyłożone zostały otwarcie i wydrukowane w paxowskich „Kierunkach”. Bez najmniejszej żenady. Bo i poleć je ukrywać? Dotychczasowe doświadczenie przecież poucza, że emigracja zamiary polskich bolszewików przyjmuje z niedowierzaniem lub najwyższą kwitującą lekceważącym wzruszeniem ramion. W ich niebezpieczeństwo trudno jest jej uwierzyć. A takie hasła, jak „frontem do Kraju” i „walka o pokój” gotowa jest potraktować jako zupełnie naturalne. Umiejętne dozowanie pobudzających środków „patriotycznych” ma dokonać reszty. Tak przynajmniej reżymowi się wydaje.

Szeptany epitet „podżegacza wojennego” wypadł na razie z listy modnych sloganów bolszewickiej propagandy i nikomu z emigrantów politycznych w tej chwili nie grozi. Zarzut działania w charakterze „agenta imperializmu amerykańskiego” wywołuje raczej powszechną wesołość. Ale ktoż się nie przerazi epitetu: „agent bońskiego rewizjonizmu”? I dlatego właśnie „nadwiślańska brygada bolszewicka” wierzy na dalszą metę w sukces swojej propagandy.

Dlatego także swych planów na dalszą metę wcale nie ukrywa. Inaczej jest z planem, którego wykonanie ma nastąpić w najbliższej przyszłości. Takiego planu się nie ujawnia. Mogłoby to bowiem wywołać niepożądany zryw i gwałtowny opór. „Kierunki” przemilczały na przykład wystąpienie na warszawskiej naradzie Stanisława Strumpf-Wojtkiewicza, który omawiał problem Biblioteki Polskiej w Paryżu. Wiemy o tym z Wrocławskiego Tygodnika Katolickiego. Nie znamy tekstu tego przemówienia. Ale w wydanej przed kilkoma tygodniami książce pt. „Książ-

ka szła za emigrantem” Strumpf-Wojtkiewicz pisze: „...zbiory Biblioteki Polskiej w Paryżu zbyt długo służyły wyłącznie badaczom, którzy przeszłość naszą i przodków naszych naiwnie lakierowali i lukrowali, starając się nie dostrzegać tego, co z druków i rękopisów po prostu krzyczało o wydobycie na jaw”.

Biblioteka w zamiarach reżimu miała by się stać bazą nauczania emigracji „poprawnego rozumowania politycznego” i „konkretnego patriotyzmu”. Ze swymi jednak zamiarami nie chce się przedwcześnie zdradzić. Stąd zapewne przemilczenie w „Kierunkach”.

Stanisław Paczyński

DOMINUJĄCY TYP RODZINY W POLSCE

Według informacji warszawskiej „Trybuny Ludu” na wsi przeważa zdecydowanie typ rodziny 4-5-osobowej. Grupa rodzin 5 i więcej osobowych stanowi ponad 40-procentową grupę rodzin we wszystkich wsiach województw północnych Polski, w pozostałych okęgach — jak stwierdza dziennik — „procent ten jest niewiele mniejszy”.

W okresie spisu powszechnego (grudzień 1960 r.) — pisze „Trybuna Ludu” — było na terenie kraju około 8,300.000 gospodarstw domowych. „Dominującym typem wielkomiejskie gospodarstwa domowego jest obecnie gospodarstwo 2-3-osobowe. Rodziny 5-osobowe i liczniejsze w żadnym z dużych miast nie stanowią nawet 1/5 części wszystkich rodzin”.

(FEC)

Cukierki „GOPLANA”

IMPORTUJE i DOSTARCZA firma

ROBIŃSKI & CO. LTD.

41, Harrington Road, London, S. W. 7. Tel. KNI 5201

KRAKÓW „ZRATA” SIĘ Z N. HUTĄ

Warszawski „Głos Pracy” omawia „proces zrastania się Nowej Huty z Krakowem”, stwierdzając, że „minęły już czasy niechęci tego starego miasta do robotniczego osiedla”, którego budowę rozpoczęto 12 lat temu. Nową Hutę nazywa dość często prasa reżimowa „miastem socjalistycznym”.

Proces integracji Krakowa z Nową Hutą — pisze „Głos Pracy” — jest „bowaźnie zaawansowany”. Nowa ta dzielnica starego Krakowa liczy obecnie 112,000 mieszkańców. „Oblicza się — stwierdza dziennik — że około 30 procent mieszkańców Nowej Huty stanowią dawni mieszkańcy innych rejonów Krakowa, przy czym znaczna ich część dojeżdża do pracy w zakładach położonych w Krakowie”. Z dalszych informacji „Głosu Pracy” wynika, że Kraków liczy obecnie (razem z N. Hutą) — 506,000 mieszkańców.

(FEC)

TYDZIEŃ POLITYKI MIĘDZYNARODOWEJ

Stosunki między państwami nie zależą od linii telefonicznej

STOSUNKI między ludźmi czy państwami zależą od zgodności pojęć, zasad, celów a nie od... bezpośredniego telefonu. Najlepsza technicznie linia komunikacyjna nie zastąpi wzajemnego zaufania, nie zdoła zapobiec wzajemnej nieufności czy podstępemu oszukaństwu.

Pomysł bezpośredniego połączenia telefonicznego między amerykańskim Białym Domem a sowieckim Kremlem, jako narzędzia rzetelnego pokoju, wydaje się więc jeszcze jednym, wielkim złudzeniem polityki koegzystencji Stanów Zjednoczonych z Rosją Sowiecką. Im poważniejsze nadzieje były by z tym związane w Waszyngtonie czy gdziekolwiek w stolicach zachodnich, tym groźniejsze mogą z tego wynikać rozczarowania i niebezpieczeństwa.

Jest wręcz żenujące słuchać argumentów niektórych komentatorów „czerwonego drutu” amerykańsko-sowieckiego, starających się dobrze usposobić radiowych słuchaczy do tej iscie technokratycznej idei, mającej umożliwić Kennedy’emu i Chruszczowowi poufne tête à tête, ilekroć tego zapragną. Najważniejszy z nich brzmi tak: jeśliby któraś ze stron „omyłkowo” wypuściła przeciw drugiej porcję atomowych pocisków, telefon umożliwi jeszcze zawsze przeprosiny i wyjaśnienia, które odwołają stronę drugą od równie niszczycielskiej retalii czyli odwetu.

Bezsensowne argumenty

Trudno o naiwniejszą, czy może raczej bardziej cyniczną bzdurę, jak tego rodzaju argument. Wyobraźmy sobie, że wypadek taki już zaszedł i np. sowieckie bomby nuklearne już leżą na Nowy Jork, o czym Chruszczow zdołał jeszcze uprzedzić Kennedy’ego i odpowiednio się usprawiedliwiwszy, prosi go o wybaczenie śmierci tych kilku milionów Amerykanów i o rezygnację z natychmiastowego odwetu, który był fundamentem całej polityki obronnej Stanów Zjednoczonych.

Czyż Kennedy, albo jakkolwiek inny Prezydent Stanów Zj. miał by prawo zaufać w takim wypadku telefonicznemu zapewnieniom przedstawiciela Kremla i w praktyce narazić własny naród na następny śmiertelny cios, równie bezbronnie i biernie, jak dopuścił do ciosu pierwszego? I na odwrót, czy w razie rzeczywistej omyłki ze strony amerykańskiej, jakkolwiek reprezentant Kremla po sowieckiej stronie „czerwonego drutu” uwierzył by zapewnieniom Białego Domu, że lecące np. na Leningrad

KAMPANIA

„ZOBOWIĄZAŃ 1-SZOMAJOWYCH”

Aktywiści partii i związków zawodowych w Polsce zaczęli już organizować wśród załóg robotniczych wszystkich zakładów pracy t.zw. „kampanie zobowiązań 1-szomajowych”. Są to jak wiadomo dodatkowe metody wyszuku robotników, stosowane od lat przez komunistów pod pretekstem „uczczenia” różnych świąt i rocznic. Każdego roku zobowiązania te wykonywane są poza godzinami pracy i w skali krajowej dają reżimowi poważne korzyści.

Radio Warszawa w audycji informuje, że tegoroczne „zobowiązania dla uczczenia święta 1-szomajowego” przyniosą „wiele dodatkowych tysięcy ton węgla, wyrobów z hut i z fabryk i przyczynią się do znacznego obniżenia kosztów produkcji”. Np. hutnicy postanowili dla uczczenia 1-go maja „nie tylko nadrobić wszystkie straty produkcyjne do końca pierwszego półroczia b.r., ale dać równocześnie produkcję dodatkową w wysokości wielu milionów złotych”.

(FEC)

amerykańskie pociski nie były zamierzone i powstrzymał się od natychmiastowej reakcji nuklearnej na „kapitalistycznych agresorów”, do których nienawiść jest zasadniczą postawą komunizmu?

Oczywiście, nie może być o podobnych ewentualnościach mowy na serio i rzeczywisty cel „czerwonego drutu” Biały Dom-Kreml leży, jak sądzić, na płaszczyźnie dyplomatyczno-propagandowej, gdzie zresztą nastęstwa jego mogą być także raczej szkodliwe, niż pozytywne. Osobny technicznie i wyłączny tor stosunków między Stanami Zjednoczonymi a Rosją Sowiecką może jedynie pogorszyć atmosferę między czołowymi mocarstwami Zachodu. Zwłaszcza między Waszyngtonem a Paryżem, gdzie obawy przed odrębnym dialogiem amerykańsko-sowieckim i jakąś super-Jaitą, zaprzeczającą interesy reszty Europy, dawno były żywione i leżą u podstaw dzisiejszego ochłodzenia stosunków franko-amerykańskich.

Czytamy informacje, jakoby głównym celem amerykańskiego Sekretarza Stanu Dean Rusk’a, który spędził ostatnio kilka dni w Paryżu i został przyjęty przez Prezydenta De Gaulle’a, było rozwianie francuskie obawy i podejrzania odnośnie do amerykańskiej polityki na kontynencie europejskim. Nie można jeszcze w tej chwili wiedzieć, jakie rezultaty osiągnął on rzeczywiście w tym kierunku, ale „czerwony drut” Biały Dom-Kreml z pewnością nie przyczynił się do ułatwienia mu tego zadania.

Polska ani inne narody, ujarzmione przez Sowiety nie mogą się także spodziewać niczego dobrego po amerykańsko-sowieckich dialogach. Kiedy Roosevelt na jesieni 1943 r. gościł w Teheranie u Stalina w ambasadzie rosyjskiej i miał wiele okazji do osobnych rozmów z ówczesnym dyktatorem Kremla, konsekwencje tych tête à tête okazały się dla nas fatalne. W tym roku przypada dwudziestolecie konferencji teherańskiej i miejmy nadzieję, wyniki jej, potwierdzone w Jalcie staną się ostrzeżeniem dla dzisiejszego następcy Roosevelta w Białym Domu.

Wobec impasu albo klęski

Wielki Tydzień wielkanocny stał się w tym roku zarazem wielkim tygodniem dyplomacji zachodniej, której najważniejsi przedstawiciele zjechali się w Paryżu na konferencje obu międzynarodowych organizacji obronnych: Traktatu Półn. Atlantyckiego i Traktatu Półd. Wschodniej Azji.

Świetne zebrania nie miały jednak do rozważania równie świetnych rezultatów dyplomatycznych. Przeciwnie nawet, na terenie Przymierza Atlantyckiego mieli do czynienia z impasem, wywołanym sporem o zbrojenia nuklearne głównie między Paryżem i Waszyngtonem, a w odniesieniu do Półd. Wschodniej Azji stanęli wobec całkowitej klęski postanowień zeszlorczonej konferencji genewskiej w sprawie Laosu, którego neutralizacja okazała się — co wielokrotnie przewidywaliśmy na tych łamach — jedynie krokiem do opanowania przez komunizm.

Stwierdziłem wyżej, że spór w łonie Przymierza Atlantyckiego o zbrojenia nuklearne, niezależne (konceptja francuska), narodowych kontyngentów (konceptja brytyjska), czy wielostronne, ale w istocie trzymane mocno w rękach amerykańskich, to czy się głównie między Waszyngtonem a Paryżem. Głównie, lecz nie jedynie, ponieważ różnice poglądów is-

tnieją również między koncepcjami Stanów Zjednoczonych a W. Brytanią, co prasa londyńska podkreśliła z okazji podpisania z Ameryką układu o Polarisach. „Times” z 8 bm. w artykule wstępnym pt. „NATO’s deterrent — odstraszak Przymierza Atlantyckiego”, stwierdził „incompatibility — niemożność pogodzenia” amerykańskiego i brytyjskiego sposobu myślenia w tej sprawie.

Czy nowy izolacjonizm Ameryki?

Konserwatywne pismo niedzielne „The Sunday Times” z dnia poprzedniego również w artykule wstępnym pt. „Czy nowy izolacjonizm?” sformułowało w odniesieniu do amerykańskiej polityki zbrojeniowej zastrzeżenia jeszcze dalej idące: „Jest do pomyslenia — czytamy tam — że amerykańska polityka zmierza do nowej formy izolacjonizmu, w ramach którego cała potęga nuklearna Stanów Zjednoczonych oparta będzie, albo o własne terytorium, albo o pełne morza, przy czym Europa była by pozostawiona ze swoimi własnymi siłami konwencjonalnymi oraz z taką siłą nuklearną, jaką sama potrafi rozwinąć i dysponować. Ten system sam w sobie nie musi prowadzić do osłabienia zobowiązań, ale w następnej fazie Europa może łatwo okazać się w oczach Stanów Zjednoczonych nie wartą kolosalnego ryzyka międzykontynentalnej wojny nuklearnej”.

Trzeba stwierdzić, że powyższe rozumowanie brytyjskich, czołowych pism zbliża się ogromnie do zastrzeżeń francuskich odnośnie do strategii amerykańskiej i nie wiadomo właściwie, dlaczego oba te mocarstwa zach. europejskie nie mogą znaleźć wspólnego języka w tej sprawie między sobą? Gdyby to nastąpiło, Waszyngton bez wątplenia okazał by się także skłonniejszy do wzięcia pod uwagę interesów kontynentu zach. europejskiego i nieodwołny kompromis między głównymi partnerami Przymierza Atlantyckiego został by rychlej i pomyślniej osiągnięty.

Przedwczesne horoskopy

Tymczasem jednak snućie optymistycznych horoskopów i wiązanie ich już z bieżącym „wielkim tygodniem” zachodniej dyplomacji w Paryżu wydaje się przedwczesne. Prasa pełna jest wzmianek o „odwilży” i „wiosnie” między ministrami, którzy zjechali się na paryskie narady, ale obiektywne analiza położenia nie prowadzi do tak jasnych widoków na najbliższą już przyszłość.

Nie wolno natomiast, oczywiście, tracić nadziei, że bieżące spotkania paryskie przygotują grunt do zbliżenia stanowisk w przyszłości, aby nie nadto dalekiej. Było by lekkomyślnością przyjmować, że ideologiczno-taktyczne spory w bloku komunistycznym dają mocarstwom zachodnim nieograniczone możliwości trwania w sporze i chaosie między sobą.

Wielką rolę ma tu do odegrania przede wszystkim Waszyngton. Odnosi się wrażenie, że utrwalenie komunistycznej bazy na Kubie wywarło większy wpływ na amerykańską inicjatywę światową, niż to początkowo wyglądało. Stany Zjednoczone poczuły się bezpośrednio zagrożone i to związawo nadmiar chyba ich energii na nowym problemie obrony własnej na zachodniej półkuli. Okupowanie się Sowietaom koncesjami i kompromisami na wielkim froncie polityki światowej nie jest z pewnością właściwą drogą obrony zachodniej półkuli.

Z. S.

## KRONIKA WOJSKOWA

**POWOJENNE LOSY NASZYCH OKRĘTÓW WOJENNYCH.** Czytelników „Orla Białego”, a zwłaszcza b. marynarzy, interesuje niewątpliwie pytanie, co się stało z naszymi okrętami wojennymi po wojnie. W jednej z Kronik Wojskowych (z 5 lipca 1962) nakreśliłem losy tych spośród nich, które zostały w latach 1945-1951 do Polski odesłane, t.j. niszczycieli „Błyskawica” i „Burza”, okrętów podwodnych „Ryś”, „Sep”, „Żbik” i „Wilk”, wreszcie 4 trawolców, 2 kutrów i 2 żaglowców „Dar Pomorza” i „Iskra”. Jak wówczas podkreśliłem, kilka spośród tych okrętów pełni jeszcze służbę.

Dzisiaj podam powojenne losy tych okrętów naszej Marynarki Wojennej, które także czekały się zawieszenia broni, ale jako tylko wypożyczone przez „Royal Navy”, pozostały na Zachodzie i polskich wybrzeży nie ujrzały:

- krążownik „Conrad” poszedł jako „Danea” już w 1945 na złom,
- niszczyciel „Piorun” poszedł jako „Nerissa” w 1958 roku na złom,
- niszczyciel „Garland” został sprzedany Holandii i pełni nadal służbę w holenderskiej flocie,
- eskorter „Krakowiak” poszedł jako „Silverton” w 1958 roku na złom,
- eskorter „Słazak” został w 1953 roku jako „Bedale” przekazany na złom, wreszcie
- okręt podwodny „Dzik” został wypożyczony flocie duńskiej a po zwroceniu przekazany na złom w 1958 roku.

Jak z tego zestawienia wynika, już tylko sławny niszczyciel „Garland” mógłby raz jeszcze się wslawić i to na odmianę pod holenderską flagą. Wszystkie pozostałe padły ofiarą redukcji i modernizacji „Royal Navy”.

Polska. Za przykładem Sovietów obnizono 30 marca wiek poborowych z 20 do 18 roku życia i zapowiedziano skrócenie obowiązkowej służby wojskowej z 24 do 18 miesięcy.

Zarządzone 23 października (w związku z kryzys kubańskim) pogotowie sił zbrojnych zostało pod koniec listopada odwołane. Tak samo jak we wszystkich innych państwach satelickich i w samych Sovietach.

28 marca wylądował minister obrony, generał Sychalski, na czele liczonej delegacji wojskowej na wschodnioberliński lotniskowy Schönefeld. Na lotnisku powitał go wschodnio-niemiecki minister obrony, generał Hoffmann. Rewizyta polskiej delegacji, niemiecka delegacja wojskowa była w Polsce w czerwcu 1962 roku, potrwa osiem dni. Według wschodnio-niemieckiej agencji prasowej ADN jest ona „wyrazem braterstwa broni obu armii, które zdało już egzamin w liczących wspólnych manewrach w ramach „Paktu Warszawskiego”. Gdy mowa o tym rzekomy „braterstwie broni”, przypomina się dowcip umieszczony niedawno w węgierskim tygodniku satyrycznym „Luda Matyi”: „Jaka jest różnica między Niemcami z NRF. a Niemcami z NRD?” Odpowiedź brzmiała: „Absolutnie żadna z tym, że tych z NRD. musimy lubić, a tamtych nienawidzić”.

Dowódca północnej grupy sił Paktu Warszawskiego, generał sowiecki Czełagurov, wygłosił w Warszawie, z okazji 45 rocznicy powstania sowieckich sił zbrojnych, przemówienie, w którym oczywiście pod niebiosami wychwalał potęgę „zbrojnego ramienia radzieckiej ojczyzny”. Między innymi, powołując się na marszałka Biriuzowa, zapewnił słuchaczy, że Soviety już mają niezawodne rakiety przeciw-rakietowe.

Naczelny polityk, generał Jaruzelski, przeprowadził niedawno w Warszawie odprawę politykowskiej starszyzny wszystkich czterech okręgów wojskowych. Jak można wyczytać między wierszami krótkich sprawozdań, głównym celem tej odprawy było tępienie defetyzmu, pogłębionego wynikiem kubańskiej próby nerwów.

Pod Lęborkiem na Pomorzu geologowie dowiercili się na głębokości 1.200 metrów nie tylko ogromnych pokładów soli, ale rzekomo także znacznych złóż rud żelaza, cynku i miedzi. Na marginesie dodam, że już obecnie największe soli wydobywa się w okolicy Inowrocławia i że tam zakłada się nowe szyby i nowoczesną warzelnię.

FINLANDIA uzyskała zgodę Kremła na pewne złagodzenie restrykcji zbrojeniowych, przewidzianych w fińsko-sowieckim traktacie pokojowym. W związku z tym ma otrzymać od Sovietów, oczywiście za odpowiednią zapłatą, eskadrę myśliwców „Mig-21”, 2 fregaty oraz bliżej nieujawnioną ilość dział i pancernych pojazdów amfibijnych. Niezależnie od tego sztab fiński chce zakupić brytyjskie pociski przeciwpancerne „Vigilant” i jedną fregatę szkolną.

WŁOCHY. Niedawno zwodowano krążownik „Caio Duilio” o wyporności 6.000 ton, który ma rozwijać szybkość 31 węzłów i być uzbrojony w rakiety plot. „Terrier”. Równocześnie rozpoczęto budowę drugiego krążownika tej klasy, który będzie się nazywał „Andrea Doria”. Największy krążownik włoski „Garibaldi” został już zmodyfikowany i otrzymał rakiety.

Piechota otrzymuje na uzbrojenie niemieckie rakiety przeciwpancerne „Cobra”.

Kage

## BALLADA NUKLEARNA O WIECZNYM POKOJU

Aż do końca ubiegłego roku Mówić można o dwóch przeciwnikach, Bo broń atomową, właściwie, Miała Rosja i Ameryka.

Poza nimi, to Brytyjczycy Mielili kilka bombek w zapasie, I de Gaulle się ciągle odgrażał Ze swą bombą (lecz w przyszłym czasie).

Więc tak z grubsza ujmując, na świecie W atomowe rakiety swe zbrojne Tylko dwa z państw mogły samotnie Rozpocząć atomową wojnę.

I ażeby wszystkich upewnić, że się konflikt nie rozprzestrzeni, Eksperci wytworzyli teorię Wzajemnego (sic!) odstraszenia.

Ze się niby każdy przeciwnik Będzie bał przeciwnika broni I do śmierci nie użyje swej bomby Zaciśniętej historycznie w dłoni.

Ale coś się nagle zmieniło, Każdy chce mieć swój własny „odstraszak”; Nikt się nie chce nabrać na tezę, że ich bomba jest wspólna i nasza.

Anglia zbroi przestarzałe bombowce, Francja ma je dopiero uzbroić, No, a chińskich atomowych doświadczeń Ponoć Chruszczow najczęściej się boi.

Rakietowi eksperci niemieccy Gdzieś w Egipcie pracują po cichu (Tak po cichu, że o niektórych Dzisiaj już ani widu, ni słychu).

Chodzą słuchy, że także Izrael Chce mieć bombę, choć w mniejszym zakresie; O wahanach atomowych Szwecji Także plotki przeróżne wieść niesie.

Nie potrzeba zbyt wielkiej fantazji, By przewidzieć, że nim lata upłyną, Bomby będą mieć i Monaco, I Andorra, i San Marino.

Czemu stanąć nagle w tym punkcie? — Całkiem słusznie czytelnik zapyta. Bombkę (małą) mieć będzie policjant, I bombkę (trochę większą) bandyta. Powolutku dojdziemy do tego — Nie przesadam, daję Wam słowo! — Ze nam władze wydawać zaczną „Pozwolenia na broń atomową”.

Naturalnie, jak powiada teoria, Co strukturę odstraszenia podpięra, Kiedy każdy mieć będzie swą bombę, Przyjdzie zupełnego pokoju era.

Każdy z bombką w kieszeni, spokojny, Może drżać bezpiecznie i błogo, Bo — jak wiemy z torii — ze strachu Nikt swej bomby nie rzuci w nikogo.

Każdy będzie wiedział z pewnością, że gdy atak nastąpi z tej strony, To napastnik w ostatecznym wyniku Odwetowo zostanie zniszczony.

Bardzo mnie to na duchu pokrzepia, Bezpieczeństwa napelnia pewnością; Tylko jedna maleńka wątpliwość Tkwi mi w gardle żłowiąca osięcią.

Bo założymy, że zdarzy się wariat (Naturalnie, dyskutując w teorii) I swą bombą wyrzynie na oślep? (Wielu było wariatów w historii).

Naturalnie, że go zniszczą w odwecie, I — bo takie koleje są świata — Ktoś (w odwecie) też zniszczy swą bombą Niszczyciela tamtego wariata.

On z kolei też będzie zniszczony I — gdy sprawa się rzeško potoczy — To nie będzie nikogo na ziemi, By rozmawiać z kim w cztery oczy.

A więc mają słusność, co wierzą W odstraszenia system bezpieczny, Bo w wyniku definitywnym Przyjdzie pokój — i to pokój wieczny.

RAWICZ

PAWEŁ HEĆCIAK

## Millennium i Dom Polski w Londynie

REFLEKSJE POZAJAZDOWE (IV)

Spośród licznych wniosków przyjętych na Walnym Zjeździe Zjednoczenia Polskiego\* dwa są — jak mi się wydaje — szczególnie ważne. Pierwszy w sprawie budowy Domu Polskiego w Londynie dla uczczenia Millennium, drugi w sprawie samego Millennium.

Jednym z głównych mówców w sprawie Domu Polskiego był inż. J. Kazimierski, delegat z ramienia Polish University College Association. Dla uzasadnienia konieczności budowy tego Domu wygłosił inż. Kazimierski dłuższe przemówienie, w którym nawiązał do wzmianki, jaka na ten temat znalazła się w biuletynie organizacyjnym Zjednoczenia Polskiego w „Przełędzie Społecznym” z lutego 1963 nr. 48. W biuletynie tym czytamy m. in. że Zjednoczenie:

... od początku dążyło do uzyskania w Londynie domu dla Zjednoczenia, któryby był równocześnie ośrodkiem prac społecznych i akcji kulturalnej. Po konferencjach przygotowawczych uzyskano aprobatę projektu (5.5.47.), opartego na zasadach samo-

wystarczalności i obietnicę pomocy finansowej. Niestety — mimo ciągłych starań i wielokrotnych konferencji uzgadniających z czynnikami wojskowymi, Komitetem Obywatelskim, Zarządem Ogniska Polskiego, Związkiem Artystów Scen Polskich, dotychczas sprawa ta nie została załatwiona. Fakt ten stanowi poważne utrudnienie w pracach Zjednoczenia i organizacji nie posiadających własnych lokali, hamuje stworzenie społecznego ośrodka życia kulturalnego i sprawia, że Zjednoczenie jest upośledzone w stosunku do społecznych organizacji brytyjskich oraz organizacji innych grup uchodźczych, które posiadają w Londynie własne siedziby.

Należy podkreślić, iż nie jest to głos skargi z roku 1963, jakkolwiek od tego czasu nic się na tym odcinku nie zmieniło. Jeszcze w 1947 r. — cytujemy ze starych protokołów — „Zarząd nie zrezygnował z doprowadzenia do skutku projektu Domu Kultury w Londynie ze sporą salą teatralną”. Jest to widocznie jeden z tych projektów o którym będzie się na emigracji najchętniej debatowało aniżeli konkretnie realizowało.

Oświadczenie inż. Kazimierskiego w tej sprawie brzmiało następująco:

„Na uroczystości poświęcenia i otwarcia Domu przy 9, Princes Gardens, Londyn, S.W.7 w dniu 24 listopada 1962 r. prezes Polish University College Assoc., inż. R. Wajda, w przemówieniu swaim do zgromadzonych przedstawicieli polskiego życia społecznego i kulturalnego złożył następujące oświadczenie:

... Stowarzyszenie nasze za pośrednictwem organizacji polskich, których przedstawiciele zostali zaproszeni na dzisiejszą uroczystość, pragnie ostrzec społeczeństwo polskie na uchodźstwie, że po wygnańcu dzierżawy w r. 1976 nie będzie w stanie zapewnić dachu nad głową instytucjom w tej chwili w domu tym się znajdujących a więc przede wszystkim Bibliotece Polskiej, która zajmuje ponad połowę powierzchni użytkowej budynku, Polskiemu Uniwersytetowi na Obczyźnie i innym instytucjom w tej chwili korzystającym z tego domu.

O rozwiązaniu tego problemu pomyśleć musi całe społeczeństwo emigracyjne a przede wszystkim polskie organizacje społeczne z siedzibą w Londynie. Okres niespełna 14 lat nie jest okresem zbyt długim na stworzenie w naszych emigracyjnych warunkach czegoś trwałego. Dorobek uczonych polskich poza granicami Kraju po ostatniej wojnie, instytucje naukowe, organizacje kulturalne i oświatowe jak Biblioteka Polska i inne or-

ganizacje społeczne polskie należą do Narodu Polskiego, służą temu narodowi i dlatego muszą mieć zabezpieczoną ciągłość i trwały byt na tym terenie w przyszłości — nawet po odzyskaniu niepodległości państwa polskiego.

Przed dwoma laty powstała myśl założenia „Domu Polskiego”, któryby stworzył warunki dla ciągłości dotychczasowej pracy na wszystkich odcinkach zorganizowanego życia społecznego polskiego na tym terenie, promieniowania na inne mniej liczne ośrodki uchodźstwa polskiego poza Krajem i na sam Kraj.

W związku z tym zgłaszam następujący wniosek:

„Walny Zjazd Zjednoczenia Polskiego w W. Brytanii poleca Zarządowi Zjednoczenia, aby przyjął czynny udział w inicjatywie budowy „Domu Polskiego” w Londynie i nie pozwolił, aby obojętność czy niechęć do tej inicjatywy opóźniła jego realizację”.

Wniosek przyjęty został — po ciekawej dyskusji — jednogłośnie.

Najwięcej wyjaśnień w tej sprawie mógł na Zjeździe udzielić inż. Wajda i przyznać trzeba, że jego spokojne i rzeczowe wywody były niezmiernie ciekawe. Inż. Wajda znał zagadnienie dlatego, ponieważ jest przewodniczącym jednej z trzech komisji (technicznej), które powołano — zdaje się przed rokiem — do życia. Trzeba także stwierdzić, że wnioski i uwagi inż. Wajdy nie brzmiały optymistycznie. W tej sytuacji plan wybudowania „Domu Polskiego” w 1966 r. zawiśł w powietrzu i dlatego zapewne rozległy się liczne głosy, aby władze Zjednoczenia Polskiego podjęły rozmowy z odpowiedzialnymi organizacjami, by pchnąć tę sprawę naprzód.

Tu może przypominie należy, iż plan budowy Domu Polskiego powstał w 1961 r. Wspólnicjątorami jego były trzy organizacje: Stowarzyszenie Polskich Kombatantów Oddział W. Brytanii, Stowarzyszenie Lotników Polskich i Samopomoc Marynarki Wojennej, które uchodziły za najbogatsze i na które spadły zapewne największy ciężar finansowy. Odbyły się liczne wstępne rozmowy w których stwierdzono, iż nasze pokolenie emigracyjne winno pozostawić po sobie trwały ślad (powoływało się na Bibliotekę Polską w Paryżu) który miałby mieć charakter pomnika z okazji Millennium. Myśl została przyjęta entuzjastycznie, chociaż następne fazy działania były znacznie wolniejsze. Niemniej dość szybko zwołano 19 innych organizacji i wtedy właśnie powołano do życia trzy komisje: prawną pod przewodnictwem konsula dr.

K. Poznańskiego i techniczną (inż. R. Wajda), które podobno ukończyły swoje prace oraz komisję finansową (p. Gołębiowski b. prezes PUCAL'u). Zebraniu temu przewodniczył konsul dr K. Poznański.

Nie umiem powiedzieć, jaki jest obecny stan tych przygotowań, rozmów wstępnych itp. Niemniej Zarząd Zjednoczenia — by wykonać uchwałę i powszechnie życzenie Walnego Zjazdu — zwrócił się w tych dniach do SPK, Stow. Lotników i Samopomocy Marynarki i powołując się na postanowienia jzjazdowe będzie próbował uzyskać nieco wyjaśnień z którymi napewno podzielił się z naszymi organizacjami członkowskimi Zjednoczenia.

Dyskusja w sprawie działalności londyńskiego Komitetu Obchodu Tysiąclecia Polski Chrześcijańskiej wszczęta została wnioskiem Stowarzyszenia Lotników Polskich. Po dyskusji wniosek ten przyjęto jednogłośnie jako apel do Zarządu Zjednoczenia z prośbą o przekazanie do Komitetu Obchodu Tysiąclecia. Apel Lotników głosi m. in.:

... „opracować i podać do powszechnej wiadomości dostępnymi środkami cele akcji, rozpocząć zbiorę fundusów...”

Stowarzyszenie Lotników Polskich... apeluje do: Komitetu Millennium, Walnego Zjazdu Zjednoczenia Polskiego w W. Brytanii, do wszystkich polskich organizacji niepodległościowych i do całego społeczeństwa polskiego w W. Brytanii — by w poczuciu naszej zbiorowej odpowiedzialności za największą rocznicę w dobie współczesnej podjęli bezzwłoczna akcję. Stow. Lotników Polskich rozumiejąc, że skala i powodzenie naszych zamierzeń zależeć będzie od zebrania odpowiednich fundusów składa za pośrednictwem Zjednoczenia Polskiego pierwszą donację w wysokości 25 funtów mając nadzieję że to ułatwi i przyspieszy działalność Komitetu Millennium”.

Ten piękny gest Lotników przyjęty został oklaskami, choć wiadomość o ustąpieniu na 3 dni przed Walnym Zjazdem przewodniczącego Komitetu prof. B. Hełczyńskiego przyjęta została z uczuciem niepokoju, gdyż w ciągu trzech lat istnienia Komitetu była to już druga rezygnacja na tym stanowisku.

I tu w dyskusji apelowano do Zarządu Zjednoczenia, by podjął w tej sprawie jakieś kroki, zwłaszcza że właśnie Zjednoczenie Polskie jest inicjatorem powołania do życia Komitetu Obchodu. Dał temu wyraz Zarząd Zjednoczenia wkrótce po Zjeździe w

(Dokończenie na str. 16)

## BRIDŻ

Nie siłą — to fortelem przeciwko przemocy. Wprowadzenie przeciwnika w błąd jest bronią słabszego. Triumfuje zwłaszcza wtedy gdy sposób rozgrywki stwarza pozory prawdopodobieństwa.

♠ 10 9 3 2  
♥ 10 9 5  
♣ AKD1076

♠ W 8 6  
♥ AKDW9  
♠ D 7 6  
♣ 8 2

♠ D 5 4  
♥ 7 5 4 3 2  
♠ 3 2  
♣ 5 4 3

♠ A K 7  
♥ 10 8 6  
♠ AKW84  
♣ W 9

„S” doliczywał się do szlemika w karo. Po pierwszej odzywce „S” o-

brońca „W” zgłosił kiery. Własny partner przez licytację dwa kiery dał znać, że nie oddaje lewy w tym kolorze i po zgłoszeniu czarnych kolorów tak sobie mile gawędząc doszedł do szlemika w karo.

„W” wyszedł w króla kier, zaatutowanego na stole. Widok dziańka uradował rozgrywającego. Jeżeli dama atutowa leży nieprzychylnie będzie musiał oddać tylko jedną lewą i... już witał się z gaską. Zagraną 10-tkę karowa „W” bez zmruczenia oka puścił! Jeszcze lepiej. Duży szlem murwany nawet jeżeli dama atutowa jest czwartą na prawo. Szlemem pogardzić nie należy, z pewnością siebie zaimpasował powtórnice, ale tym razem zjawiała się atutowa pani i kiery położyły szlemika bez dwóch.

Ryzyko obrony niewielkie. Wiedział, że rozgrywający musi posiadać co najmniej asa pikowego a świetne trefle zaopiekują się resztą lew. Wątpliwe jednak czy wielu graczy zdobyędzie się na takie pociągnięcie w normalnej grze przy zielonym stoliku.

Kazimierz Schleyen

POLSKIE ŻYCIE KULTURALNE  
**POWSTANIE —  
PLASTYKA —  
FILHARMONIA**

Z zapowiedzianego na początku roku cyklu odczytów o Powstaniu Styczniowym, zorganizowanego z okazji stulecia Powstania, odbył się kolejny, trzeci z rządu w Polskim Towarzystwie Historycznym w W. Brytanii. Na zebrań, któremu przewodniczył p. A. Sawczyński, prezes A. Ciołkosz odczytał obszerny i bogato udokumentowany referat na temat „Karol Marks a Powstanie Styczniowe”. Zagadnienie to zostało na tyle szeroko zarysowanych ówczesnych dziejów ruchu socjalistycznego w Europie i działalności jego duchowego przywódcy. Mówca wykazał przy tym ściśle powiązanie między hasłami wolnościowymi głoszonymi w odniesieniu do sprawy polskiej i tworzeniem się zrzębów międzynarodowego ruchu socjalistycznego. Przy poszczególnych etapach rozwoju wydarzeń mówca wykazywał zawsze przychylny stosunek K. Marks do spraw polskich i to konsekwentnie od początków swej działalności aż do ostatniego etapu życia. Wnioski ze swych badań na temat stosunku Marksa do Polski referent ujął w kilku punktach, podkreślając, iż pierwszą międzynarodówką, której Marks nie był twórcą, powstała na fali usiłowań organizacyjnych wywołanych powstaniem w Polsce i ożywna była idea walki o niepodległość Polski, a rzecznikiem tej idei był Marks.

Dyskusje, w której wzięło udział kilku mówców, zajął gen. M. Kukiel, który zaznaczył, że słuchał z zapałem tchem odczytu prezesa Ciołkosza, ponieważ temat ten jest mu niezwykle bliski. W r. 1908 opracował bowiem przedmowę do zbiorku wypowiedzi Marksa, Engelsa, i Liebknechta ogłoszonych przez PPS, p.t. „Odbudowanie Polski”. Miała ona na celu przeciwstawienie się przeważającej wtedy tezie Róży Luksemburg, znajdującej duży odgłos wśród socjalistów niemieckich, kładącej wówczas cały nacisk na momenty międzynarodowe. Odczyt Ciołkosza spotkał się z gorącym aplauzem licznie zebranych słuchaczy.

W życiu artystycznym znowu wysunęła się na czoło manifestacja sztuk plastycznych w postaci szczególnie okazałej wystawy artystów polskich i obcych w Drian Gallery prowadzonej przez Halinę Należę. Pokaz ten urządzony został pod hasłem „Mistrzowie XX wieku” i bierze w nim udział niemal półsetka malarzy i rzeźbiarzy reprezentujących najnowsze kierunki w sztuce. Dzięki niezmiernie staraniom kierowniczkich galerii udało się zebrać na tej wystawie prace takich mistrzów, jak Matisse, Mondrian, Henry Moor'a, a zwłaszcza Lacasse'a, obok licznych wybitnych twórców współczesnych. Sztuka polska jest mocno reprezentowana przez prace Potworowskiego, Żuławskiego, Turkiewicz, Franciszki Themerson i Bohusza-Szyski. Większość z nich miała w ostatnich czasach udane wystawy własnych prac, które spotykały się zarówno ze strony krytyki, jak i miłośników sztuki z jak najprzychylniejszym przyjęciem. Nie sposób jest szczegółowo omawiać prace wszystkich wystawiających w liczbie kilkudziesięciu. Wystawa potrwa do końca kwietnia i każdy zainteresowany mieszkaniec Londynu może ją łatwo zwiedzić. Poprzez nasienie tylko na zwróceniu uwagi na szczególny charakter prac plastycznych jednego z artystów, a mianowicie rzeźbiarza Burtę, który wystawił 4 eksponaty, których kształty osnute są na formach kasków dla astronautów. Poszczególne kompozycje pomysłane są jednak w ten sposób, że mogą służyć nie tylko za rzeźbę do oglądania, ale mogą być też traktowane, jako makieły czy też projekty budowlane o najrozmaitszym przeznaczeniu, od hangaru do świątyni. Jest to ciekawy przykład wzajemnego przenikania się różnych odmian sztuk plastycznych i wiązania się form w kompozycje syntetyczne. Precedensy tego rodzaju już istnieją w sztuce współczesnej i należą do najbardziej efektywnych. Jednym z nich jest katedra w kształcie korony królewskiej wniesiona w nowej stolicy Brazylii. Z tymi przejawami stożkowe londyńczyków przybyły niedawno z południowej Ameryki arch. W. Rago, którego nowy odczyt o Brazylii ilustrowany kolorowymi filmami zapowiedziany został w sali „Ogniska Polskiego”.

Z czystego obowiązku kronikarskiego wypada też zanotować ożywienie się też ruchu muzycznego, na który zło-

**W** PAŹDZIERNIKU ub. roku ukazała się w Polsce książka Zbigniewa Żaluskiego „Siedem Polskich Grzechów Głównych”. Wydał ją „Czytelnik” w niewielkim nakładzie 10 tysięcy egzemplarzy. Książkę rozchwytało. W bibliotekach są długie na nią kolejki, a ci, którym udało się ją kupić pożyczają ją znajomym prawie za pokwitowaniem. A więc sensacja pierwszej wody; przedmiot pochwał, rozmów i długich dyskusji.

Dyskusja weszła na łamy prasy. Rozpoczął ją Kazimierz Koźniewski w „Polityce” atakiem na Żaluskiego. Zarzucił autorowi brak perspektywy „prawdziwie marksistowskiej”, kult „bohaterstwa” — chociaż właśnie przed nią Żaluskiego pragnie społeczeństwo obronić — entuzjazm dla spraw minionych, przeszłych i dla dzisiejszej rzeczywistości w swym uczuciowym wspomnieniu szkodliwych. W połowie lutego na atak Koźniewskiego odpowiedział Żaluskowski. Jednocześnie w „Nowej Kulturze” i w „Polityce”. Wywiązała się przy tym ciekawa kłótnia między obydwa czasopismami. „Polityka” zarzucała „Nowej Kulturze” podchwycenie sensacji i potraktowała ją z góry jako pismo o „wielokrotnie mniejszym nakładzie”. W końcu marca „Polityka” zamknęła oficjalnie dyskusję ogromnym artykułem redakcyjnym. Z powodzi słów przebiega niepokój: intelektualni komunistyczni zabrnęli w ślepej uliczce. Rozpętała burzę, bo tak chcieli, lecz wiatry powiały w innym kierunku niż zapowiadała partyjna meteorologia.

Co się miało stać to się stało. Społeczeństwo w Polsce, a w nim jego część najważniejsza tj. młodzież, powiedziała wyraźnie, że dwadzieścia lat indoktrynacji, dwadzieścia lat orwelowskiego przepisywania historii tak by „wszystko pasowało”, poszło na marne: Polacy ani nie chcą zapomnieć swej historii ani nie chcą własnej historii potępić. Przeciwnie są do niej przywiązani. Chcą w niej szukać natchnienia. Właśnie natchnienia — niekoniecznie nauki.

W dyskusji prasowej udział wzięli ludzie z różnych środowisk i z różnych grup wieku, dzieląc się z grubszą na dwa obozy: obrońców pierwszych siedmiu rozdziałów książki, i mniej licznych, przeciwników.

Lecz dyskusja zatoczyła kręgi znacznie szersze niż wymiana zdań nad tym co Żaluskowski napisał. Stała się polemiką nad psychiczną treścią życia narodu. Jako punkt wyjścia przyjęła analizę głównego nurtu historii Polski. Za nurt ten obie strony dość zgodnie uznały nurt walki o zachowanie własnego „ja” narodowego i o własny byt państwowy. Dla jednych jest to wartość pozytywna, godna nie tylko szacunku, ale i pielęgnacji; dla drugich jest to bohaterstwo, zjawisko godne potępienia i pogardy.

Formalnie obie strony, wszyscy niemal dyskutanci podkreślają, że podstawa ocen, pozytywnych i negatywnych, jest przydatność własnej historii w pracy nad budową nowej rzeczywistości. Tą ma być Polska za ustroju i przekonania — komunistyczna.

Żyło się ostatnio kilka ciekawych, a niekiedy i wybitnych koncertów. Jednym z nich jest występ polskiego kwintetu w Wigmore Hall, utworzonego przez Bronisława Gimpla, wirtuoza skrzypcowego. W skład kwintetu wchodzi poza nim pp. Tadeusz Wrocławski i Stefan Kamas, wiolonczelista Aleksander Ciechański i pianista Władysław Spilman. W tejże sali grało również „Alpha Piano Trio”, w którym pianistką jest Natalia Karp. Wreszcie w Royal Festival Hallu wystąpiła orkiestra Warszawskiej Filharmonii pod dyr. Witolda Rowickiego z udziałem solistów: Stefani Woytowicz (sopran) i Wandy Wilkomirskiej (skrzypce). Koncert ten znalazł bardzo przychylnie przyjęcie zarówno w prasie angielskiej, jak i wśród publiczności.

(n)

PAWEŁ ZAREMBA

**DOKOŁA „SIEDMIU POLSKICH GRZECHÓW GŁÓWNYCH”**

Bez tej formułki, bez tej „legitymacji praworządności” obejść się rzecz jasna w dyskusji nie mogło. Jedni rozważają się nad nią, inni zbywają ją kilku pobieżnymi zdaniem, by przejść jak najszybciej do spraw, które ich naprawdę pasjonują i interesują.

Dla Żaluskiego ta legitymacja praworządności nie jest częścią formalnością. „Siedem Grzechów Głównych” pisał po to by dzisiejszej rzeczywistości przydać atrakcyjności uczuciowej, by z koszmaru awansować ją na dalszy ciąg historycznego rozwoju narodu. Jest komunistą i zależy mu na komunistycznej przyszłości. Czy z oportunistą, czy z przypadku, czy z przekonania — to rzecz obojętna. Przypadać musi, że do zadania zabrał się z zapałem, z talentem pisarskim i z ogromnym ładunkiem uczuciowym. Wynik? Teży, których broni gdyż potrzebne mu są dialektycznie dla celu wychowawczego, przysłaniają zupełnie i bez reszty wnioski i stają się, z licznymi zresztą wyjątkami, nie definicjami roboczymi lecz stwierdzeniami ostatecznymi.

Żaluskowski chce oczyścić fakty z otoczki fałszu, sądząc, że mu to pomoże oprócz interpretacji terażniejszości i wskazywania na przyszłość o mocniejszy fundament. Za obronę faktów należy mu się uznanie, może nawet wdzięczność. O interpretacji na teraz i na przyszłość powiedzieć można tylko tyle: nie udało ci się bo ci się udać nie mogło. Prawdziwy fakt nie udowodni fałszywej przesłanki, choć masz rację gdy mówisz, że roli tej nie spełnił fakt sfalszowany.

Z kim właściwie toczy się rozprawa? Żaluskowski uderzył w „szydlerów”, w przejawy narodowej i kulturalnej „znieczulicy”. Objaw rzekomo typowy dla dzisiejszego, młodego pokolenia. Wypływa on rzec jasna z goryczy, z bezradności każdego wysiłku ku lepszemu, czy to w rzeczach, które niesłusznie nazywamy małymi bo są „codzienne”, czy też w płaszczyźnie wyższych rzędów: celów politycznych i ideowych życia narodowego. Gorycz ma źródło w świadomości jednego tylko faktu. Polska nie jest krajem niepodległym. Jest skazana na ustrój, który jest jej obcy pochodzeniem i treścią. Próby polepszenia go w sposób organiczny, od wewnątrz, wydają się tak trudne, tak nieradne, że podejmować je mogą tylko jednostki wyjątkowo uparte, których optymizmu żadne doświadczenie nie łamie. Ogół w powodzenie takich prób nie wierzy. Stąd gorycz. W środowisku „szydlerów” nastawienie to nie ogranicza się do okrzyku „dętwą mową” i do podświadomego odzewu „nie warto” na każde hasło działania, obojętnie przez kogo głoszone. Szydlercy kpią z siebie przesuując wstecz, mszcząc się nie tylko na sobie w mazochizmie nieróbstwa na codzień, lecz także na tym co było. „Nie warto było” uzupełnia logicznie „nie warto”. A więc „wyrzucić historię Polski do kuba”.

„Wyrzucenie do kuba” nie jest wszakże wynalazkiem „szydlerów”. Jest to także, względnie było, zawołanie tych wszystkich, którym historia Polski przeskądzała w rządzeniu, w pielęgnowaniu narzuconej Polsce rzeczywistości komunistycznej. Pamiętajmy, że „szydlerów” w stosunku do historii fabrykowane celowo i pracowicie od roku 1945. W podręcznikach historii, w żalosej apoteozie nudy jaką jest „Historia Polski PAN'u” fabrykuje się ich w dalszym ciągu. A cóż powiedzieć o „dorobku” partyjnej publicystyki?

Komunizm przeraził się własnego płodu. „Szydlerstwo” stało się niebezpieczne, gdyż i w nim przejawiać się

może swoboda intelektualna. Nigdy tak się nie dzieje, by za negacją, nawet doprowadzoną do absurdu, nie czaiła się zapowiedź jakiegoś pragnienia. Z „szydlerstwa” na pewno narodzić się nie mogła miłość do komunizmu, który jest jego przyczyną. Zaczęto ostrożnie, bo w Polsce rzeczy te w ostatnich latach robi się ostrożnie, walczyć z „szydlerstwem”. Na wielu polach. Na niektórych przybrało to postać karykatury. Na odcinku wyznaczonym redaktorowi miesięcznika „Armia Ludowa”, Zbigniewowi Żaluskowskiemu, walkę poprowadzono mądrzej. Chciało by się powiedzieć zdrowiej. Dała wyniki pozytywne. Lecz inne niż chciano, gdyż „duch powiał kędy chciał”. Powiał z pożytkiem.

Żaluskowski zabrał się do obrony niektórych faktów historycznych. Bronił ich przed „szydlercami” i bronił przed entuzjastami wszelkiego pokroju. To znaczy przed wielobiciami „bohaterstwa” i „szydlerstwa”. I jedni i drudzy — twierdzi słusznie Żaluskowski — nie znają faktów, nie wiedzą o czym gadają. Jedni i drudzy operują kłamstwem. „Szydlercy” mającąc o „szarżach na czółgi”. „Frajerzy” mającąc o tych samych łancach i tych samych czółgach, lecz modlą się do mitów wypinając pierś z żalosną dumą nad idiotyzmem, który nigdy nigdzie się nie zdarzył.

Lecz Polacy nie składają się w połowie z „szydlerów” i w połowie z „frajerów”. Większość z nich ma zdrowy rozsądek. Ten im mówi: mamy taką historię jaką mamy, nie jest ani zła ani dobra, jest taka jaka jest. Jest to nasza historia i my jako naród jesteśmy historii tej produktem. Pod niejednym względem Żaluskowski wyważał otwarte drzwi.

Nie przekreśla to obiektywnej wartości twierdzenia na stronie 204 jego poprzedniej książki (pomimo zagnatanej stylistyki): „Pseudorealizacja, organicznikowskiej reakcji na nasze ofiary — rzetelne zbadanie historii niewątpliwie wytrąci spod nóg fundament jej biadoleń: mit o integralnej nieprzydatności naszego wysiłku zbrojnego i ofiar Polaków”. Banał? Na pewno. Lecz wartość banałów polega na tym, że mówią prawdę. A w zagmatwanym społeczeństwie, na którym komunizm wznosi podstawy swej pracy intelektualnej, banał może być niekiedy rewelacją.

Książka, z której zaczerpnęliśmy powyższy cytat miała bardzo mały nakład (5000 — wydał ją MON) i nie wzbudziła szerszego zainteresowania. Nazywała się „Przepustka do Historii”. Żaluskowski jest dobrym felietonistą i udają mu się tytuły. „Przepustka” jest jak gdyby próbnym brulionem „Siedmiu Grzechów”. Obrona przeszłości, rewizjonizm w stosunku do szydlerstwa, posługując się w niej przykładami — prawdziwymi i fałszywymi — zaczerpniętymi z dziejów „Ludowego Wojska Polskiego”. Tematyka nie podzielała na wyobraźnię, przykłady nie wystarczały dla rozwinięcia argumentacji.

Inaczej w „Siedmiu Grzechach”. Tu Żaluskowski rozpracowuje argumentację na przykładach od Raclawic po Westerplatte. Mamy więc „grzechy” takie jak z „kosami na armaty”, z „szablami na baterie”, z „lancami na czółgi”. Mamy Somossierre, Krojanty, mamy analizę prawdy historycznej w zestawieniu z mickiewiczowską „Redutą Ordoń”, mamy obronę Ponia-

**„POLAND AND GERMANY”**  
Kwartalnik wydawany przez Ośrodek  
Badań Zagadnień Polsko-Niemieckich  
Adres korespondencyjny:  
20 Princes Gate, London S.W. 1.

rowskiego przed kretyńskimi atakami „intelektualistów” w rodzaju Wiesława Górnickiego. Wszystko pod hasłem obalenia legendy o jakoby przyrodzonej i beznadziejnie nierealistycznej tradycji polskiej, która kazała pokoleniu za pokoleniem bić się bezładu i składu. I bez celu. Jest to według słów Żaluskiewicza „wersja polskiego skretynienia”, powielana w satyrycznych opowiadaniach, w tysiącach felietonów, a nawet w recenzjach teatralnych i filmowych (która) stała się obiegową formułą obowiązującą zwłaszcza t.zw. „nowoczesnych”.

Żaluskowski bez trudu rozprawia się z głupstwami powtarzającymi ad nauseam przez ahistorycznie myślących szydlerów i bohaterzczyków. Jedni i drudzy uczyli się na „krótkim kursie historii Polski w siedmiu pogrzebach”.

Druga połowa książki Żaluskiewicza omawia „grzech ósmy”. Ta część właśnie, „nawiązanie do rzeczywistości dzisiejszej”, która rzekomo wpływa z logiki dziejów Polski; odrzucenie do Somossierre i powstania styczniowego, fantastycznych przygód czernastu „gwardzistów ludowych”, dytamy o nierozważalnym przymierzu i przyjaźni Polaków z „ludźmi rodzimiemi” — wreszcie apele o patriotyzm „socjalistyczny”, ba, patriotyzm „paktu warszawskiego” — to właściw „plan manewru” Żaluskiewicza. Manewr się nie udał. W tym kierunku dyskusja się nie rozwinęła. Nie ma o czym dyskutować.

Dyskutowali ludzie wybitni i mało znani. Historycy (ci spisali się najslabiej i najtchórliwiej), socjologowie, dziennikarze, studenci. Każdy próbuje uderzyć w sedno. Niesposób streszczać każdego po kolei. Zacytujmy więc bez wyboru. Pisze Andrzej Horski. Określił się jako student więc jest człowiekiem młodym. „Młodzież też Koźniewskiego nie uzna” (to znaczy też domagających się „wyrzucenia historii do kuba”), „...mamy prawo do naszej historii”... „Czy na ukształtowanie w pełni socjalistycznej świadomości mas, niezbędnym środkiem jest prerzedagowywanie historii?” I dalej „...takie receptury polecać mogą jedynie ludzie słabi”. Wiele w tych zdaniach prawdy. Lecz nie cała prawda.

„Mamy prawo do naszej historii”. To znaczy do całej historii. Z bitwy pod Lenino nikt rozsądny naśmiewać się nie będzie. Lecz nie zastąpi mu ona niczego co się stało przedtem lub co się dzieje jednocześnie. Nie myślę tu tylko o Monte Cassino (mowa ciągle o wartości czynu żołnierskiego), lub o innych dokonaniach polskich na zachodzie. Zresztą Żaluskowski nie chce wymazać ich z katalogu: usiłuje jedynie ustawić je na jednej płaszczyźnie z Wałem Pomorskim i udziałem Polaków w zdobyciu Berlina.

Myślę przede wszystkim o tym co się działo między rokiem 1864 i 1939, z momentem szczytowym w roku 1920. O tym myśli każdy.

Wykazała to dobitnie dyskusja nad małą książeczką, która w warunkach swobody intelektualnej była by jedną z pięćdziesięciu podobnych. Lepszych lub gorszych. Lecz ukazała się tylko ta jedna, więc dyskutuje się naa tą jedną. Wyzwała się przy tej okazji tyle utajonych czy uspiołych myśli, że wydarzenie wyrasta na miarę równą prawie sprawie „Po Prostu”. Więc wniosek ostatni: wtlaczanie w społeczeństwo doktryny, „redagowanie” faktów i uczuć, nie zdołało wywieńczyć psychiki społeczeństwa, nie zdołała przekształcić go w potulnego odbiorcę namiastki prawdy i namiastki wolności.

## WIELKANOC W NORWEGII

(Dokończenie ze str. 1)

pod koniec kwietnia, trudno nakazać pogodzie by się trzymała ściśle kalendarza a jednak tak się jakoś dzieje, że ów dwu- do trzytygodniowy okres bajejcznej pogody zawsze w Norwegii zahacza o Wielki Tydzień, niedzielę i poniedziałek wielkanocny bez względu na to na które dni w roku przypada Wielkanoc. Niepójcie, prawda, a przecież tak tu jest. Patron Norwegii, św. Olav, nie leni się i potrafi wyprosić u Pana Boga słońce na Wielkanoc dla swojej podopiecznej.

Do przymilnego uśmiechu pogody dodajmy dwa inne swoiste czynniki: nawet najpóźniejsza Wielkanoc to jeszcze w Norwegii nie wiosna, to ciągle zima, chociaż już łagodna, przyjemna, bez dokuczliwych mrozów, nocą tylko przyrzają się małe przymrozki, za dnia słupek rtęci wspina się ponad zero (w cieniu) a dookoła pełno śniegu. Uprzątnięty w miastach trzyma się uparcie na polach a im wyżej tym go więcej i tym ponętniej się wdzięczy, lasi, zaprasza, kusi iskrzącą się białością i doskonałym stanem pod narty. Obok idealnych warunków śniegowych drugim sprzyjającym czynnikiem jest wzrastająca szybko długość dnia. Na północy kraju dzień w kwietniu wydłuża się do 19 godzin, na południu i w okolicy Oslo można bez obawy znaleźć się w ciemnościach pozostać na szlakach górskich do godziny 20-ej, nawet do 21-ej. Ale trzeba pamiętać, że z tymi zapadającymi ciemnościami to osobna historia. W Norwegii nie ma t.zw. „szarej godziny“, tak typowej dla polskiego krajobrazu, a każdej porze roku świty i zmierzchy są tu krótkie, nieomal nagłe, proces przesilenia nocy w dzień lub dnia w noc nie trwa dłużej niż 45 minut.

Jestem przekonany, że w tych właśnie zjawiskach atmosferycznych i warunkach przyrody należy szukać zagadki odmienności norweskich zwyczajów wielkanocnych. Klimat jest tu surowy, lato krótkie, słońca raczej mało, sami Norwedzy żartują, że w ich kraju 8 miesięcy trwa zima a 4 miesiące jest zimno, skoro więc na przełomie marca i kwietnia pojawia się niezmiennie od wieków takie fenomenalne nasłonecznienie musiał urobić się zwyczaj spędzania Wielkanocy nie w domu lecz poza nim. Następuje przeto powszechny exodus wielkanocny, przede wszystkim ludności miejskiej. Dom zamyka się na cztery spusty i cała rodzina wyjeżdża w góry, rzadko na wies do krewnych lub znajomych, po prostu nie uchodzi spędzić Wielkanoc we własnym czy nawet znajomym domu, bierze się wypchany plecak i narty i obowiązkowo jedzie w góry. A że jest dokąd jechać, bo nie ma w Norwegii takiego miejsca, z którego do najbliższych gór czy choćby tylko wzgórz szło się dłużej niż godzinę, że jest również gdzie zatrzymać się, bo różnych hoteli, pensjonatów, gospód czy schronisk stoi wbród, przeto miasta wyludniają się, półmilionowe Oslo wygląda na Wielkanoc jak po dżumie. W żadnym domu nie robi się porządków wielkanocnych, nic się specjalnie nie gotuje, nie piecze, nie smaży, nie zastawia się śniadania wielkanocnego, nie przyrządza żadnych przysmaków wielkanocnych, do nikogo nie pisze się kart z życzeniami, nikogo się nie przyjmuje, nawet ci, którzy zostają w domu, wychodzą bodaj na spacer za miasto, nie ma cioci, nie ma babci, każdy spędza Wielkanoc na własną rękę, od biedny mąż z żoną, uradziwszy przed tym dokąd by to wysłać dzieci. Wielkanoc jest świętem indywidualnym, nie rodzinnym i spędza się ją na wyjeździe, rzadko w domu. Zupelnie inaczej bywa na Boże Narodzenie, nosi ono charakter święta rodzinnego, obchodzi się je uroczyście i w domu, pora

jest ciemna i ponura, więc ludzie garną się do siebie, zapala się choinkę, spożywa w jak najliczniejszym gronie wieczerną wigilijną, zaprasza gości, stół ugina się od smakolików, wymienia się prezenty, jednym słowem na Boże Narodzenie ludzie trzymają się domu, na Wielkanoc z domu uciekają.

Taki exodus wielkanocny rozpoczyna się w Norwegii już w sobotę przed Niedzielą Palmową, chodzi bowiem właśnie o to by się nasycić słońcem i pogodą. Większość fabryk i urzędów nie pracuje przez cały wielki Tydzień, zamyka swój interes fryzjer i szewc, zamykają się co większe restauracje i sklepy, nieczynne są teatry, kina i łaźnie, zakupy świąteczne trzeba załatwić do środy ponieważ od Wielkiego Czwartku, który w protestanckiej Norwegii jest najuroczystszym dniem Wielkiego Tygodnia, zamyka się nawet najmniejszy sklepik, czynne są tylko straży pożarna, pogotowie lekarskie i policja. Wspaniałe zorganizowany jest wyjazd ludności z miast, ile ludzi by nie wyjeżdżało każdy znajdzie miejsce w pociągu, autobusie lub na statku, dostawia się bowiem dodatkowe środki komunikacji. Nie ma mowy o tym by ktoś się nie dostał, nieraz wypadnie wprawdzie czekać na długie koleje, ale każdy wie kiedy odjedzie i że na pewno odjedzie. Dworce i przystanki są zatłoczone, ale nie ma bałaganu.

Na Boże Narodzenie Norwedzy obchodzą się, na Wielkanoc wystarczą im byle co, ani w sklepach nie widzi się nadmiaru towarów, ani w domu nie robi się specjalnych zapasów, główną treścią norweskiej Wielkanocy jest świeże powietrze i słońce. Przero i kościoły, nawet katolickie, mają w okresie wielkanocnym znacznie mniejszą frekwencję wiernych niż w innych porach roku.

Niewątpliwie taki zwyczaj spędzania Wielkanocy jest zdrowy i higieniczny, świeże powietrze, słońce, śnieg, narty, wszystko to bardzo piękne. Ja bym wolał jednak zostać w domu, usiąść jak Bóg przykazał przy stole i w pierwszy dzień świąt albo zaraz po Rezurekcji wsunąć sobie ze dwa trzy kilo takiej kielbasy poledwicowej od lwowskiej Telczkowiej — „tej, co wisiała tam od sufitu“ — jak przypominał Hemar. Ale nie ma takiej kielbasy w Norwegii. Tutaj, jak w Anglii, przeważnie fisz-en-czyps i brukselka, do tego szklanka mleka, po tym wszystkim łyżka tranu. Na zdrowie!

Jan Kunert

## KSIAZKA O LWOWIE

Nakładem Koła Lwowian w Londynie ukazało się drugie wydanie książki Stefana Męcarskiego: Lwów — karta z dziejów Polski. Jest to zwięzła, barwnie napisana historia miasta Lwowa od zarania jego związku z Polską do r. 1939.

Książka niezbędna w każdej bibliotece kombatanckiej i szkolnej.

## NAOKOŁO ŚWIATA

## Pułkownik Walker, Antybohater Ameryki Środkowej — Jeszcze o „Nożu w Wodzie“

Czesław Jeśman

**W** CZASIE zjazdu prezydentów republik środkowo-amerykańskich, prezydent Kennedy złożył wieniec pod postacią wolności w Parque Nacional, w San Jose, stolicy Costa Rica. Był to symbol ostatniego pojedynania. Bo też pomnik jest to całkiem szczególny. Jest to, w brzoje, grupa osób walących kijami po głowie uciekającego jegomościa. Był — czy raczej jest — nim William Walker, obywatel Stanów Zjednoczonych urodzony dnia 8 maja 1824 roku w Nashville a rozstrzelany w San Jose 12 września 1860 roku, zdumiewający antybohater niepodległości aż sześciu republik środkowo-amerykańskich.

Zresztą był niecodzienny, pomijając nawet jego tragicznie zakończone życie polityczne. Walker w wykształceniu był nie żołnierzem, ale doktorem medycyny i to nie byle jakim: studiował w Edynburgu i Heidelbergu. Po błyskotliwym dyplomie i powrocie do domu nie zajmował się praktyką, lecz został adwokatem. Nie szło mu i naturalną koleją losu przepracował się do dziennikarstwa. Był reporterem „New Orleans Crescent“, poczynał ślad za kopaczami złota wywędrowała do Kalifornii, wyszabrowanej wówczas od Meksyku, i w nowopowstającym San Francisco stał się redaktorem dziennika „San Francisco Herald“. Został też, dokładnie niewiadomo gdzie i jak, „pułkownikiem“. Przypisuje się mu autorstwo wierszyka o arystokracji kalifornijskiej:

„The miners came in Forty Nine  
The whores in Fifty One  
And when they got together  
They produced the Native Son“.

Nie będę tłumaczył. Nieznającym angielskiego oszczędzę zgrzeszenia a znającym i tak i tak oskarżę mnie o sabotaż(?). Mam w tym względzie wprawę jeszcze z „Rubensa“. Ale jedziemy dalej. W r. 1852 „pułkownik“ Walker zdecydował, że ma dość korekt i „oddolnych ruchów“ uzdrowienia społecznego i zaczął namawiać rząd meksykański, żeby go wynajął dla ochrony białych osadników stanu Sonora przed Indianami. Rząd meksykański propozycję odrzucił z miejsca. Zaledwie 20 lat wcześniej Sam Houston poczynał sobie podobnie w Texasie, również terytorium meksykańskim, no, i wiadomo czym to się skończyło. Nienawiść do „los gringos“ w Meksyku była żywiołowa i jak najbardziej uzasadniona. Mimo odmowy Walker zdecydował, iż będzie „ochroniać“ Sonorę na własną rękę. W tym celu zwerbował 50 awanturników i przekroczył granicę, poczynił zagarnął miasteczko La Paz w prowincji Baja California. Nie było tam złota i ta część kontynentu pozostała przy Meksyku.

Na wiadomość o agresji, federalny rząd meksykański choć raz zareago-

wał z błyskawiczną szybkością. Wysłano przeciw Walkerowi lotną kolumnę karną w takim tempie, że „gringos“ musieli zmiatać na ojczyznę łońo zostawiając bagaże za sobą oraz pieczęć i sztandar narodoły najnowszej republiki północno-amerykańskiej. Walker naturalnie ogłosił siebie jej prezydentem. Miała się ona składać z meksykańskich prowincji Baja California i Sonora. Na jakiś czas Walker się uspokoił. Ale nie na długo. W r. 1854 znów spróbował szczęścia. W Nicaragua odbywała się kolejna rewolucja i jedna ze stron walczących zdecydowała wezwwać Walkera na pomoc. Cieszył się on dobrze zasłużoną pochlebnią opinią wśród iberoamerykańskich watazków jako przedsiębiorczy najmnik. Tym razem obiecano mu, 52.000 akrów ziemi w nagrodę za usługi zawodowe. Walker natychmiast zaciągnął 56-ciu obwiesiów i na ich czele zjawił się w Nicaragua. Tu działalność swoją rozpoczął od zagarnięcia parowca należącego do innego wczesnokapitalistycznego pirata „Komandora“ Corneliusa Vanderbilta, protoplasty tych wszystkich innych Vanderbiltów i zaatakował miasteczko Granada, owoczesną stoliczkę republiki. Zaskoczenie było zupełne i zwycięstwo całkowite. White nie tylko rozgromił konkurencję, ale wysiadał pracodawców i w czerwcu 1854-go roku dał się „obrać“ prezydentem Republiki Nicaragua, odznaczającej się tym przede wszystkim, iż jej barwy narodowe, biała i błękitna, są kolorami arcymonarchistycznego Izabeli Korony Hiszpańskiej Krzyża Izabelli Katolickiej. Stany Zjednoczone pośpieszyły z uznaniem Walkera jako głowy państwa. Aż do zdobycia Filipin na przełomie XX wieku Stany Zjednoczone były, jak na czołową demokrację świata, ambarasująco zdobywce.

Cokolwiek by nie sądził urzędowy Waszyngton o przedsiębiorczym ziomku „Środkowi Amerykanie“ mieli go zdecydowanie dość. Prezydent Costa Rica, Juan Rafael Mora, przy poparciu finansowym Vanderbiltów, stanął na czele koalicji swojego kraju, San Salvadoru, Guatemali i tych Nikaraguańczyków, którzy opowiedzieli się przeciw uzurpatorowi. Wojna w parnych, zapowietrzonych haszczach Przesmyku Panamskiego ciągnęła się przez trzy lata. W końcu Walker dla uniknięcia dostania się w ręce zwycięskich a rozbestwionych wrogów, oddał się 1 maja 1857 roku pod opiekę marynarki Stanów Zjednoczonych. Odstawiono go ciupasem do domu. Żeby spokojnie posiedziać przez kilka lat niewątpliwie dosłużyłby się szlif generalskich we własnym kraju w nadiągającej Wojnie Secesyjnej. Ale Walkera nieodparcie ciągnęło w szkodę. Znów się wybrał do Nicaragua, tym razem przez Honduras Brytyjski. Tu powinięła się mu noga i dostał się w ręce Anglików.

Stosunki anglo-amerykańskie nie były wówczas zbyt serdeczne i Walkera wydano, przez linię graniczną, Hondurasczykom republikańskim. A ci go rozstrzelali. Ciekawe, swoją drogą, czy nastąpiło gdyby Walker zdołał utrzymać się w swojej miniaturowej satrapii. „Gdybanie“ jest dla historyka zajęciem bezplodnym. Ale felietonista podmazujący się pod historyka może sobie na to pozwolić. Szkody czytelnikom tym nie przyniesie: i tak go nie traktują „poważnie“. Otóż nie jest wykluczone, że powodzenie awanturnika bardzo decydująco wpłynęłoby na dzieje świata. Ekspansja Stanów Zjednoczonych zdecy-

dowanie skierowałyby się na południe, Meksyk mógłby zostać wchłonięty przez Stany Zjednoczone. Wojna Secesyjna albo nie wybuchłaby albo mogła mieć inny przebieg. Nie byłoby epizodu Cesarza Maksymiliana i antyeuropejskich uprzedzeń kolejnych rządów amerykańskich przez cały wiek XIX. A to z kolei zaważyłoby na wszystkim. Bardzo absorbujące jest „gdybanie“.

Tyle tak entuzjastycznie i tak słusznie napisano o wspaniałym polskim filmie „Nóż w Wodzie“ w londyńskiej prasie i angielskiej i polskiej, że trudno powstrzymać się, żeby nie dolożyć swoich pięciu groszy. Chcę założyć małe „votum separatum“. Krytycy „Noża“ podkreślają, że jest „apolityczny“. Bezpośrednio oczywiście że tak. Ale pośrednio — i bardzo subtelnie — jest znacznie bardziej „polityczny“ aniżeli się sądzi na pierwszy rzut oka. Polański, reżyser, nie komentuje, nie potępia, nie rozdziera szat. Ale pokazuje rzeczywistość w której w niedzielę na drogach nie ma samochodów w ogóle, gdzie automatycznym domniemaniem na widok samochodu osobowego jest jego przynależność „do ambasady“ oraz dalsza refleksja, że „tylko one podwożą“, że należy nieomal popełnić samobójstwo, żeby zatrzymać pędzący samochód, że Mazurskie Jeziora są bezludziem i mimo to „ukradli wycieraczki“ na przystani, że dziennikarstwo „sportowe“ — zajęcie raczej marginesowo-kulturalne — może w „Republice Ludowej“ zapewnić na swoich szczytach samochód i bardzo piękny jacht, na własność, co i w świecie „kapitalistycznym“ byłoby pięknym osiągnięciem materialnym. (Nikt z londyńskich paczkiewiczów nie chlubi się prestiżowo jachtem. A szkoda). Komentarz sprawozdawcy sportowego z Ankar, który słyszymy w kabine jachtu — (... Jak ten Moli mógł przegrać...) jest: miałym a odpychającym klejnocikiem. Wybuch bohaterki jest jednym z najbardziej gorzkich komentarzy właśnie codziennego „uspołecznionego“ życia.

No, i jeszcze jedno. Trójce młodych ludzi, dwoje mężczyzn i kobieta. Spędzają 24 godziny na pokładzie jachtu. Moczą się w wodzie i są zlewani deszczem. Ale żadnemu z nich nie przyjdzie do głowy wyczyścić zęby czy opłukać ręce. Bardzo się dużo zmieniło w automatycznych odruchach od czasów kiedy i ja pływałem na znacznie skromniejszych jachtach na Bralskich Jeziorach. Cobym dał, swoją drogą, żeby popływać na Mazurskich wspaniałościach. Szczególnie na „takim“ jachcie. No, i żeby Jolanta Umańska, jakże niezwykle zjawisko i aktorskie i damskie — była trochę mniej produktem klimatu polsko-ludowego. Mówię oczywiście o roli a nie o ślicznej panience, której, niestety nie znam.

## BILETY

KOLEJOWE, SAMOLOTOWE, OKRETOWE

Formalności związane ze sprowadzaniem rodzin z Kraju oraz wyjazdy do Polski. Szybko, sprawnie, tania

ZALATWIA  
TAZAB TRAVEL LTD

273, Old Brompton Road,  
LONDON, S.W. 5  
Tel. FRE 1186  
MANCHESTER 16  
47, Gt. Western St.  
Tel. Moss Side 4683  
BIRMINGHAM 2

39 Corporation St. :: MID 1526

## JAN BAK

POLSKA AGENCJA KUPNA I SPRZEDAŻY NIERUCHOMOŚCI

Biuro główne:

9, CHARLEVILLE ROAD, W. 14.

Tel. FUL 9008

\*

Filie:

231, OXFORD STREET, W. 1.

Tel. GER 9801

\*

152, CHISWICK HIGH ROAD, W. 4.

Tel. CHI 7741/2

\*

281, NORTH END ROAD, W. 14.

Tel. FUL 6126

TEODOZYJA LISIEWICZ

## LUSTRO I OKARYNA

WÓZ przyjechał po kufry rano, a w południe wracał już tylko po skrzynię ze srebrem. Dopiero wtenczas Giulia z Francesca i Albertem miała ruszyć za nim.

Z wszystkich rzeczy, które zabierała przenosząc się do Rzymu, największą wagę przywiązywała do srebra. Nie tylko że należało kiedyś do Lukrecji Borgia, ale jeden talerz był podobno zatruty. Który? Niewiadomo. Niczym nie różnił się od innych. Giulia kupiła zastawę po jakimś Francuzie, którego rzymskie sprawy likwidowano, a ponieważ Gwido zawsze wiedział co się w mieście dzieje, natychmiast ją zawiadomił.

Liczne misy, wazy, pucharki większe i mniejsze oraz dwadzieścia pięć talerzy. Pięknie rzeźbione. Tak jak i trzy tace. Co prawda wzór na nich różnił się od zastawy, lecz herb Borgiów i tu nie budził wątpliwości.

Kiedy wspomniła mężowi o zamiarze kupna i tajemnicy talerzy, Umberto skrzywił się. Przede wszystkim powiedział, Borgowie nigdy nie byli trucicielami, co historycznie już dowiedziono, zatem zastawa nie może być autentyczna, jeżeli to prawda, że jeden talerz zatruty. Prócz tego, rzeczy cieszące się złą sławą, choćby legendarną, nie są bezpieczne. Nigdy niewiadomo czym emanują. Umberto zawsze musiał psuć jej każdą rozrywkę.

Wuj Nicolo, senior rodziny, również kupno odradzał. I chociaż w przeciwnym razie do Umberta twierdził, że Borgowie byli trucicielami, przez co nadweryli dostojność historii włoskiej, zastawa i tak nie może być prawdziwa, bo prawdziwa, jeszcze za życia Lukrecji, wyniszczyła służba papieska. Byli to przeważnie Hiszpanie, a wiadomo że ci do obsługi się nie nadają. Ale wuj każdy większy wydatek uważał za grzech równy siedmiu głównym. Nie darmo mówiono o nim, że fontanny Rzymu nie są tak liczne, jak worki złota, które składał w bankach. Rodzina szeptała, że szybkość z jaką gromadzi majątek, dawno już przekroczyła granicę dźwięku. Lecz szeptała ostrożnie. Nicolo łatwo wpadał w pasję i wtenczas również łatwo groził wydziedziczeniem. A przekroczył już siedemdziesiątkę.

Mario, przyjaciel Umberta, też radził żeby srebro nie kupować, lecz jego argumentów nie można było brać poważnie.

— Nie, łatwo ci będzie sprawdzić — powiedział — czy owa komórka likwidacyjna działa w zlej czy dobrej wierze. Żołądki międzynarodowej zbieraniny, jaką u siebie przyjmujesz, są szersze, moja droga, i odporniejsze od żołądków ludzi jadających za własne pieniądze. Więc próba z talerzami może się nie udać. I dojdzie do tego, że przez snobizm kiedyś sama kogoś otrujesz, byle podtrzymała legendę.

Giulia, mimo to, srebro kupiła. Jak się okazało, w największej tacy i najpiękniej rzeźbionej, środek był pęknięty, lecz zamiast wstawić nową płytę, środek kazala usunąć i w ramy oprawić lustro. Nazwała go „lustrem Borgiów“ i z dumą zawiesiła w swojej sypialni. Kpił z niej Nicolo, kpił Mario, Umberto wrzaszał tylko ramionami. Wiedział, że zadżumienie zastawy wnet minie i Gwido, czy ktoś inny, podsunie jej coś nowego, na czym znów skupi całe swoje zainteresowanie.

Podczas pierwszego obiadu, wśród gości panowało podniecenie, jakie daje się wyczuć tylko przy stole z ruletką — przy którym numerze galka się zatrzyma? Nikt, co prawda, potem nie zachorował, ale wieść się rozeszła i w kilka dni później jacyś dwaj Argentyńczycy prosili Gwida o przedstawienie ich Giulii. Jej przyjęcia zaczynały być głośne.

Zbliżało się południe. By zobaczyć czy wóz z Rzymu już wrócił, zeszła do

sieni. W niszy, na półpiętrze skrzynie stały już przygotowane, zamknięte na klódki, obwiązane sznurami. Westchnęła. Chyba nie przedko je rozpakuje. A może czasy przyjąć, niezwykłych znajomości i łączących się z tym pewnych wykreśleń, na tyle drobnych żeby wymagały dużej dyskrekcji, już nie wrócić?

Rok temu, po skandalu z Gwidem i opuszczeniu jej przez męża, usunęła się do domu pod Ostią. Ponieważ w tym czasie umarł stary Nicolo, sądziła że jej wyjazd nie będzie uważany w Rzymie za dobrowolną a przezorną banicję, lecz po prostu za okres żałoby. Co by jednak nie przeszkadzało, ażeby ten czy tamten zaglądnął czczeniem do jej pustelni. Tymczasem prócz Marii, którego towarzystwo dopiero teraz zaczęła cenić, nikt jej nie odwiedzał. Dobrze wychowani ludzie na wiele spraw przywykają, ale nigdy nie wybaczą najmniejszego choćby potknięcia, jeżeli staje się tak głośne, że mówią o nim nawet kelnerzy w drugorzędnych kawiarniach.

Mieszkała zatem sama, z starszą Francesca tylko i służącym. Dni miały coraz smutniejsze.

Alberto, gotowy już do drogi, z neseserem i płaszczem na ręce, wyglądał jak dyplomata udający się na jakieś międzynarodowe spotkanie, gdyby nie podbródek i policzki. Były tak wygolone i miały w sobie taką nieruchomość, jaką miewa w twarzy tylko dobra służba i poza sceną najlepszy służak w zespole.

— Wóz już wrócił? — zapytała. — Nie, madame la marquise — odparł. Jego przeciągłe „r“ odbiło się w sieni potężnym echem. Nie był Francuzem, ale jak każdy Włoch był dobrym aktorem i miał skłonność do teatralnych efektów. Jego zdaniem „Madame la marquise“, brzmiało w ustach służącego dostojniej, aniżeli rodzime „marchesa“.

— Miał wrócić przed 12-tą, a teraz jest za dziesięć pierwsza — spojrzał na zegarek.

Zegarek miał piękny. Złoty, na krokodylowym pasku. Dostał go od jakiegoś biesiadnika Giulii który, jak się okazało, nie miał pieniędzy. Gwido nie posiadał się z uciechy. Wprowadził go do Giulii jako swojego przyjaciela, nie znał jednak ani jego nazwiska, ani narodowości. Wtenczas to Umberto powiedział, że towarzystwo Gwida zaczyna być kompromitujące i wyraził życzenie, aby Giulia stosunki z nim ograniczyła. Nie była to jej pierwsza sprzeczka z mężem na temat przyjaciół.

— Czy madame la marquise nie obawia się — Alberto dodał uprzejmie, lecz dość stanowczo — że jazda samochodem, w samo południe, tuż za wozem ciężarowym, może być uciążliwa? — Jak tylko wóz wróci, natychmiast ruszamy. Czekam u siebie — odpowiedziała wchodząc na górę.

— Tak jest, madame la marquise — odbiło się o kolumny i okrągły plafon, na którym Demeter sypała z rogu obfitości frukty ziemi.

Czy znów coś się stało? myślała. W pokojach było duszno i mroczno. Okna już zamknięte, założone kratami, żaluzje spuszczone. Czy znów coś się stało? Od roku wszystko było możliwe.

Wchodząc do sypialni, w lustro Borgiów nagle ujrzała swoje odbicie. Od jakiegoś czasu, ile razy zatrzymała się przed nim, miała wrażenie, że ktoś staje za nią i patrzy na jej zmęczoną twarz i zgazowane oczy. Dlatego kazala nawet lustro zasłonić, ale dzisiaj przy pakowaniu makatę widocznie zdjęto. Zmąciło jej to całą radość powrotu do Rzymu. Dlaczego właściwie, zastanowiła się, zamiast zastania a teraz zostawiać w zamkniętym

domu, nie kazala lustra zniszczyć? Dawno powinna była to zrobić. Rozglądała się, ale nie widząc w pokoju niczego, czym mogłaby szkło rozbić, zdjęła z nogi sandały i wysokim obcasem już miała uderzyć, kiedy Francesca jak kula wypadła z przyległej garderoby.

— Marchesa, nie wolno! — zawołała, chwytając ją za rękę.

Odebrała Giulii sandały i patrzyła na nią z troską wzrokiem. Czy marchesa nie wie, że można ściągnąć na siebie siedem lat nieszczęścia albo smutnej miłości? A bywa też — niech Santa Madona zachowa! — czyjs zgon nagły? Niech marchesa uważa. Lustro to sobotwór człowieka pogrążony w letargu. Ilekroć w nie spojrzeć, jakaś myśl się oderwie i w lustro wnika. A nigdy niewiadomo — zła to, czy dobra? Dlatego żadnej budzić nie wolno. Co za szczęście, że Francesca weszła, bo strach pomyśleć, co by się stało. Od ilu lat jest przy marchesie? Patrzyła na jej dzieciństwo, na małżeństwo, na przyjęcia i zabawy, a ostatnio na sprawę z signorem Gwido. Lepiej nie wspominać. Ostrzegają. Niech więc marchesa raz jej posłucha. Niech wyjdzie stąd, niech czeka na dole. Byle w takiej chwili nie patrzyła w lustro.

Stara zdenerwowała ją jeszcze bardziej. Dobrze, dobrze, ale niech Francesca zostawi ją samą.

— A marchesa lustra nie rozbije? — patrzyła na Giulie podejrzliwie.

— Nie rozbije. Niech Francesca już idzie — znicię przywitała się.

Stara wyszła, raz po raz żegnając się znakiem krzyża.

Giulia otworzyła drzwi na taras, na ogród w dole i morze — kwadrat, ujęty w dwa rzędy cyprysów, bardziej błękitny od nieba. Daleko, na horyzoncie, ciągnęła się szara smuga dymu z jakiegoś statku. Bliżej, sunął wielki, czerwony żagiel. W cieniu żagla można by odpocząć, myślała, zawisną między dwoma błękitami bez czasu, bez doznania, bez lęku. Bez lęku?

Szybko oglądnięła się za siebie. Ale pokój był pusty, boczne drzwi zamknięte. Tylko po lustrze, co kątem oka dostrzegła, przesunął się jakby cień. Chyba jej własny. Możliwie. Odwróciła głowę.

Ogród, spadający ku wodzie jak kolorowe frędzle, drzemał w plamach białych i szafirowych, leniwie czekając godziny, kiedy słońce zacznie się chylić i długie, fioletowe cienie rozsnują się po zboczach, a powiew od wody zdejmie z niego błogosławioną mękę południowego bezwładu.

Wzrok zatrzymała na kępach róż i nicotiany, gdzie dwie nimfy, białe od ciepła, jakby czekały tylko, kiedy satyr zanurzony w chłodzie pergoli, zagra im na swojej kamiennej okarynie, by ruszyć z nimi w skok taneczny. Już okarynę podnosił do ust, już palce do niej przyłożył i — tak zastygł. Jak gdyby dobroliwa Lechese w ostatniej chwili zatrzymała nad nim rękę Antropos.

Nawet w kryształowe ranki, kiedy powietrze zdaje się dzwięczyć jak trącone kieliszki, Giulia teraz bała się tam schodzić. Ten sam lęk, jaki ukazywał się w lustrze, szedł za nią tutaj, płosząc pogodę kamiennych boginek i satyr.

Od chwili przeniesienia się do domu pod Ostią, coś krążyło koło niej, nie dając spokoju nawet w nocy. Tylko pomyślała o czymś, dotknęła czegoś, natychmiast z rąk się wymykało, obracając przeciwko niej. Jakby jakieś złośliwe moce sprzegły się, by zatruc jej każdą godzinę.

Francesca, której uwadze nic nie uszło, orzekła że ktoś widocznie urok

rzucił. Nie marchese Umberto, bo anioł to nie człowiek i Francesca modli się co dnia, by powrócił. Signore Gwido? Ma tak piękne oczy, że trudno go posadzać o „złe spojrzenie“. Gdyby dom kiedyś należał do obcych, Francesca myślałaby, że ktoś popełnił w nim zbrodnię. Bo zbrodnia wnika w mury i choćby cudza spokoju nie daje. Ale jeszcze dziadek marchesy dom stawał. Tak, tak, ktoś musiał urok rzucić. Niech marchesa pójdzie do Dominiki. Ona jedna powie. Kto w okolicy ma troskę w rodzinie, kto chory, prosi ją o radę. Bo i leczy znakomicie. Mieszka pod starym campo, a że jest ślepa, lepiej widzi od tych, którzy wzrok posiadają.

Dominika nie była stara, ani jej dom ponury. Przyjęła Giulie w altanie obronionej glicynią i poczęstowała ciernikim, czerwonym winem. Słuchając, nie patrzyła na nią, tylko na mizerną pinę wychylającą się spoza muru cementarnej. Dopiero kiedy Giulia umilkła, wzrok skierowała na nią. Giulia spuściła głowę. Oczy zachorki miały wyraz tak jasny, że zdawały się przenikać każdą materię.

Nie, zły urok lęku nie spowodował. To signora musiała popełnić coś, co rzuci cieniem na serce. Coś, co równa się zbrodni, chociaż Dominika widzi, że kropla żywej krwi nie padła. Niech sobie przypomnia i powie. Bo już sama szczerzość może lęk odgonić. Niech pomyśli.

Giulia przymknęła oczy.

**R**OK temu, kiedy syty życiem Nicolo zachorował, majątek zapisał Adrianowi, Giulii wyznaczając tylko rentę. W porównaniu z spadkiem kuzyna, renta była jałmużną. Giulia miała długi i liczyła na wuja. Złaszcza palący był dług za srebro. Teraz Adriano żadnego nie spłaci. Nie mógł jej darować sprawy z Gwidem, tak jak jego żona, piękność bez rozgłosu, nie mogła darować lekkości, z jaką Giulia przeszła nad skandalem. Gdy więc w drugim tygodniu choroby wuj niespodzianie wezwał ją do siebie, z bijącym sercem weszła do pokoju, gdzie w mroku, na poduszkach, rysowała się jego wąska głowa.

Pielęgniarka szepnęła, że jest bardzo osłabiony, więc rozmowy nie należy przeciągać. Nicolo krótkim burknięciem odprawił pielęgniarkę, obiecując jej sporą wiązkę rzeczy przykrych, gdyby weszła zanim zadzwoni. Potem kazał Giulii usiąść koło siebie, bo jak powiedział, głosu nie może wysłać i wcale żwawo oznajmił, że jest wtorek, a lekarze orzekli, że czwartku nie doczeka. Słyszał, bo słuch ma doskonały. Zresztą zna swoją godzinę, bo człowiek uczciwy zawsze sam ją wyczuwa.

Z Bogiem jest w zgodzie, więc niczego się nie ięka. Majątek dostanie Adriano, bo najporządniejszy z całej rodziny. Lira nie zmarnuje, co na pewno zrobiłaby Giulia, którą uważa za skończoną ladcownicę. Wyzaczył jej rentę, żeby na starość nie żebrała pod kościołem, co wstyd dla rodziny. Ale pytanie, czy tak nie skończy. Wliczył wszystkie jej grzechy i dodał, że Umberto nie jest taki głupi jak się zdawało, bo zamiast pojedynkować się z Gwidem, rzucił ją, dając właściwym słowem. W przeciwieństwie do Adriana nie ma w niej nic z szlachetności potomków Teodoryka i zdolna jest do każdego podłego uczynku, o czym on, umierający starzec, wie doskonale.

Wypowiedział to jednym tchem, a ponieważ był umierający, tchu mu zabrakło.

Jest kobieta, zaczął po chwili, wobec której ma pewne obowiązki, lecz nikt,

zwłaszcza Adriano, nie powinien o tym wiedzieć. Zresztą Nicolo zajmował w Rzymie zbyt poważne stanowisko, by można przypuszczać, że cokolwiek łączy go z Giną Lucca. Niech, Giulia dobrze zapamięta nazwisko i adres, bo zaraz do niej pójdzie. To wyjątkowo porządna dziewczyna. Ponieważ z całej rodziny jedna Giulia rozumie, że tego rodzaju sprawy zdarzają się nawet starcom stojącym nad grobem, wezwał ją do siebie.

Niech naciśnie kwadrat w boazerii po prawej stronie łóżka. Dobrze. W skrytce znajduje się osiem woreczków. Niech policy. Zaniesie je Ginie, powie że to od jej Nicola, który żegna ją, błogosławi i życzy sobie by Gina i jej siostry nie chodziły już po ulicy. Najlepiej, gdyby wyszła zamąż. Ale cóż, mężczyźni są głupi i rozsądnic nie myślą. Z tym jednak co Ginie zcstawia, może się uda. Giulia za godzinę wróci i na znak przyniesie mu pierścienek z turkusem, który zeszedł roku ofiarował dziewczynie na urodziny.

W woreczkach, jak się Giulia przekonała, było w złocie i brylantach niemal tyle, ile dziedziczył Adriano. Zatykać wieść o skarbach wuja nie była plótką zrodzoną z złośliwości rodziny i Giulia tym boleśniej odczuła swoją krzywdę. Mimo to, jak kazał, po godzinie przyniosła pierścienek. Zgodnie z wyrażonym życzeniem, pierścienek włożono mu do kieszeni fraka i tak pochowano.

Przyszłość zapowiadała się teraz pomyślniej.

(Dokończenie nastąpi)

**GRYF PRINTERS (H.C.) LTD.**  
171, Battersea Church Road.  
LONDON, S.W. 11.  
Telefon: BAT 0879

## LIST DO REDAKCJI

## POLSKIE KOŁO TOMISTYCZNE

Szczegółowy Panie Redaktorze,

Od 1943 roku działało w Londynie przez 5 lat Polskie Koło Tomistyczne. Działalność Koła została zawieszona.

Obecnie powstała myśl, by jego działalność wznowić, ale na nowych zasadach i z poszerzonymi celami. Jako ostatni prezes Koła proszę dawnych Członków o skomunikowanie się ze mną.

Zapraszam również do współdziałania osoby zainteresowane myślą i filozofią katolicką, a zwłaszcza Subskrybentów polskiego tłumaczenia Sumy teologicznej św. Tomasza z Akwinu. W ogólnostanowym ruchu tomistycznym nie powinno braknąć również udziału Polaków.

Łączę wyrazy szacunku

Adam Kosiba  
7, Kerrison Road,  
London, W.7., England

Londyn, 11.4. 1963

P.S. J. Św. Jan XXIII udzielił ks. arcybiskupowi J. Gawlinie i ks. prał. S. Belchowi błogosławieństwa apostolskiego dla polskiego wydania „Sumy“.

Wzmocnijcie nerwy i oczyszczajcie krew, a będziecie cieszyć się zdrowiem i wzmoczoną wydajnością w pracy!

Wyciąg z życiodajnych gruczołów zwierzęcych.

## KALEFLUID

Używanie naszego preparatu polepsza stan zdrowia w sposób bardzo znaczny, w wypadkach ogólnego osłabienia, depresji nerwowej, zmęczenia, wyczerpania, zaburzenia i starości. U kobiet również w wieku przejściowym. W sprzedaży w wielkich aptekach. Wyślijmy bezpłatnie w języku polskim przepisy używania.

Laboratoire B. KALEFLUID  
FRANCJA.  
66, BLD. EXELMANS, PARIS 16-e.

**PORUSZENIE** rewolucyjne, jakie szło przez Polskę od 1861 roku: wielki ruch manifestacyjny, represje rosyjskie, zabici i ranni na ulicach Warszawy zwracały żywą uwagę opinii publicznej na Zachodzie Europy, wywołując wszędzie falę sympatii i poparcia dla dążeń wyzwoleniczych Polski. Stojący na czele przygotowani powstańców Centralny Komitet Narodowy, reprezentujący tak zwanych „czerwonych“, pragnął sympatie te przekuć na konkretną pomoc dla przyszłego powstania. Nie oczekiwał jej od rządów, szukał jej w rewolucyjnych i demokratycznych środowiskach europejskich.

Od czasu „wielkiej emigracji“ kanonem politycznym demokracji polskiej była bowiem solidarność ruchów rewolucyjnych i narodowo-wyzwoleniczych w walce z despotyzmem i absolutyzmem monarchów. Z solidarności wypływał nakaz wzajemnej pomocy. Doświadczenia „wiosny ludów“ unaczyniły jeszcze bardziej potrzebę zorganizowanej, zsynchronizowanej i solidarnej walki ludów o przekształcenie Europy i zapewnienie narodom prawa do niepodległości i zjednoczenia.

Szukając pomocy, Centralny Komitet Narodowy występował wobec ruchów rewolucyjnych silny swoim programem, zapowiadającym odrodzenie Polski w granicach przedrozbiorowych, ale jako Rzeczypospolitej trzech narodów z prawem każdego z nich do niepodległości, zniesienie wszelkich przywilejów, zrównanie wszystkich obywateli państwa i bezzwłoczne uwłaszczenie chłopów. Społeczny radykalizm tego programu zyskiwał mu sprzymierzeńców wśród demokracji europejskiej.

### Mazzini

Z drugiej strony walka narodu polskiego o niepodległość była dla rewolucjonistów europejskich elementem ich własnej polityki, elementem, który uwzględniali w swych dążeniach i planach. Ewentualne powstanie w Polsce, wiążące siły caratu, stawało się w innych krajach hasłem do rozbudzenia rewolucji, wysuwających swe własne cele narodowe i społeczne.

W roku 1862 pisał znany przywódca rewolucji włoskiej Józef Mazzini do przewodniczącego zebrań, obradującego w sprawie polskiej w Guildhall w Londynie: „Nie mogąc uwolnić się od uprzednio zaciągniętych zobowiązań, wierzę, że nikt z moich polskich przyjaciół nie weźmie tego za wyraz obojętności dla sprawy, z którą jestem dziś jak i zawsze związany jako człowiek, jako demokrat i jako Włoch.“

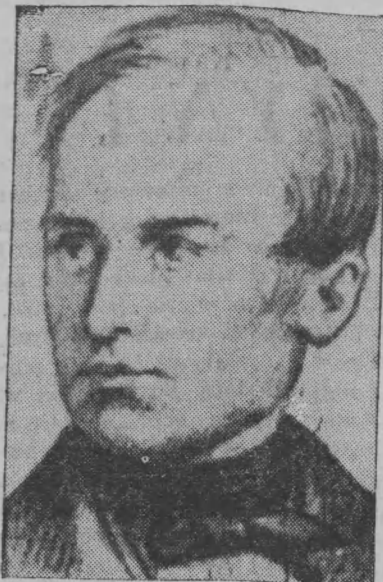
Jako człowiek, ponieważ wasza sprawa jest sprawą słuszności przeciw nagiej sile, Wolności przeciw tyranii, Bożego postępu w życiu przeciw bezwładności — i zbliża się szybko czas, kiedy obecnie panującą formułę „każdy dla siebie“ zastąpi formuła „każdy dla wszystkich i Bóg dla każdego“.

Jako demokrat, ponieważ wasza sprawa jest sprawą Demokracji i gdy Polska podniesie się ze swego łoża męczarni do nowego życia, wyznaczonego jej przez Boga dla dobra rasy słowiańskiej, będzie to Polska nie tylko szlachty lecz ludu.

Jako Włoch, ponieważ niezależnie od naszego wspólnego celu, jakim jest narodowość, Polska i Włochy mają wspólnego wroga — Austrię...“

Byliśmy razem i pracowaliśmy wspólnie na naszym wygnaniu, będziemy stali obok siebie w wydarzeniach nadchodzącej walki...“

List ten wyrażał uczucia i poglądy nie tylko Mazziniego, ale i skupionego wokół niego rewolucyjnego ruchu włoskiego oraz działającego od roku 1850 w Londynie Centralnego Komitetu Demokracji Europejskiej. Obok



Józef Mazzini

Mazziniego wchodzili do niego z ramienia Francuzów — Aleksander Ledru-Rollin, Niemców — Arnold Ruge, Rumunów — D. Bratianu. Polacy od pierwszej chwili reprezentowani w nim byli przez Centralizację Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, zaś „Demokrata Polski“ publikował wszystkie jego apele i odezwy. Jako cel stawiał sobie Komitet Europejski zespolenie wysiłków poszczególnych narodów Europy we wspólnej solidarnej walce o wolność; przygotowanie przymierza ludów na miejsce przymierza królów, kongresu narodów na miejsce kongresów tyranów; przetworzenie mapy Europy w zgodzie z wolą i prawem ludów i usunięcie przeszkód, stojących na zawadzie republikańskiej przyszłości europejskiej.

Prawdę też mówił Mazzini, gdy wspominał, że zawsze związany był ze sprawą polską. Jego współpraca z Polakami sięgała lat trzydziestych, gdy w kierowanej przez niego „Młodej Europie“ powstawała „Młoda Polska“. Serdeczna i głęboka przyjaźń Mazziniego ze Stanisławem Gabrielem Worcellem, stosunki z Lelewelem, Mickiewiczem i innymi sprawiły, że Polska i wszystko co jej dotyczyło było mu niesłychanie bliskie uczuciowo. I może nic nie oddawało lepiej stosunku Mazziniego do Polski, jak oskarżenia ze strony zarówno rosyjskiego ministra spraw zagranicznych Górczakowa, jak i pruskiego kanclerza Bismarcka, że to on właśnie kieruje ruchem polskim w 1863 roku.

Zjednoczenie się ziem włoskich w wyniku wojny z Austrią, a potem zwycięska wyprawa Garibaldiego na Sycylię i zdobycie Neapolu dla zjednoczonych Włoch spopularyzowały wśród demokratów polskich rewolucyjny ruch włoski i jego przywódców. Nie tylko Mazzini cieszył się wśród nich dużym autorytetem, żywa też była legenda Garibaldiego, w którego szeregach walczyli także Polacy (m. in. przyszły dyktator powstania Langiewicz) i który sprawował opiekę nad polską szkołą wojskową w Genui. Sukcesem więc pomocy rewolucyjnego ruchu włoskiego było dla Centralnego Komitetu Narodowego w Warszawie zagadnienie konkretnym. Toteż jego wysłannicy w okresie przygotowani powstańców kilkakrotnie konferowali z Mazzinim i wtajemniczali go w swoje plany, zawarli też z Komitetem Europejskim umowę o współdziałaniu.

### „Resurrexit“ Hercena

Drugim partnerem, z którym w Londynie szukali współpracy wysłannicy Centralnego Komitetu Narodowego, byli redaktorzy głośniego rosyjskiego pisma rewolucyjnego „Kołokoł“: Aleksander Hercen i Mikołaj Ogárov. Hercen nie był dla demokracji polskiej postacią nieznaną. Jego przyjaźń i współpraca z Worcellem, pomoc jaką uzyskał od Towarzystwa Demokratycznego Polskiego przy za-

### LIDIA CIOLKOSZOWA

kładaniu Wolnej Drukarni Rosyjskiej w Londynie, świadczenia Hercena dla drukarni Towarzystwa, jego wystąpienia publiczne w sprawie polskiej zarówno w prasie jak i na zgromadzeniach sprawiły, że stał się on symbolem współpracy rewolucyjnego ruchu rosyjskiego i polskiego. Jeszcze na łamach „Demokraty Polskiej“ w latach pięćdziesiątych Hercen wypowiedział się zdecydowanie i odważnie za niepodległością dla Polski, której odzyskanie uważał za krok wstępny i nieodzowny dla wyzwolenia Rosji. W latach 1861—1862 w związku z wypadkami w Polsce Hercen napisał i opublikował w „Kołokole“ szereg artykułów pełnych podziwu dla postawy manifestantów polskich i potępienia dla oprawców rosyjskich. Centralny Komitet Narodowy zdawał sobie sprawę z ogromnego wpływu moralnego, jaki „Kołokoł“ wywierał na intelligen-

# „NIE OPUSZCZA REWOLUCYJNICI EUROPEJSKI

rozstrzelanym, jak Śliwicki, Arnoldt i Rostkowski, dać się nadziać na bagnety, którymi Wam groził Wasz dziki kondotier Chrulow, ale nie podnieść broni przeciw Polakom, przeciw ludziodom, dążącym zupełnie słusnie do swej niepodległości. Nie możecie wspierać siłą oręża rządu będącego polskim i naszym nieszczęściem, nie popelnijcie świadomie zbrodni lub nie poniżając się do poziomu nieświadomych katów... Niepodnoszenia broni przeciw Polakom wymaga od Was sumienie, szacunek dla ich słusznej sprawy, dla godności ludzkiej i wreszcie szacunek dla naszej rosyjskiej sprawy „ziemskiej“. Albowiem dla Hercena sojusz oficerów rosyjskich z Polakami nie mógł ograniczać się do oddzielenia Polski od Rosji, ale winien był zmierzać do tego, by to oddzielenie pomogło z kolei przebudowie agrarnej Rosji. Dlatego wzywał ich,

wieczowskich, czy wrócić jako wolni do wolnej Warszawy — tak czy inaczej świat nie może wam odmówić podziwu. Czy zaznacie nowej ery niezależności i rozwoju, czy swoją śmiercią kończycie odwieczną bezprzykładną walkę — jesteście wielcy. Błogosławiona w was ojczyzna wasza; ona w swojej cierniowej koronie może być dumna ze swych synów. Szlachetnie z wdziękiem splotły się w was dwa wielkie dziedzictwa dwóch wielkich cieni: cała czystość, entuzjazm i oddanie rycerza z całą walecznością siłą dawnego Rzymianina“. Przez całą czas powstania Hercen służył męży i przedmiotem, jego „Kołokoł“ dzwonił na chwałę poległych Polaków i walczącej Polski.

Spółeczeństwo włoskie przyjęło wybuch powstania w Polsce ze spontanicznym entuzjazmem; dla ruchu włoskiego, którego przywódcami byli Mazzini i Garibaldi powstanie otwierało możliwość walki o oswobodzenie i przyłączenie do Włoch Wenecji i Rzymu.

### Odezwa Garibaldiego

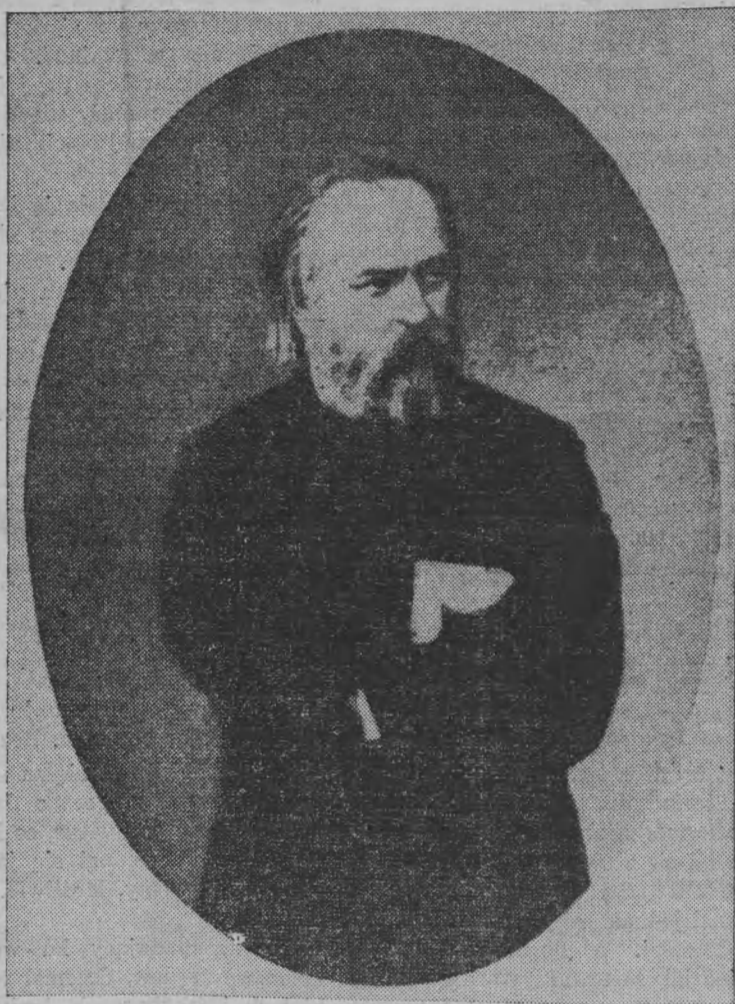
Garibaldi w lutym wystąpił z odezwą do narodów Europy, w której m. in. nawoływał: „Nie opuszczajcie Polski. Obowiązkiem wszystkich ludów jest pomóc temu nieszczęśliwemu narodowi, który daje w tej chwili świetny dowód siły i rozpacz. Bez broni, pozbawiony swej dzielnej młodzieży, wygnanej lub uwięzionej, powstał jak olbrzym...“

Nie opuszczajcie Polski. Nie czekajcie, aby was doprowadzono tak jak ja do rozpacz. Nie dopuście, aby dom waszego sąsiada spalił się, jeżeli chcecie, aby w razie pożaru, który może ogarnąć wasze mieszkanie, dano wam także pomoc...“

Nie opuszczajcie Polski. Naśladując przynajmniej waszych tyranów: oni nie opuszczają siebie...“

Nie opuszczajcie Polski. Jeżeli my wszyscy jej pomożemy, spełnimy święty obowiązek i świat będzie mógł urządzić się zgodnie z powszechnym szczęściem, które jest celem ludzkości...“

Zarówno Garibaldi, jak i Mazzini rozwinęli wielką akcję zbiórki na zakup broni i pomoc dla walczących Włochów z Austrią o Wenecję oraz poruszenie Serbów i Węgrów celem rozszerzenia konfliktów europejskich — i temu zadaniu poświęćli wszystkie siły. Na jesieni 1863 roku pisał Mazzini do swych przyjaciół angielskich: „Przyczyną, dla której chciałbym tak bardzo uzyskać ruch wenecki, jest Polska. Myślę i marzę o niej — myślę o codziennym mordzie tam popelnianym, podczas gdy Europa bije brawo umierającemu gladiatorowi i odwraca się od swych interesów. Teraz jedyną drogą uratowania Polski jest ruch węgierski; a dla ruchu węgierskiego chcemy ruchu w Galicji, ruchu serbskiego i weneckiego“. Polityka Mazziniego zmierzająca do upowszechnienia ruchu rewolucyjnego i wciągnięcia Austrii do wojny nie odpowiadała Rządowi Narodowemu, kierowanemu już w tym okresie przez „białych“, „Biali“ z jednej strony pragnęli względnej neutralności Austrii, co pozwalało uczynić z Galicji bazę zaopatrzeniową dla powstania, z drugiej zaś licząc na interwencję rządów europejskich z Francją na czele, nieradzi byli sojuszczołowi powstania z ruchami rewolucyjnymi. Z tego też



Aleksander Hercen

cję rosyjską, a zwłaszcza na młodzież. Ponadto plany powstańców Centralnego Komitetu wiązały się ze spiskiem oficerów rosyjskich w pułkach stacjonujących w Królestwie. Z oficerami tymi Centralny Komitet pozostawał w ścisłej współpracy. Ideowo spiskowcy rosyjscy powiązani byli z „Kołokołem“. Wysłannicy Komitetu Agaton Giller i Zygmunt Padlewski zawarli więc w Londynie porozumienie z Hercenem i Ogárovem, jako reprezentantami organizacji rewolucyjnej „Zemla i Wola“ w Rosji.

Pomimo, że spisek oficerów rosyjskich na ziemiach polskich został przez władze carskie rozbity jeszcze przed wybuchem powstania, a drakońskie kary śmierci i katorgi na pojmany przywódców uniemożliwiły wykonanie wspólnych planów, to jednak Hercen po zawarciu porozumienia z Komitetem Centralnym w dalszym ciągu podtrzymywał oficerów spiskowych na drodze na którą weszli. W odpowiedzi na zapytanie, co mają zrobić w wypadku polskiego powstania, Hercen pisał w „Kołokole“ w artykule „Do oficerów rosyjskich w Polsce“: „Ogólna odpowiedź jest prosta: iść pod sąd, do kompanii karnych, zostać

by przystępując do sojuszu z Polakami występować jako organizacja samodzielna, zachowując swe siły dla popchnięcia naprzód sprawy rosyjskiej. Rewolucyjni rosyjscy wierzyli, że powstanie polskie wywoła wrzenie w Rosji.

W rozmowach z wysłannikami polskimi zarówno Mazzini jak i Hercen przestrzegali przed zbyt wczesnym wywołaniem powstania. Mazzini sądził, że sytuacja polityczna nie dojrzała jeszcze do wywołania rewolucji w innych krajach, a Hercen zwracał uwagę na słabość ruchu rewolucyjnego w Rosji, na początkowy dopiero stan jego organizacji oraz na wąski jeszcze zasięg spisków oficerskich w Rosji. Z tymi zastrzeżeniami przyrzekli jednak pomocy: czy to w zakresie zakupu broni, czy gromadzenia funduszy. Obaj rozumieli jednak, że wybuch powstania może zostać sprowokowany i że prowokacją taką było zarządzenie branki.

Toteż gdy powstanie wybuchło opowiedzieli się za nim całym sercem. W artykule pt. „Resurrexit!“ pisał Hercen: „Tak, bracia — Polacy, bez względu na to, czy zginiecie w waszych nieprzebranych lasach mickie-



# AJCIE POLSKI...“

## JSCY A POWSTANIE STYCZNIOWE

o wolni  
zy ina-  
wieć po-  
nieza-  
miercia-  
ykładną  
logosła-  
ona w  
że być  
etnie i  
as dwa  
zielkich  
n i od-  
ością i  
zez ca-  
zy mu  
nił na  
dzającej

do wy-  
sponta-  
nu wło-  
i byli  
otwie-  
dzenie  
ecji i

z ode-  
ej m.i.  
Polski.  
jest  
arodo-  
wietny  
ii, po-  
r, wy-  
l jak

zekaj-  
ak ją  
dom  
chce-  
może  
wam

aduj-  
mów:

li my  
świę-  
tym  
mym  
zkos-

zzini  
a za-  
cych,  
nycie  
ę po-  
wal-  
oraz  
zelem  
skich  
zyszt-  
pisał  
igiel-  
rcial-  
eckie,  
ej —  
i po-  
bije  
wi i  
Te-  
olski  
węc-  
licji,  
Poli-  
upo-  
go i  
od-  
kie-  
przez  
rony  
Aud-  
licji  
ia, z  
rzą-  
zele,  
ia z  
też

powodu nie doszła do skutku wyprawa, którą miał prowadzić syn Garibaldiego Menotti na czele Włochów i innych cudzoziemców. Miała ona zgodnie z założeniami politycznymi Mazziniego wesprzeć partię powstańczą, zorganizowaną w Turcji przez Zygmunta Miłkowskiego (powieściopisarza Teodora Tomasza Jeża), przejść do Polski przez Rumunię i w ten sposób wciągnąć poważny konflikt dyplomatyczny w basenie wschodnim, zmusić rządy europejskie do czynnej interwencji na rzecz Polski. Odtrącenie przez Rząd Narodowy współpracy z czynnikami rewolucyjnymi nasunęło Mazziniemu gorzkie wyrazy pod adresem stronnictwa „białych“, którym zarzucał brak zrozumienia, że interwencję obcych rządów osiągnąć mogą tylko przez wzbudzenie w nich obawy, iż ruch rewolucyjny upowszechni się oraz że przez takie stanowisko zamieniają wiarę rewolucyjną powstańców na taktykę, która powstanie zabije.

Dopiero za Traugutta, gdy Austria ogłosiła już stan wojenny w Galicji, doszło do formalnego podpisania w Turynie w marcu 1864 roku sojuszu między Rządem Narodowym a Komitetem Narodowym Węgierskim, zobowiązującego obydwie strony do wspólnej walki z Rosją i Austrią aż do zupełnego wyzwolenia obu krajów. Podobny sojusz podpisano z Garibaldim, co ożywiało nadzieje na pomoc ruchu włoskiego. Było już jednak za późno, powstanie dogorywało.

### Robotnicy angielscy

Powstanie wywołało też duże poruszenie wśród robotników angielskich i francuskich. W obu tych krajach zmierzali oni do wywarcia presji na swe rządy w kierunku udzielenia skutecznej pomocy Polsce nie tylko dyplomatycznej, ale przede wszystkim wojskowej. W Anglii od wczesnej wiosny 1863 roku zebrania robotnicze i memoriały przedkładane przez wyłonione z nich delegacje żądały od lorda Palmerstona, by Anglia wraz z innymi mocarstwami domagała się od Rosji przywrócenia Polsce niepodległości i by zdobyła się na interwencję wojskową, nawet jeśli to miało grozić wojną. Argumenty Palmerstona, że zbrojna interwencja Anglii jest niemożliwa bez współdziałania Francji, skłoniły robotników angielskich do działania w sprawie polskiej wspólnie z robotnikami francuskimi. Było to tym łatwiejsze, że od roku 1862 istniały bliskie kontakty między Londyńską Radą Związków Zawodowych (London Trades Council) a robotnikami francuskimi dla wspólnej obrony przeciw obniżaniu zarobków i przeciwdziałania ciężkim następstwom kryzysu gospodarczego. Wyzyskanie tych kontaktów doprowadziło do zebrania robotniczego angielsko-francuskiego w Londynie w lipcu 1863 roku. Działacze Rady Związków Zawodowych ciesza William Randal Cramer i szwec George Odger przeprowadzili na nim uchwały, które domagały się m.i., by rząd angielski podjął rozmowy z Rosją, ale tylko na podstawie natychmiastowego zaprzestania działań wojennych i wycofania wojsk rosyjskich z wszystkich zakątków państwa polskiego oraz przestrzegaly, że rząd straci zaufanie narodu jeśli pozostanie bezczynny. Henri Louis Tollain imieniem robotników paryskich apelował o jedność działania na rzecz Polski. W wyniku tego zebrania wspólnie z delegacją francuską postanowiono wyłonić komitet celem wygotowania apelu od robotników angielskich do francuskich o stałą i solidarną współpracę robot-

ników różnych krajów. Podkreślono, że pierwszym obowiązkiem wypływającym z tej współpracy winno być wystąpienie o pomoc dla walczącego ludu polskiego.

### Głos Francuzów

Po powrocie do Francji Tollain przeprowadził wśród robotników wielką akcję zbierania podpisów pod apelem do Napoleona III. W apelu tym, którego Tollain był jednym z współautorów, czytamy m.i.: „Wobec zbrodni, popełnianych przeciw ludzkości nie ma stronnictw we Francji, jest tylko naród zawsze gotowy stwierdzić solidarność ludów.

Rosja zabija Polskę. Zabija obywateli, których nasi ojcowie nazywali towarzyszymi broni, którzy okazali się godnymi tego tytułu tak w klęskach jak i w zwycięstwach naszych... Czujemy jak krew francuska wrze w naszych żyłach.

Najjaśniejszy Panie!

Rozwiń chorągiew narodową i ogłosz światu, że wznosi się ona w imieniu świętej sprawy i że idzie za nią wielki naród!

Najjaśniejszy Panie! Zbaw, zbawmy Polskę“.

Jak wiadomo, Napoleon III nie chcąc ryzykować dobrych stosunków z Rosją nie zamierzał podejmować żadnej interwencji zbrojnej. Ograniczył się do not dyplomatycznych, a inicjatywę zwolania kongresu mocarstw i „poniesienia sprawy polskiej przed trybunał Europy“ szybko porzucił wobec oporu Moskwy. Toteż Napoleon III odmówił nawet przyjęcia adresu, pod którym tysiące robotników francuskich złożyły swe podpisy.

Nie zrezygnowali jednak ze swej akcji pomocy dla powstania robotnicy francuscy i angielscy. Tu trzeba także powiedzieć o akcji podjętej przez Niemieckie Robotnicze Stowarzyszenie Oświatowe w Londynie, które w porozumieniu z agentem Rządu Narodowego postanowiło przeprowadzić zbiórkę pieniężną dla Polski wśród robotników niemieckich w Anglii, Niemczech, Szwajcarii i Stanach Zjednoczonych. W odezwie wydanej w tej sprawie, zarzucając burżuazji niemieckiej uleganie wpływowi rosyjskim i zdradę sprawy polskiej, komitet zbiórkowy nawoływał: „Niemiecka klasa robotnicza winna w imię swego stosunku do Polaków, do zagranicy, w imię swego własnego honoru wyrazić w tym tragicznym momencie donośny protest przeciwko zdradzie niemieckiej wobec Polski — zdradzie, która godzi jednocześnie w Niemcy i w Europę. Odbudowanie Polski — oto hasło, które niemiecka klasa robotnicza płomiennymi zgłoskami musi na swoim sztandarze wypisać, skoro burżuazyjny liberalizm to zaszczytne hasło ze swego sztandaru wykreślił“. Pod odezwą tą figuruje m.i. podpis Johanna Geорга Eccarius, którego potem odnajdziemy jako mówcę na historycznym zgromadzeniu w hali św. Marcina w Londynie, w dniu 28 września 1864 roku.

### „Pierwsza Międzynarodówka“

Zgromadzenie to było punktem kulminacyjnym agitacji robotników angielskich i francuskich na rzecz Polski. Na zgromadzeniu odczytano apel robotników angielskich do braci z Francji oraz odpowiedź robotników francuskich. W obu apelach wskazano, że słuszność sprawy polskiej wymaga zbiorowego działania robotniczego dla odzyskania przez Polskę wol-

ności. Robotnicy angielscy nawoływali: „Bracia z Francji! Razem z wami oświadczamy, niechaj nasz pierwszy zjednoczony wysiłek będzie poświęcony wolności Polski. Domaga się tego słuszność jej sprawy, nakazują to zobowiązania traktatowe, a obowiązek wskazuje drogę. Lud w obu krajach musi bezwzględnie wygotować petycję, głoszącą niezaprzeczalne roszczenia Polaków do praw belligerantów i przedłożyć je jednocześnie poszczególnym naszym rządom, popierając je gorliwym postanowieniem działalności na rzecz tego zasłużonego narodu...“.

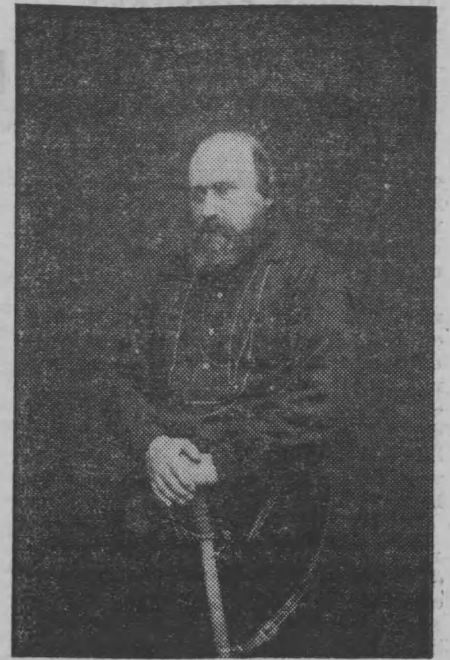
Odpowiadając imieniem robotników francuskich Tollain mówił: „Ucisł jednego narodu zagraża wolności innych narodów. W imię swej własnej godności, każdy człowiek wolny oraz każdy człowiek, który pragnie być wolny, winien jest pomoc uciśnionym swym braciom“.

Z tego zgromadzenia narodziło się Międzynarodowe Stowarzyszenie Robotnicze, potocznie zwane Pierwszą Międzynarodówką. Jej założycielami i liczącą ostoją byli robotnicy angielscy. Oni stanowili połowę składu Tymczasowej Rady Generalnej, jej przewodnictwo objął Anglik George Odger. Byli to ci sami, którzy w okresie powstania styczniowego prowadzili niezmordowanie akcję pomocy dla Polski. Toteż Tymczasowa Rada Generalna na posiedzeniu swym w dniu 29 listopada tegoż roku jednomyślnie podjęła uchwałę: „Walka Polaków o niepodległość była prowadzona w powszechnym interesie narodów Europy; jej klęska jest silnym ciosem dla sprawy cywilizacji i postępu ludzkiego. Polska ma niewątpliwie prawo żądać od czołowych narodów Europy, by przyczyniły się wszelkimi możliwymi środkami do przywrócenia jej suwerenności narodowej“.

### Głos Karola Marksa

Karol Marks nie był założycielem Międzynarodowego Stowarzyszenia Robotniczego, ale stał się jego duszą i mózgiem. I on nie był nowym sojusznikiem sprawy polskiej: jego wystąpienia na rzecz niepodległości Polski sięgają roku 1847 i były wyrazem jego podziwu dla rewolucji krakowskiej. Odtąd konsekwentnie w prelekcjach, artykułach prasowych i większych pracach przeprowadzał myśl, że unicestwienie wpływów Rosji w Europie i odbudowanie państwa polskiego jest obowiązkiem międzynarodowej klasy robotniczej, a zwłaszcza niemieckiej, albowiem Niemcy byli współuczestnikami w rozbiorach Polski. Wprowadził też Marks sprawę polską na pierwszy kongres Międzynarodowego Stowarzyszenia Robotniczego w Genewie w roku 1866, gdzie na porządku dziennym znalazł się punkt: „O konieczności zniszczenia wpływu rosyjskiego w Europie w celu ustanowienia prawa samostanowienia narodów i odbudowania Polski na zasadach demokratycznych i socjalnych“. Do końca życia pozostał Marks orędownikiem sprawy polskiej i może dobrze będzie przypomnieć, że wśród jego przyjaciół i współpracowników znajdował się Walery Wróblewski, naczelnik województwa grodzieńskiego i pułkownik w powstaniu styczniowym.

Powstanie styczniowe upadło, nie doczekawszy się pomocy ze strony rządów europejskich. Zawiodły też nadzieje na poruszenie rewolucyjne w Europie, które zmusi rządy do udzielenia pomocy Polsce. Jak przewidywał Mazzini, wybuch powstania zastał europejskie siły rewolucyjne jeszcze niezdolne do skutecznego działania. Gdy na jesieni 1863 roku Ludwik Bulewski zwrócił się do niego, aby wystosował adres do narodu polskiego i podpisał go wraz z innymi przedstawicielami rewolucji europejskiej, Mazzini odmówił temu żądaniu: „Nie, mój przyjacielu, nie zrobię tego czego żądasz. I właśnie powstrzymuje mnie



Józef Garibaldi

od tego może przesadzone uczucie wstydu za nas, za ludy, za Europę rewolucyjną. Na wezwanie Polski powinniśmy byli powstać. Powstanie wasze wskazywało nasz obowiązek, kreśliło drogę i dawało sposobność... Nie spełniliśmy naszego obowiązku, musimy więc milczeć...“.

W toku powstania trafne okazały się też przewidywania Hercena, że rewolucyjny ruch rosyjski jest słaby i że siły spiskowców wojskowych nie wystarczą na wywołanie poruszenia rewolucyjnego w Rosji. Przez Rosję w czasie powstania przeszła fala nacjonalizmu, wieropoddańcza wobec tronu, wrogo nastawiona wobec Polaków i wypowiedająca się za metodami Murawiewa i Berga. Fala ta zwróciła się także przeciw propolskiemu stanowisku „Kołokoła“ i Hercena, podmywając jego wielki wpływ i niszcząc popularność pisma. I masy robotnicze zachodniej Europy były jeszcze zbyt słabe, by głos ich mógł zmienić losy powstania.

Ale setki rewolucjonistów włoskich, węgierskich, rosyjskich, francuskich i innych znalazły się w partiach powstańczych na ziemiach polskich. Groby garybaldeczyka Franciszka Nullo, poległego pod Krzykawką w maju 1863 roku; jego adiutanta Luigi Caroli, zmarłego w katorze rosyjskiej; Andrzeja Potiebni, przywódcy spisku oficerów rosyjskich w Polsce, poległego pod Pieskową Skalą — oto symbole tej solidarności, której oczekiwali „czerwoni“ w powstaniu styczniowym od rewolucyjnej Europy.

### O POWSTANIU STYCZNIOWYM W PRASIE HOLENDERSKIEJ

W dzienniku „Provinciale Zeeuwse Courant“ oraz w tygodniku federacji b. holenderskiego ruchu oporu „Geesteljk Weerbaar“ — Voormalig Verzet Nederland“, ukazał się artykuł referenta prasowego SPK w Holandii red. Bogumiła Strenka o powstaniu styczniowym pt. „De Poolse januari opstand van 1863“.

### KOLONIE LETNIE DLA DZIECI W BELGII

Zarząd Macierzy Szkolnej Wolnych Polaków w Belgii organizuje kolonie letnie dla dzieci w miejscowości Comblain-la-Tour, w podgórskiej ardeńskiej okolicy w Belgii, ok. 20 km od Spa i 35 od Liege.

Ośrodek wakacyjny mieści się w muirowanym, dwupiętrowym budynku, położonym w pięknym parku, o powierzchni 2 ha. W otoczeniu domu piękna okolica z lasem i rzeką, nadająca się do kąpieli.

W koloniach mogą brać udział chłopcy i dziewczynki w wieku 8 do 15 lat. Koszty utrzymania za trzy tygodnie wynoszą £10.



Karol Marks z córką Jenny. Jenny nosi na piersiach Krzyż Powstania 1863.

MIECZYSLAW PASZKIEWICZ

# GRANICE BURGUNDII

OD LAT, zwykle ku końcowi zimy, mówiło się że trzeba wreszcie przecieć pojechać do Burgundii. I to naprawdę: „do“ a nie: „przez“. Zawsze jednak jakaś inna okolica naszej ojczyzny-Europą skusiła czy to przeczcieniem, czy wspomnieniem.

Tym razem postanowienie zapadło nieodwołalnie. Pozostało tylko ustalić co uznamy za Burgundię? Czy winodajną krainę w dolinach Yonny i Saony rozpostartą wśród pagórków i zieleni? Czy może raczej ziemie którymi władali „Wielcy książęta Zachodu“ — Filip Dobry czy Karol Śmiały — A więc także Flandrię, Brabant, Luksemburg...?

Aby uniknąć pomyłek, opuszczeń, niedopatrzeń, postanowiliśmy sprawdzić na miejscu gdzie naprawdę zaczyna się i kończy Burgundia. I tak, pod zmiennym niebem; na którym błękit przelamuje się co chwila z chmurami i deszczem, wyładawaliśmy w Ostendzie. Stamtąd niewielki spacer — dwadzieścia kilka kilometrów nawskroś płaskiego krajobrazu — do Bruges.

Schwytane w lśniącą pętlę kanałów miasto tchnie Średniowieczem i wilgocią. To tu, przed przeszło pięciuset laty Filip Piękny ustanowił Order Złotego Runa. Miasto pod władzą książąt burgundzkich obrastało w bogactwo i piękno. Do dziś też pamięta i czci swoich dobroczyńców.

Zorganizowana w salach Musée Communal des Beaux-Arts wystawa pokazuje dzieje orderu odbite w ozdobnym i ozdabiającym zwierciadle sztuki. Portrety kawalerów orderu wykonane są przez malarzy często tej miary co Tycjan, Velasquez, Rubens. Spod pędzla tego ostatniego właśnie, czy może raczej z jego pracowni wyszła podobizna Władysława IV, ta sama którą udalnie powtórzył i rozpowszechnił pod postacią miedziorytu Pontius. Obok obrazów i rzeźb wielka ilość dzieł sztuki zdobniczej: tkaniny i klejnoty, zbroje i medale.

## GANDAWA

Krypta św. Bawona pod katedrą mieści w sobie muzeum czy raczej trwałą wystawę zasobów ze skarba, a także dzieł sztuki wypożyczonych z innych kościołów samej Gandawy i regionu Meertjesland. Romańskie wnętrza nadaje się doskonale jako pomieszczenie i tło tych zbiorów. Ciężkie łuki i sklepienie środkowe, pierwotnej krypty pokryto — freskami. Ascetyczne twarze i dłonie świętych i aniołów nękają miejscami, zapadają się w kamień. Gdzieś dalej wątek opowieści o mecenazie czy cudach odnajduje się znowu, odbija niedokładnym echem w złotych relikwiarzach, monstrancjach, kielichach, w złotych miniaturach manuskryptach — mszałach, modlitewnikach i kronikach.

Z ciemnego, świecącego tylko złotem i klejnotami wnętrza wydostajemy się od razu w wyniosłą strzelistość gotyckiej nawy. Światło z którego, jak z kamienia wyrzeźbiona jest tu przestrzeń, światło namacalne niemal, oślepią i ogłuszą. Ale po chwili znowu ciasne pomieszczenie wciąga nas i zamyka: kaplica której jedną ścianę wypełnia dzieło braci Jana i Huberta van Eyck — Poliptyk Mistycznego Baranka. Początkowo olśniewa całość. Ale po chwili głód szczygółu dopominają się zaczyna o swe prawa: Twarze Adama i Ewy napietowane są już przeczcieniem wzdół i w poprzek; w ścisłej bliskości ich potoków — to portret powszechny, portret wszystkich ludzi.

Przeciwnie: donator Judocus Vijd jest tylko sobą. Ze starej i nie pięknej, ale rozświetlonej szlachetnością twarzy odczytać można tego człowieka jakby ktoś wertował kartki intymnego pamiętnika. Dobroc. Dużo dobrego osiadło wokół milczących warg.

Z katedry na miasto wyruszamy niechętnie, popędzani głodem. Mała restauracyjka obok kościoła świętego Mikolaja wydaje się pusta i zaciszna. Ale ledwie rozsiedliśmy się byli przy stole gdy zjawiała się z czeluści kuchni właścicielka by małą przestrzeń wypełnić ruchem i zgiełkiem. W swój monolog co chwila wtrąca zwroty angielskie, niemieckie, włoskie i rosyjskie. Usłyszawszy że mówimy między sobą do polsku wraca z kuchni gdzie już brała się do smażenia kotletów, eksplodując soczystą polszczyzną.

— To pani Polka?

— Ja, Polka?! Ale gdzie tam! Ja Francuzka. Ale mąż Polak i jego

Chłuba rzemiosł wielu wieków i krajów. Znakomicie ilustrowany katalog uzupełniony jest spisem kawalerów orderu, zresztą, przynajmniej jeśli o Polaków chodzi, nie nazbyt dokładnym.

W salach muzeum szkoła z Bruges reprezentowana jest nielicznie ale jaśniejąco świetnie, obrazami Jana van Eyck, Gerarda Dawida, Jana Memlinga. Dzieła tego ostatniego zgromadzone zresztą głównie w Muzeum Szpitala św. Jana. Tak jak trudno sobie wyobrazić prawdziwą znajomość El Greco bez wizyty w Hiszpanii, a Ambrożego Lorenzetti w Sienie, tak Memling jest tylko przeczcieniem, zapowiedzią — nim się zobaczy Belgię a specjalnie Bruges. Relikwiarz św. Urszuli wyrzeźbiony w drzewie w kształcie gotyckiego kościoła zdobiony malowidłami mistrza Jana przykuwa uwagę mnóstwem szczegółów, ale bardziej odcień wzrusza i niepokoi domniemy portret Marii Moreel, zatytułowany „Sibylla Sambetha“. Twarz zamysłona i nieobecna, zatopiona jest w ciemnych, nieoczywistych zieleniach tła i szaty. Przeźroczyście rąbek zbiega z czoła ku ramionom. Sibylla zapatrywała się z odrobiną smętku w czeluści przyszłości. Jest w tym spojrzeniu, w układzie ust w dłoniach pasywnie złożonych, cała beznadziejność wróżebnej wiedzy.

Tryptyk Marcina Nieuwenhofe urzeka dziewczęcą urodą Matki Boskiej podającej Dzieciątku jabłko palcami a rystokratycznymi w kształcie i geście. Dalej poliptyk inkrustowany ramiem i kością słoniową, otwiera się jak wrota snów, prawdziwych i złudnych.

Z nastaniem wieczoru wyruszamy na długą łazę. Gotyckie zaułki szlachetnieją. Domy mającą nad kanałami w milczeniu, bliskie a niedostępne. Jedynie budynek jakiejś fabryki dudni i świeci, ale i jego ożywienie jest tylko jakby gwałtownym zamotaniem się upiora. Może wszystko tu, w Bruges, co nie ma za sobą co najmniej półczwarta wieku istnienia jest złuda, przelotnością.

kamraty. Z nimi mówić, to tylko po polsku albo wcale.

Zjadamy przedko obiad i zmykamy przed powodzią słów do Zamku Książąt Flandrii. Kompleks budowli o planie służącym skutecznie obronie powstał na wzór fortec wznoszonych w Syrii przez krzyżowców: łączy ozdobność z celowością. Groźna wymowa tej architektury musiała być dla średniowiecznych mieszczan jasna. Streszczają ją trafnie słowa kronikarza Gisleberta de Mons który powiada że książęta wzniesli warownie by „... utemperować nadmierną arogancję ludności Gandawy, pyszniące się swym bogactwem i swymi ufortyfikowanymi domami wyglądającymi jak baszty...“.

Dziś opustoszałe, ciemne sale nie służą za wizerunek dla krnąbrnych tyków, czy dla obrony przed wrogą armią albo, niekiedy, przed ślepą wściekłością motłochu. Świadczą już tylko doskonałością architektonicznych proporcji — tym oczywista, że naga, odarta z mebli, gobelinów, malowideł

— o niezawodnym wyczuciu piękna u tych średniowiecznych książąt, których nieuczny naszych czasów lubią pomawiać o „ciemnotę i barbarzyństwo“.

W zamkowym muzeum kolekcja narzędzi tortur budzi zainteresowanie u grupy podlotków i wyrostków. Mijamy ich, chichoczących, szturchających się i niesfornych, dając przez zakamarki i ciemne, kręte schody na szczyt baszty. Stąd widać całe miasto: od zewnętrznego muru zamku zwieńczonego kilkudziesięcioma wieżyczkami, aż po zielen przedmieść.

Warownie sprawiły często zwiedzającym zawód: wznoszone dla wzbudzania respektu koronują skaliste wzniesienia. Na patrzących z okolicznych dolin robią wrażenie niedostępności i przepychu. Tymczasem wnętrza bywają ciasne i bez poletu. Inaczej w Gandawie: Gdzieby nie spojrzeć groźna potęga kamienia łączy się z szlachetnością linii i bogactwem brył.

Spoglądamy na północny-wschód, tam gdzie za zamglonym horyzontem kryje się Antwerpia. Brabant. Nadmorskie bogactwo, pośpiech, widmo dalekich krajów i miraż kupieckiej fortuny. W tamtą właśnie stronę często chybła spoglądają musielni książęta Flandrii nim nie zjednoczyli bogatych prowincji pod swym panowaniem.

## ANTWERPIA

Miasto pełne jest barwy, ruchu, gwałtowności, jak obrazy wielkiego Antwerpeca — Rubensa. Dzielnica portowa w ciągu dnia tętni pracą, a nocą przelotnością, pośpiechem marynarskich ucich.

Pełno tu ludzi różnych narodowości i ras. Patrzącemu na tłum uliczny przestaje dziwić egzotyka w tematach rubensowych rysunków. Antwerpie nazwane, nie bez racji, stolicą belgijskiego baroku. Przejawia się on zarówno w malarstwie Antoniego van Dycka czy i Jakuba Jordaensa w rzeźbach Quellinów, jak i w architekturze. Ale przede wszystkim, i do dziś, w trybie życia, w ulicznej codzienności.

Królewskie Muzeum Sztuk Pięknych dobrze odzwierciadla charakter miasta, zgromadziwszy nie tylko znakomite wybró obrazów namalowanych przez przedstawicieli szkoły antwerpeckiej, ale także i innych wielkich szkół europejskich. Stosunki handlowe, polityczne i kulturalne miasta — portu znajdują tu swoje echo. Przy tym widać wyraźne powiązania z Anglią Stuartów, — powiązania których ukoronowaniem jest portret Karola Drugiego jako dziecka, wykonany przez van Dycka. Młodzieńca książę, cały w purpurze i koronkach, nie uśmiecha się. Twarzyczka, otoczona jasnymi lokami jest poważna. Prawą rączką oparł na stole okrytym ciemną, lśniącą materią, dotykając wielkiego, czarnego kapelusza. Za oknem przysłonięty kotarą krajobraz rozświetlony groźnie, jakby pożogą.

Zresztą portret Karola napewno nie jest najlepszym obrazem w galerii. Daleko mu do delikatnej doskonałości „Modlającej się N.M. Panny“ Quintena Metsijs, do mocy i prostoty podobizny Filipa de Croy — jednego z naj-

lepszych portretów jakie wyszły spod pędzla Rogera van der Weyden; do wyrafinowanej lapidarności portretu Franciszka Pierwszego jako chłopca, malowanego przez Jana Cloueta; czy do zmysłowego przepychu „Madonny z Dzieciątkiem“ Jana Fouquet'a.

Przed odejściem, przed odjazdem, zatrzymujemy się przy małych krajobrazach Joachima Patinira i Kornalijusa Metsijs'a. Gdy za chwilę przyjdzie zapisać w płaską powszedność flandryjskiego pejzażu, dobrze jest obejrzeć dokładnie jego przeciwieństwo: rzeczywistość wymyślona, zbudowana z kryształów, idealną i przeźroczyście. Rzeczywistość prawdziwa, najprawdziwsza, w całym swym nieprawdopodobieństwie. Rzeczywistość marzenia.

## BRUKSELA

Autostrada — nudna i prosta — uraga wizjom Patynira. Na szczęście asfaltowa pustynia kończy się prędko, po to jednak by ustąpić miejsca dzungli z kamienia i cegły.

Miastom — poprzednio jeszcze nie widzianym — zwykliśmy przyzwykłać w myśli jakiś kształt i wymiar. Bruksela — do której dojeżdżamy — jest za duża. Nie mieści się w przestrzeni jaką pozostawił jej w wyobraźni.

Na dojeżdżnym mijamy tereny na których odbywała się niedawno wystawa międzynarodowa. Widok miejsca które zbudowano dla doraźnego efektu — zasmuca. Tandeta i utylitarność — dwa wampiry towarzyszące cywilizacji naszego wieku straszą tu co krok. Daleko tym budowlom do ruiny, a już ziele z nich nicosić. Gdy wypiełnia je tłum, pstry blask, były po prostu brzydkie — teraz są bezsensowne. Kilka zaledwie kamieni pozostałych ze średniowiecznego opactwa — wystarcza by określić jakimś celowi służyła budowla czy sala. Tu, całe architektoniczne kompleksy stoją puste i zbędne, upokarzający pomnik krótkowzroczności naszego stulecia.

Po chwili miasto chwytta nas w kolowrót wielkich bulwarów. Biegną tropem dawnych obwarowań, jak w wielu starych miastach Europy. To co zostało z dawnych murów — Porte de Hal jest dziś zamienione na Muzeum-Arsenał. Słuchane zbiory nie posiadają katalogu. Dawny, od lat wyczerpany, gdyby nawet go zdobyć nie na wielebny się przydał z racji swej pobożności i licznych błędów. W wielu gablotkach brak nawet napisów-wyjaśnień.

Parę polskich hełmów z XVII wieku oraz karcena — zbroja huskowska których zachowało się tak niewiele, rzucają się w oczy. Zbiory są bogate, ale nagromadzone jakby od niechcenia. Przedmioty zapraszają niejako do tego by je oglądać, porzucać dla innych, znowu wracać...

Po półmroku i chłodzie sal, olśniewa upał i blask wypełniający słońce. Postanawiamy iść na piechotę. Obok Pałacu Sprawiedliwości, dziedziastowiecznego kolosa o fałszywych pretensjach do klasycyzmu, obok licznych, bogatych ale nieprzytulnych antykwaratów, dochodzimy do muzeum-galerii. Jej przestronne sale zamykają w sobie zakomity i niezwykle reprezentatywny wybór malarzy szkoły flamandzkiej. Niemal kompletne jej dzieje wyczytać można z nagromadzonych tu dzieł.

I wreszcie obraz z którym zaprzyjaźniłem się od dawna. Obraz-poemat. Obraz którego piękno i wymowa z trudem znaleźć sobie mogą równe w dziejach malarstwa: „Upadek Ikara“. Podniebna podróż kończy się tragicznie. Ale na ziemi wszystko idzie zwykłym trybem. Chłop orze ziemię, pastuch śledzi leniwie obłoki. Pogodny dzień ma się ku radosnemu, spokojnemu końcowi. Treścią tego dzieła jest samotność. Samotność towarzysząca wszystkim prawdziwym wzlodom i upadkom. (Dokończenie nastąpi)

STANISLAW KOTWICZ

# Szatańskie „Miasto Aniołów“

ZGRZYTAJĄCE łańcuchami potwory uderzają z rozmachem w mury, rozwalają je w gruz. Rozwierają paszcze, nacierują ziemi, podnoszą lby i ciężko okreczając się na zadzie, wypływają ją opodal. Cały kompleks domów i domeczków wzdłuż bulwaru świętej Moniki na Beverly Hills w ruinie. Powstana nowe wielkie budowle: banki, hotele, olbrzymie sklepy, biura.

To właśnie jedna z najsłynniejszych wytwórni filmowych, „Dwadzieste Stulecie Fox'a“ wyprzedaje tereny, zostawiając sobie skromny ich ułamek. Część studiów, trochę budynków administracyjnych i nieco zabytkowych obiektów do zdjęć na powietrzu. Niewiele już ich zostało, a wygląda na to, że może już nie zostanie. Jeszcze widać w oddali drewnianą stacyjkę kolejową z torami, zwrotnicami, komiczną lokomotywką i kilku wagonami. Służyła do tylu filmów o „Dzikim Zachodzie“, była napadana przez setki bandytów i tysiące czernonoskórych, rabowano w niej kasy państwowe, zdobywano pociągi, zabijano maszynistów, uprowadzono piękne, niewinne pasażerki. Tam opodal, — biała prowansalska kapliczka, gdzie młodzieńca Jenifer Jones, jako Bernadetta, miała swe cudowne objawienie. A niedaleko, — zupełnie inny widok: narożniki ulic nowojorskich, a może chicagowskich, z wystawami sklepów, barami, straganami, kioskami, latarniami. Tam pewnie odbywały się krwawe porachunki gangsterów.

A na wzgórzach, poza chińską pagodą, — pseudogotycki pałac z zeszłego stulecia. Może tam filmowano stare wznieszące powieści siostr Emily i Karoliny Brontë, lub jeszcze starszej od nich Janiny Austen? I znów jakaś część starożytnego sklepu, na rogu pośliznęła afisz, zapowiadający występ samej Loli Montez. Któż to mógł grać wtedy tę Lolę Montez?

Hahaśliwe buldozery są czynne nie tylko tam, na terenach Fox'a. Olbrzymie Los Angeles, o powierzchni 500 mil kwadratowych, zmienia ciągle swe oblicze, usuwa stare zmarszczki, jak kobieta w salonie piękności, by robić miejsce na nowe. Ma zdumiewający apetyt. Połyka wszystko, co ruszone zębem czasu jeszcze niedołącznie się broni, gdzieś aż od pępku, „Doliną Śmierci“ na północnym wschodzie, aż do starych miasteczek nad oceanem. Do Newport, gdzie Helena Modrzejevska spędziła ostatnie swe lata, błędząc po zaciemnionych pokojach i deklamując role. (Nie ma już śladu po jej domu). Lub do Wenecji, imitacji włoskiej Wenecji, z jeszcze bardziej nieudaną imitacją placu św. Marka i mewami, imitującymi gołębie. Ale te naiwne naśladownictwa, te szczytki wielkich studiów, gipsowych kapliczek, opuszczonych stacji kolejowych, to wszystko co odchodzi, — ma dziwny, swoisty urok i szkoda, ah! wielka szkoda, że nigdy już nie powróci. Przynajmniej w tej postaci.

No, dobrze, ale dlaczego „Fox“ sprzedadł większość terenów? Musiał. Bo w pewnym momencie stał w obliczu bankructwa. Uratował wytwórnię energiczny, może nawet zanadto energiczny, Darryl Zanuck swym filmem o inwazji, „Dniem Najdłuższym“. Teraz zapowiada nowy rozkwit „Fox'a“. Mówią, że to „Kleopatra“, którą przesłałował jakiś fatalistyczny pech, była powodem sprzedaży. Bo kosztowała blisko 40 milionów dolarów. Dobrze, że nie moich.

NOWA KSIĄŻKA

Zofii Romanowiczowej

# SŁOŃCE DZIESIĘCIU LINII

POWIEŚĆ

Cena sh.14/- (lub dol. 2.00 — Frs. 10.00)

Miejscem akcji nowej książki Zofii Romanowiczowej jest Paryż podczas jednej z manifestacji algierskich, jesienią 1961 roku. Bohaterkę i narratorkę zarazem spotyka tego dnia klęska osobista. Poprzez serię reminiscencji i opisów los jej przecina się na chwilę z losom zbiorowym.

„SŁOŃCE DZIESIĘCIU LINII“ z każdą stroną bardziej wciąga w swoją gorącą atmosferę, aż do końcowej katastrofy. Autorka mówi o miłości w sposób przejmujący i śmiały, nie lekając się jej powagi i ciężaru. Cały ten dzień jest urzekający i każdy szczegół ma podobnie magiczną wagę. Autorka nie wygłasza sądów politycznej czy moralnej natury; lecz poszukuje, wędrując przez labirynt wzburzonego miasta, sensu tego, co ją spotkało.

Książka do nabycia we wszystkich polskich księgarniach lub u Wydawcy:

„LIBELLA“

12, rue Saint-Louis-en-l'Île — Paris IV.

Wyłączne Przedstawicielstwo na Wielką Brytanie:

B. ŚWIDERSKI

20, Queens Gate Terrace — London, S.W. 7.

**SZYBKIE PRZEKAZY PIENIĘŻNE do POLSKI**

Tel. FRE 3175  
**TAZAB**  
22, Roland Gdns.  
London S.W.7

W NOWYM YORKU: TAZAB, 100 East 10th str., N. Y. 3 N. Y.

LEKARSTWA!

LEKARSTWA!

We Francji

**ELKA S.A.R.L.**20 rue Legendre  
Paris 17

KRYSZTYN OSTROWSKI

RECENZJA

## „POLSKA I NOWA EUROPA“

Na marginesie książki A. Bregmana

Zarzuca się świeżo wydanej pracy Al. Bregmana\*) nadmierny optymizm. Czy słusznie? Zarzut ten byłby zrozumiały, gdyby taka książka ukazała się przed kilku laty, nawet wtedy gdy zaczynała już działać Wspólnota Węgla i Stali, Eur. Wsp. Gosp. Traktat Rzymski, który miał nadać całemu dokonywującemu się planowi od początku zamierzony strukturę polityczną. Tylko wąskie optymiści mogli taki plan powziąć i liczyć na jego urzeczywistnienie. Tylko tacy optymiści mogli wierzyć, że uda się uzgodnić tak sprzeczne interesy i przejść do porządku dziennego nad głęboko zakorzenionymi i jakże zrozumiałymi antagonizmami i to wkrótce po drugiej wojnie światowej. A jednak. Jednak wbrew wszystkiemu i wszystkim i wbrew lepszemu spodziewaniu cały plan Zjednoczenia Europy, pomysłały etapami, wszedł i wchodzi w życie w przewidzianych terminach tak dalece, że dalsze etapy mają nawet być przyspieszone.

W tym zjawisku jest jakaś niezwyczajność, jakaś odmiennosc w stosunku do przebiegu wydarzeń politycznych, do jakiego jesteśmy przyzwyczajeni. Pozwała to Bregmanowi stwierdzić, że „logika dziejowa pchać będzie do federacji“ i że „na dłuższą metę wydarzenia ze stycznia 1963 nie zatrzymają wielkiego procesu jedności europejskiej. Wszelkie próby cofnięcia zegara dziejów, nawet uwięzione przejściowym sukcesem, w końcu załamują się“, wreszcie że „Europa wkroczyła na drogę jedności i już z niej nie zejdzie“.

Bregman pisał swoje artykuły w „Dzienniku Polskim“, na których oparł swą książkę, jeszcze przed tymi wydarzeniami ze stycznia b.r. Tylko w Posliwii zdołał się do nich pospieszyć i pociętnie ustosunkować. I ustosunkował się optymistycznie.

Trudno bowiem było przypuszczać, żeby tak wielkie dzieło jak zjednoczenie Europy mogło się dokonać bez kryzysów i bez oporów i przeciwdziałania. Dziwnym się może nawet zdawać, że pierwszy kryzys dopiero teraz nastąpił, a nie ulega wątpliwości, że nie jeden jeszcze „dzie miało miejsce“.

Czy jednak to co zrobił de Gaulle przed dwoma miesiącami podważyło fundamenty tego, co już osiągnięto i czy miał to on na celu? Wręcz przeciwnie, okazało się że fundamenty zjednoczenia i wyniki gospodarce na nich oparte są tak mocne, że nawet wstrząs wywołany postawą prezydenta Francji wytrzymały. Więcej, wstrząs ten wykazał solidność tego, co zostało już zbudowane. Szóstka się nie rozleciała i wszystkie wzajemne zobowiązania są dotrzymywane — mimo że większość pozostałych uczestników zdaje się nie podzielać jego stanowiska.

Dopiero czas pokaże, co miał na celu de Gaulle. Już jednak dziś, po początkowej dezorientacji, wzmaganej propagandą, można się zorientować w założeniach którymi się kierował.

Zjednoczenie polityczne i gospodarcze Europy przeobraża układ sił na świecie. Obok super mocarstw powstaje nowa siła — potencjalnie im równa. Określa się ją jako trzecią siłę.

Używając tego określenia tendencyjnie sugeruje się, że ta trzecia siła ma być czynnikiem balansującym między dwoma wielkimi potencjami, a może nawet dążącym do porozumienia na własną rękę ze Wschodem i do wyparcia z Europy Ameryki. W pierwszej chwili mogło tak nawet wyglądać. Enigmatyczne hasło „Europa do Urału“ mogło dezorientować. Nie jednak konkretnego na to nie wskazuje, by intencją de Gaulle'a było stanięcie pośrodku, a już tym bardziej by było to zamiarem pozostałych partnerów. Przeciwnie, wszystkie autorytatywne wypowiedzi ze strony francuskiej wyraźnie stwierdzają, że współpraca „atlantycka ma oczywiście być utrzymana, z tą może tylko różnicą, że Zjednoczona Europa stając się Ameryce współmierną — będzie chciała być współrządnym ze St. Zjednoczonymi partnerem, a więc mieć odpowiedni głos w decyzjach i całokształcie polityki świata zachodniego. Gdy tak się stanie — będzie to dla nas lepiej. Będzie wówczas większa szansa unikania straszliwych błędów (blunders), które polityka kierowana przez Ocean tak starannie potrafiła akumulować i które właśnie w nas,

pośrednio lub bezpośrednio, zwykły były godzić.

Na to jednak by Europa stała się w tym właściwym znaczeniu tą trzecią siłą, musi się jak najprędzej skonsolidować. Mimo że nieodparcie ku temu idzie, trzeba eliminować wszystko, co by mogło ten proces hamować i utrudniać. W przekonaniu de Gaulle'a najłatwiej da się to osiągnąć ograniczając się na razie do dotychczasowej szóstki i eliminując partnerów o tendencjach odśrodkowych, względnie którzy by wnieśli nowe, własne trudności trudne do uzgodnienia, własne powiązania, któreby spoistości Europy rozluźniały. Takie niebezpieczeństwo pociągałoby za sobą wejście W. Brytanii, jakoby „nieodrzucenie“ jeszcze do pełnej współpracy politycznej w Zjednoczonej Europie i temu się de Gaulle sprzeciwił — w bardzo drastyczny sposób.

P. Bregman stanowczo się wypowiada za wejściem W. Brytanii do Zjednoczonej Europy i przytacza po temu wiele poważnych argumentów. Czy jednak jest to aż tak konieczne? Zapewne potencjał przemysłowy i ludnościowy znacznie by się zwiększył. Już jednak w zakresie rolnictwa trudności wydają się nie do pokonania. Trudno sobie wyobrazić, by rolnictwo brytyjskie mogło istnieć bez subsydiów i ochrony celnej — a ustępstwa na jego rzecz naruszyłyby całą strukturę E.W.G.

Autor widzi konieczność wejścia W. Brytanii również jako zabezpieczenie przeciwko ewentualnej próbie przewagi niemieckiej w Europie. Sam jednak optymistycznie w nią nie wierzy i przekonywując to uzasadnia. Aby Anglii mogli taką rolę wewnątrz Europy spełnić, musieliby się w zasadzie ustawić u boku Francuzów, a później i narodów środkowo wschodniej Europy. Czy jednak tak by było? Chyba raczej przeciwnie.

Pozostaje wreszcie pytanie, czy leży tak bardzo w interesie świata wolnego, a więc i nas i samej W. Brytanii, która do niedawna wraz z Commonwealthem była tą „trzecią siłą“, by zrezygnowała ona ostatecznie ze swej roli światowej i powiązań, które jeszcze może utrzymać i zredukowała się do roli jednego ze składników Europy, z którą i tak zgrać się jej będzie bardzo trudno. Można by raczej zaryzykować postulat, że może lepiej by było dla wszystkich, by W. Brytania utrzymała ile się da więzy ze swą Wspólnotą: była tą czwartą, może mniej już zwartą siłą, która by stała u boku Ameryki i Europy. Była tylko ona właśnie nie wzięła na siebie roli „pomostu“ między Zachodem i Wschodem — o co jest niestety pomawiana Europa.

Dziwnym jest natomiast, że de Gaulle tak drastycznie dążący do umocnienia podstaw Europy, sprzeciwił się równocześnie pełnej federacji, obstaraj przy luźniejszej formie „Europe des Patries“.

Jeszcze bardziej paradoksalnym wydaje się, że to stanowisko zbiega się z taką samą postawą W. Brytanii w razie jej wejścia do Europy. Zasadnicza różnica polega jednak na tym, że dla Anglii jest to sprawa istotna, wynikająca z jej charakteru narodowego, położenia geograficznego, jej tradycji, atawizmów, więzów ze Wspólnotą — a może i interesu. Natomiast, jeżeli chodzi o Francję, to jest to stanowisko osobiste de Gaulle'a, wynikające z jego skomplikowanej taktyki. Odrzuciła większość polityków francuskich wypowiedzia się stanowczo za Stanami Zjednoczonymi Europy. Bregman słusznie twierdzi, że to właśnie leży w interesie Polski i innych narodów środkowo wschodniej Europy.

Dla oceny znaczenia zjednoczenia Europy dla wyzwolenia Polski nie można podchodzić, jak do tego ma tendencję wielu naszych polityków, od strony wypatrywania w związku z jaką koncepcją nastąpiła taka lub inna wypowiedź na naszą rzecz, lub nawet gdzie się zarysowują jakieś możliwości doraźnych wystąpień na rzecz wyzwolenia Polski. W obecnej fazie nie ma i nie miało by to większego znaczenia. Europa nawet gdyby chciała, nie miała by jeszcze siły zrobić cokolwiek. Zresztą Francja ustami swego Prezydenta wypowiedziała się już niedwuznacznie na rzecz uznania granicy na Odrze i Nysie i nie spotkało się to z jawnym sprze-

ciwem ze strony Niemiec. Więcej teraz nie wymagamy, bo byłoby to tylko niepotrzebnym zgrywaniem się, i nie by nie dało. Z naszego punktu widzenia ważnym jest, by na miejscu rozbieżnie działających, niezbyt wielkich państw europejskich, siłą rzeczy raczej obciążających St. Zjednoczone, niż ze wspomagających, stało u ich boku nowe mocarstwo, niemal z nimi równorzędne. Wtedy równowaga sił, dziś mniej więcej zbalansowana, może przesunąć się znowu na stronę świata wolnego. Wtedy dopiero jakakolwiek rozgrywka ze Wschodem stanie się możliwa. Jest naszym zadaniem dopilnować, by odbyło się to i na naszą korzyść.

Byłoby jednak tego zaprzeczeniem gdyby, idąc za poglądem Autora, dążyć do tego, by gmach Stanów Zjednoczonych Europy budowany był na tyle powoli, by nie był jeszcze całkiem gotów, gdy będziemy mogli do niego przystąpić. Co miałyby jakoby te zastąpienie ułatwić. Być może. Ale czy ta połowicznie zbudowana Europa miałaby już dostateczną siłę, by nam to zastąpienie umożliwić?

Dla nas kluczową sprawą jest sprawa Niemiec. Bregman zajmuje się nią szczegółowo z tego punktu widzenia i dochodzi do przekonania, że hegemonia, a więc niebezpieczeństwo niemieckie, wewnątrz Zjednoczonej Europy nie jest możliwe, ani prawdopodobne, ani nawet przez Niemców pożądane. Jeżeli Francja na gruzach Prus mogła się pogodzić, jakoby na zawsze, z Niemcami, to i my, ale tylko jako wolni z wolnymi, moglibyśmy za jej przykładem tego samego dokonać. Zapewne tak, i zapewne leży to i w interesie Niemiec, a ich partnerzy w Europie winni je do tego popychać. Niestety Niemcy okazują po temu mało czynnego zrozumienia i za mało skutecznej dobrej woli. To co sporadycznie w tym kierunku próbują markować, robią niezgrabnie i powiedźmy łagodnie, nader połowicznie. Wstarczy wymienić granicę na Odrze i Nysie i tak skandalicznie załatwianą sprawę odszkodowań dla Polaków.

Mimo to nasze notoryczne położenie geopolityczne, nasze otwarte na dwa fronty granice mają po raz pierwszy szansę zlikwidowania. Po raz pierwszy bodaj w dziejach możemy mieć możliwość zakończenia z jednym z dwu wrogów, a drugiego zamienić na partnera. Gdy będzie możliwym wybierać, czy mamy należeć do wspólnoty zachodniej, czy wschodniej — nie ma wątpliwości którą z tych ewentualności naród polski by wybrał. Jeżeli zaś nie ma wątpliwości, to zadaniem polskiej emigracji politycznej jest drogę ku temu torować. Bregman słusznie sugeruje, że nasi uchodźcy polityczni powołani są do tego, by stać się pierwszymi Europejczykami i szerzyć budujący się już patriotyzm europejski.

Są to uwagi nasuwające się na marginesie doskonałej pracy Bregmana i wynikają głównie z wydarzeń, które miały miejsce już po jej daniu do druku. Jest ona niezwykle na czasie i każdy Polak, nie tylko polityk, powinien się z nią zapoznać, zanim zajmie stanowisko w stosunku do tego najdonioślejszego obecnie dla nas zagadnienia. Jest ona napisana świetnie, chociażby dlatego, że przystępnie i prosto — znacznie bardziej niż artykuł Bregmana, do którego jesteśmy przyzwyczajeni. Wyczerpuje chyba zagadnienie w obecnym jego stadium. Jest vade mecum i równocześnie programem. Sądzę, że w tych ujęciach znajduje się punkt wyjścia dla programu polityki zagranicznej polskiej emigracji politycznej.

Tylko ta mapka na okładce! To chyba przeoczenie?

I jeszcze jedna uwaga — w odpowiedzi prof. Komarnickiemu\*\*).

Nie można przyszłych losów zjednoczenia Europy przewidywać na przykładzie smutnych dziejów Ligi Narodów. Tu są już osiągnięcia i są już fundamenty, które wytrzymały próbę. Tylko nadbudowa okazała się jeszcze trochę słabą, ale i tu, gdy burza nadeszła, zachowała się trochę i wróciła do pierwotnej pozycji. Liga Narodów nigdy takiej próby wytrzymałości nie przechodziła, i pewnie by jej nie wytrzymała.

\*) Aleksander Bregman „Polska i Nowa Europa“, Polonia Book Fund, Londyn 1963.

\*\*) „Europa — nadzieje i hipotezy“ — Tytus Komarnicki, „Dziennik Polski“ 26 marca 1963.

## PRZEGLĄD SPORTOWY

### Polacy na trzech frontach w Norwegii

Oslo, w marcu

Udał się hokeistom norweskim rewanz z Polską za porażkę 2:6 na mistrzostwach świata w Sztokholmie. Polacy, zaproszeni na dwa mecze do Oslo, z pierwszego wyszli obroną reką 3:3, drugi przegrywali 2:5. Mimo to nie mogą pojąć jak zespół tak słaby jak norweski mógł wywindować się na pierwsze miejsce w grupie B. Ani zgrania, ani panowania nad krążkiem, ani konstruktywnej myśli w pociąganiach ofensywnych a technika „wygibania się“ na łyżwach pod psem. Zdaje mi się, że po prostu przypadł im w Sztokholmie ów przysłowiowy łut szczęścia, który niesprawiedliwie ominął lepsze drużyny Polski, Rumunii czy Szwajcarii. Polacy w Oslo nie wygrali, ponieważ wyrażnie nie zależało im na tym, trzaskali krążkiem potrosze dla zabawy, potrosze by odrobić pańszczyzną i wrócić do domu. Wynik jest niestety bezwartościowy, ale takiej dynamicznej linii ataku jak Manowski, Fanfara i Gosztyla — Norwedy nigdy nie mieli i do dziś nie mają. Pewną przewagę nad Polakami dała im kondycja, ten tak ważny a niezmiernie cechujący Norwęgów czynnik. Na bieżni lekkoatletycznej czy na boisku piłkarskim, na trasie narciarskiej czy wreszcie na lodowisku — wszędzie i zawsze są oni kondycyjnie tacy sami — od początku do końca. Mogą zawieść nerwy, można ich bić jak w kaczy kuper, można wnieść panikę w ich szeregi finezjami technicznymi — na samej kondycji, na świeżości i wytrzymałości Norweg rzadko kiedy poniesie uszczerbek. Co tu dużo gadać, piekielne zdrowie mają ci konsumenci mleka i tranu.

W wielkim czterodniowym turnieju narciarskim w Holmenkollen startowało 7 Polaków, nie odegrali żadnej roli. Turniej ten tradycyjnie obejmuje 7 konkurencji, wypada w połowie marca i kończąc sezon poważnych imprez narciarskich w Europie, gromadzi zawsze liczną i świetną obsadę międzynarodową. Rozgrywany co roku ma już za sobą 86 lat. Wala (Polska) zajął 31 miejsce w skokach otwartych z notą 195.80 (zwycięzca Yggeseth miał 230.25, sklasyfikowano 79 skoczków). W biegach płaskich, w slalomie i w kombinacji poszło naszym zawodnikom jeszcze gorzej, w każdej konkurencji, w której wystartowali, przychodzili w ostatniej dziesiątce. Klasycznie wypadł Gawlak w biegu na 15 km. Ukończył ten bieg 101 zawodników i właśnie tym 101-y był Gawlak o prawie 8 minut za zwycięzcą Brendenem. 8 minut różnicy na trasie 15 km to mocno kompromitujące. Popisała się tylko Begunówna. W bardzo silnej konkurencji 32 Rosjanek, Finek, Szwedek i Norweżek zajęła czwarte miejsce w biegu na 10 km. Zwyciężyła oczywiście siewcka herod-baba Kolczyna, za nią dwie supergwiazdy skandynawskie: Finka Lehtonen i Szwedka Gustafsson.

Norweski Związek Piłki Nożnej zakontrał dwa mecze z Polską. Pierwszy odbędzie się 15 maja w Oslo, rewanz 4 września w Warszawie. Ostatnie spotkanie Polska-Norwegia, rozegrane w r. 1957 w Warszawie, przyniosło zwycięstwo Polsce 5:3. J.K.

Najpopularniejszy w Europie turniej piłkarski o Puchar Europy doszedł do półfinałów. Spotkania ćwierćfinałowe dały następujące wyniki: SC Anderlecht (Belgia) — Dundee (Szkocja) 1:4 i 1:2, Galatasaray (Turcja) — AC Milan (Włochy) 1:3 i 0:5, Reims (Francja) — Feyenoord (Holandia) 0:1 i 1:1 oraz Benfica (Lizbona) — Dukla (Praga) 2:1 i 0:0. Do półfinału dostały się: Dundee, Milan, Feyenoord i Benfica. W finale powinny się znaleźć Milan i Benfica, chyba że by się nie znalazły... Przypominam,

iż finał odbędzie się na stadionie Wembley w Londynie w maju.

Najpopularniejszym koniem hippicznym świata była do niedawna sławna klacz niemiecka „Halla“. Przeszła ona do historii niemieckiego jeździectwa, bo nie ulega wątpliwości, iż przez lata całe był to najlepszy koń świata. Jej sława była wprost legendarna, choć pochodzenie nienajlepsze, bo matka raczej nieznana a ojcem był kłusak „Oberst“ a więc nie skoczek. Najpierw brała udział w wyścigach płaskich — bez większego sukcesu, potem w wyścigach myśliwskich — także bez sukcesu, wreszcie w military a więc w konkursach wszechstronności konia, ale i tu z powodu niespokojnego temperamentu — zwłaszcza w dresurze — nie nie wychodziła. Wreszcie znalazła się w rękach najlepszego jeźdźcy niemieckiego, sławnego olimpijczyka Hansa Günthera Winklera. I ten dopiero potrafił z niej zrobić najwyższej klasy skoczka, jakiego chyba świat nie widział. Dziś stara „Halla“ przeszła na „emeryturę“, nie tylko z powodu wieku, ale i dlatego że została matką małego ogierka, (co także należy zapisać na jej konto jako wielkie osiągnięcie, bo wydawało się, że i na tym polu minęły jej najlepsze możliwości). „Halla“ odniosła 126 zwycięstw w tym w 97 konkursach międzynarodowych najcięższej klasy — raz zdobyła 9 Pucharów Narodów. Jej jeździec z którym tak świetnie przez lata całe się rozumiała, zdobył 3 złote medale olimpijskie, dwa mistrzostwa świata, mistrzostwo Niemiec w skokach i szampionat Europy w skokach. Stawszy się niedawno matką przypomniła się znowu publiczności sportowej. Z tej okazji Günther w wywiadzie prasowym tak pisze o niej na łamach dziennika „Deutsche Zeitung“:

„Halla“ zawsze wiedziała doskonale o co chodzi i wiedziała to we właściwym czasie. Miała instynkt dla takich sytuacji i ogromną umiejętność dostosowania się do nich. Była szybka, swierna, umiała wspaniale się odbić i fantastycznie ocenić przeszkodę. Jest ona prawdziwym objawieniem koniarskości, prawdopodobnie najlepszym jakimkolwiek świat kiedykolwiek widział. Oczywiście miała także swoje kaprysy, była przeciwieństwem klacze ale na torze można jej było zawsze zaufać. Po zakończeniu kariery sportowej weszła w skład stadniny. Według wszelkich dotychczasowych doświadczeń pewnym było, że klacze w jej wieku nie będą miały potomstwa. Już pierwsza próba dała pozytywny wynik. Pewne znane pismo fachowe napisało wówczas: nie można cytować dwa razy wyściska. A przecież „Halla“ i tu dowiodła, że jest koniem wyjątkowym. Ojcem był fołb „Fiorentino“. W rezultacie „Halla“ wydała żrebki, które świetnie się prezentują. Niech mi pan wierzy, naprawdę trudno sobie wyobrazić subtelniejszą matkę. I to osiągnięcie „Halla“ jest rekordem, może największym w jej życiu“.

Trudno nie przyznać, że tak serdecznie o swoim koniu, który przyniósł Winklerowi sławę najlepszego jeźdźcy świata — rzadko kiedy ktoś mówił. Ale jeźdźcy i ich konie to w sporcie specjalna klasa sportowców. Tam wzajemne zrozumienie, oparte na pełnym zaufaniu i — chciałoby się powiedzieć — miłości — jest pierwszą podstawą sukcesu. Tak naprawdę było między Winklerem a sławną „Hallą“.

(p.h.)

**BILETY,**  
SPROWADZANIE RODZIN  
Z POLSKI  
**ANGLOPOL**  
**TRAVEL**  
Tel. FRE 1155  
121, Earls Court Rd., London, S.W.5

**MATERIAŁY, LEKARSTWA, ŻYWNOŚĆ**  
najszybciej, najkorzystniej, najlepiej  
w y ś l e s z   p r z e z

**P. C. STORES**  
S. BREWKA  
18, Queens Gate Terrace, London, S. W. 7.  
Tel.: KNI 0747



# Z życia Kombatantów

DODATEK ZARZĄDU GŁÓWNEGO S. P. K.

## O przyszłość naszego życia społecznego

Zagadnienie ciągłości naszego życia społecznego poza Krajem przyjmowaliśmy do niedawna jako fakt oczywisty i nie budzący wątpliwości. Świadoma czy też nieświadoma wiara w nasz zdrowy instynkt organizowania się do niedawna nie tylko że nie stwarzała klimatu sprzyjającego myśleniu o przyszłości, a raczej tu i ówdzie wyrażała się w głosach narzekania na przesteroty i wybujałość form organizacyjnych. Tak było do niedawna. Od niedawna natomiast zaczynają się pojawiać oznaki troski o to, jak potoczy się całe nasze życie społeczne w bliskiej i dalszej przyszłości.

Troska ta nie jest obca również i naszemu Stowarzyszeniu, a nawet może głębsze korzenie w nim zapuszcza, niż gdzieindziej ze względów, o których będzie mowa nieco później. Wyrazem jej była obszerna dyskusja w marcu br. na Komisji Ideowo-Programowej Komitetu VII Światowego Zjazdu SPK. Treść niniejszych uwag jest w dużej mierze refleksem wspomnianej debaty, która znalazła swój końcowy wyraz w formie uchwały na Zjeździe w listopadzie bież. roku.

Możnaby zapytać, w jakim kierunku wiał ten wiatr przemian, jakie spowodował przeobrażenia, czy są one istotnie tak znaczne, że mogą budzić obawy o przyszłość naszego życia społecznego w wolnym świecie i wreszcie, jaką należy obrać drogę postępowania, by uratować je przed zamierzaniem, jeśli niebezpieczeństwo to naprawdę mu grozi.

Nie ulega wątpliwości, że nasze organizacje społeczne podlegają procesowi „wyludnienia”. Zjawisko to przebiega stale i systematycznie. Porównanie stanów liczebnych naszych organizacji z przeszłości z obecnymi uzasadnia w pełni użycie tu terminu „wyludnienie”. Niektóre z nich straciły połowę a nawet więcej swych członków w okresie kilkunastu lat swego istnienia.

Na drodze tego procesu znajdują się przyczyny, że tak powiem, od nikogo nie zależne, jak również nasze własne błędy i niedociągnięcia. Do pierwszych możemy zaliczyć zjawisko rozpraszenia się Polaków po świecie, intensywnie w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych; brak równowagi liczebnej pomiędzy starszą i młodszą generacją; wpływ obcego środowiska. Oczywiście, litania naszych własnych błędów jest długa. Wśród nich znajdziemy doktrynę o tymczasowości naszego pobytu za granicą. Przez szereg lat od zakończenia wojny uchodziło za ciężką herezję mówić głośno o tym, że emigracja jako całość do Polski nie wróci. W logicznym następstwie takiego przeswiadczenia pozostaje cała struktura naszego życia społecznego, która oparła się wyłącznie na wzorach krajowych. Tak silna była wiara w rychły powrót do ojczyzny, że nikomu do głowy nie przyszło, by pokusić się o powołanie do życia organizacji, która by za podstawę brała wyłącznie warunki naszego pobytu na obczyźnie. W Kraju nie do pomyślenia był jakiś np. Związek Polaków, wobec tego nie widziano dostatecznej potrzeby istnienia takiej organizacji i poza Krajem. Mówiąc to mam na myśli Wielką Brytanię, ten olbrzymi rezeruar naszej emigracji powojennej. W innych krajach, jeśli nawet gdzieś tam powstawały twory takie jak wyżej wspomniany, to rola ich była raczej nieznaczna. Grupowały one z reguły element „cywilny” z o-

bozów niemieckich, dopuszczony z biegiem czasu do tych samych krajów, do których wcześniej i w większej liczbie trafiała emigracja żołnierska.

To, o czym dotychczas w ogólnym zarysku napomknąłem, tworzy tło obrazu chwili obecnej. Jak wspomniałem, jesteśmy świadkami stałego ubytku członków w naszych organizacjach społecznych. Starsi wykruszają się z każdym rokiem, młodzi nie przychodzą w takiej liczbie, by zrównoważyć ten naturalny ubytek. Za dziesięć lat sytuacja zmieni się radykalnie. Szereg organizacji zejdzie ze sceny emigracyjnej na zawsze. Dla niektórych będzie to śmierć naturalna po spełnieniu swej roli. Los ten również może spotkać organizację, która swego zadania jeszcze nie wykonała do końca, której dalsze istnienie powinno być żywotnym interesem całej społeczności emigracyjnej. Mówiąc to mam na myśli głównie te organizacje, których zasadniczym celem jest działalność niepodległościowa i utrzymanie polskości wśród uchodźstwa. Do nich należy między innymi i nasze Stowarzyszenie.

Jeśli teza o zagrożeniu naszego życia społecznego jest słuszna, a sądzę, że przeczyć jej byłoby zamykaniem oczu na rzeczywistość, wówczas nie możemy uniknąć trudnego pytania: czy istnieje możliwość zapobieżenia temu zjawisku?

Zanim spróbuję dać własną odpowiedź, chciałbym poświęcić chwilę uwagi pewnej doktrynie, która posiada swoich wyznawców, a nawet znalazła wyraz w uświadaniach praktycznych. Doktryna ta głosi, że prędzej czy później, raczej prędzej, nasze życie społeczne w swych dotychczasowych formach musi zamarść. Szanse przetrwania na dłuższą metę mają jedynie parafie, toteż należy skupiać wokół nich społeczność i w oparciu o nie organizować jego życie zbiorowe.

Teoria ta, mimo pozorów słuszości, w istocie swej jest krótkowzroczna, a nawet, jak się zaraz przekonamy, błędna. Czynniki, które powodują kryzys naszego życia społecznego na uchodźstwie, nie ograniczają się do tej czy innej jego części, ale obejmują jego całość. W tym samym więc stopniu dotkną one parafię co inne organizacje. W praktyce takie same możliwości przetrwania na dłuższą metę lub nie, ma Związek Harcerstwa Polskiego, Polska Macierz Szkolna czy SPK jak ta czy inna parafia. Niektórzy angielscy badacze zagadnień uchodźczych twierdzą nawet, że zanik parafii o charakterze czysto polskim nastąpi szybciej, niż zanik innych organizacji. Jako przyczynę podają brak księży. Ten stan rzeczy byłby zresztą zgodny z linią polityki brytyjskich sfer katolickich, które nie tają swej niechęci do wszelkich enklaw wyznaniowych o charakterze narodowościowym i raczej widziałyby jak najszybsze wchłonięcie nowych przybyszów we własną otcwzarnię wierznych. Nie sądzę, aby w innych krajach stan rzeczy w tej dziedzinie od-

### KOMITET TYSIĄCLECIA W AFRYCE POŁUDNIOWEJ

Na obszarze Republiki Południowo-Afrykańskiej powstał Komitet Millennium, w skład którego weszły wszystkie organizacje niepodległościowe. Prezesem tego Komitetu został dr K. Mycielski. Do Komitetu wchodzi wszystkie komórki SPK w Af. Pol.

biegał zbyt od sytuacji w W. Brytanii.

Mówiąc o tendencji do skupiania życia wokół parafii muszę zauważyć, iż gdzieś tam zbyt gorliwość niektórych księży w realizowaniu tego programu doprowadziła do nieporozumień, w następstwach swych szkodliwych dla całości życia społecznego. Ośrodki, w których mimo stosunkowo niewielkiej liczebności Polaków, są dwa domy społeczne, dwie szkoły, ośrodki w których urządziła się w tym samym dniu dwie akademie narodowe, są jaskrawym przykładem niezdronej rywalizacji, która wywołuje właśnie, rozbić i chaos.

Żywotnym interesem naszego życia społecznego jest harmonijna współpraca wszystkich zainteresowanych. Jakiegokolwiek „zwykłego” jednej czy drugiej strony, w gruncie rzeczy, jest podcinaniem gałęzi, na której wszyscy siedzimy. Jestem przekonany, że w dużym stopniu wzajemne, życzliwe współdziałanie można by osiągnąć przez częste dyskusje i porozumienia na platformie międzyorganizacyjnej. Żałować należy, iż tak mało na ten temat się pisze i mówi.

Drugim lekiem na wzmocnienie naszego życia społecznego jest zastrzyk młodości. Odsetek młodzieży w naszych związkach społecznych jest za mały. Ciągłe brak nam mądrej, energicznej polityki na tym odcinku. Wiele już napisano na ten temat i nie warto w tym miejscu powtarzać znane argumenty. Stwierdzić tylko można, że przeszkody między starszą i młodszą generacją są częstokroć wyolbrzymiane. Jabłko nie pada zbyt daleko od jabłoni. Można by jeszcze dodać, że po obu stronach nie brak jest dobrej woli. Młodzi podejmują uchwały o konieczności „wchodzenia w czynne życie zbiorowe”, starzy chcą tego samego. Trzeba tylko wejść na drogę energicznego działania. W szerokim programie pracy musi się znaleźć pomoc i poparcie dla organizacji, które zajmują się dorastającą młodzieżą, troskliwa opieka nad samodzielnymi zespołami młodzieżowymi z pełnym wykorzystaniem atrakcyjności sportu jako czynnika wciągania młodzieży w orbitę życia społecznego.

Należy również zabiegać o powrót do życia społecznego tych, którzy brali w nim udział i z takich czy innych powodów od niego odeszli. Dobrą rolę mogłyby tu odegrać nasza prasa przez częste ukazywanie potrzeby życia społecznego i jego zadań. Pamiętać przy tym należy, iż wielką siłą atrakcyjną, zachęcającą do wstępowania w szeregi organizacyjne jest żywotna i dynamiczna komórka społeczna.

Mówiąc o potrzebie zaszczepienia nowych sił życiu społecznemu, starałem się udowodnić, że może to nastąpić tylko wtedy, gdy zbiorowo podejmujemy wielokierunkową, rozsądną politykę.

Zdaję sobie sprawę, że dystans nasz do tego zagadnienia może być różny. Dla jednych będzie to sprawa pilna i ważna, dla innych może i ważna, ale nie pilna, a wreszcie znaleźć się mogą i tacy, którzy powiedzą, że nie warto sobie tym myśli zaprzętać, bo życie, które nie znosi pustki, samotnie, bez naszego udziału, znajdzie jakieś rozwiązanie. Gdybyśmy jednak patrzyli na to zagadnienie z pozycji „jakoś to będzie”, dalibyśmy tym samym jeszcze jeden dowód braku odwagi myślenia o przyszłości.

Antoni Czulowski

## KRONIKA KOMBATANCKA

20 ROCZNICA ZBRODNI KATYŃSKIEJ W NOWYM JORKU ODNZNAKI HONOROWE DLA KOLEGÓW Z AUSTRALII I KANADY

Spółczesność polskie w Nowym Jorku uczciło pamięć ofiar zbrodni katyńskiej organizując w dwudziestą rocznicę nabożeństwo i akademię, staniem Wydziału Stanowego Kongresu Polonii Amerykańskiej.

Mszę św. w kościele św. Stanisława za dusze wymordowanych żołnierzy odprawił ks. Ludwik Makulec, który następnie w płomiennym kazaniu mówił o najwyższej ofierze życia dla Polski. Przy głównym ołtarzu ustawiły się poczty sztandarowe organizacji kombatanckich parafialnych, świeckich i młodzieżowych.

Tłumy rodaków „starej” i „nowej” Polonii, w tym wiele młodzieży, przybyły tegoż dnia do Polskiego Domu Narodowego na żałobną akademię katyńską. Na odpowiednio udekorowanej scenie widniał napis: „Katyń 1943—1963”, obok świecznik z płonącymi świecami, z tyłu krzyż i bezlistne drzewo. Front pulpitu mówców otoczony krepą z zawieszoną na niej szpadą i czapką oficera polskiego.

Akademię zajął przew. Komitetu Obchodu wicepr. Wydziału KPA Franciszek Proch. Przemawiali z kolei ks. Ludwik Makulec, prezes SPK w Stanach Zj. kol. Stanisław Gierat i prezes Wydziału KPA mec. F. J. Wazeter. Program artystyczny przygotowało kilka miejscowych organizacji.

Zebrań uchwalili rezolucję w języku polskim i angielskim.

### KRAJOWY ZJAZD SPK W KANADZIE

W dniach 20-21 kwietnia r.b. odbędzie się w Kanadzie zjazd krajowy SPK. Zjazdy takie odbywają się co dwa lata zawsze w innej miejscowości.

Tym razem kolegów z całej Kanady będzie gościło Koło Nr 4 w Brantford, Ontario, miejscowości posiadającej te zalety, że dla większości kół jest ona centralnie położoną.

Obecny zjazd będzie dziesiątym, jubileuszowym. Prócz ważnych spraw natury bieżącej oraz wyboru na okres dwuletni Zarządu Gł. Stowarzyszenia, zjazdy w Kanadzie zajmują się zazwyczaj jakimś specjalnie ważnym zagadnieniem, którego rozstrzygnięcia przez to forum wymaga w danym czasie interes organizacji.

Na porządek tegorocznego zjazdu wpisany został najtrudniejszy chyba z istniejących w życiu emigracyjnym — problem młodzieżowy. Doceniając jego wagę i skomplikowany charakter, rozpoczęto już pracę przygotowawczą nad referatami i wnioskami.

### DR TADEUSZ SIUTA REDAKTOREM NACZELNYM „NOWEGO ŚWIATA”

Dowiadujemy się, że redaktorem naczelnym dziennika nowojorskiego „Nowy Świat” został dr Tadeusz Siuta.

Droga do dziennikarstwa obecnego redaktora „Nowego świata” prowadziła przez naukę. Tuż przed wojną został on kierownikiem katedry historii starożytnej na uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. Po wyjściu z Rosji znalazł się w Kwaterze Prasowej 2 Korpusu, pracując w zespole redakcyjnym „Dziennika Żołnierza”. Świetnie zapowiadał się naukowiec, nie wrócił już do swego zawodu po wojnie. Zarówno w Argentynie, dokąd emigrował po wyjściu z wojska jak i w Stanach Zjednoczonych, Siuta widać rozmakawał się w dziennikarstwie pisując w całym szeregu emigracyjnych organów prasowych. „Nowy świat” zyskał w osobie dr Siuty bardzo utalentowanego kierownika. Siuta jest również redaktorem „Kombatanta w Ameryce”.

Komitet Odznaki Honorowej SPK przyznał srebrną odznakę trzem kolegom z Australii: Czesławowi Niemcowski, Romanowi Florowski oraz Edwardowi Wawrykiewiczowi.

Takie same odznaczenia otrzymali nast. koledzy w Kanadzie: Henryk Czajkowski, Czesław Foksovcz, Maria Polišńska, Wanda Szewczer. Koleżankom i kolegom, których spotkało to zasłużone wyróżnienie przesyłamy serdeczne gratulacje.

### V WALNY ZJAZD DELEGATÓW SPK W ST. ZJEDN.

Zarząd Główny SPK w Stanach Zjednoczonych zwołał V zwyczajny walny zjazd delegatów SPK na okres 31 sierpnia do 3 września br. Zjazd odbędzie się w Sherman House Hotel w Chicago Illinois.

Ożywiona działalność SPK w Stanach Zjednoczonych daje dobre wyniki. Ostatnio do Stowarzyszenia przybyło kilkuset nowych członków.

W styczniu br. powstało również nowe Koło w Minneapolis Minn., dzięki staraniom kol. E. Widzińskiego. W zebrań organizacyjnych Koła wziął udział prezes Zarządu Gł. kol. Stanisław Gierat.

### SPK W KANADZIE SWIADCZY NA OPIEKĘ NAD GROBAMI

Do Zarządu Głównego SPK w Londynie nadszedł czek na 348.61 dol. jako uzupełnienie wpłaconej już bezpośrednio na ręce gen. Duchą sumy 1.080 dol. z przeznaczeniem na opiekę nad grobami żołnierzy polskich z okresu 2 wojny światowej.

### UCZCZENIE PAMIĘCI PREZESA A. WEJTKI

Stowarzyszenie Polskich Kombatantów w Afryce Południowej postanowiło ufundować nagrobek dla zmarłego latem ub. roku inż. Antoniego Wejtki, założyciela i wieloletniego prezesa SPK w tym kraju.

Władze główne Stowarzyszenia przeznaczyły subwencję na ten cel i zachęciły inne ogniw krajowe do poparcia tego projektu naszych kolegów z Afryki Południowej.

### APEL NA CZASIE

Koło SPK nr 3 w Vancouver, B.C. Kanada, o którego pięknej działalności społecznej kilkakrotnie mieliśmy okazję pisać w „Agencji Kombatankiej”, zamieszcza w nrze 1 swego biuletynu „Placówka nad Pacyfikiem” apel nowego prezesa Koła kol. W. Zakrzewskiego, o wstępowanie w szeregi naszego Stowarzyszenia. Ze względu na aktualność tego wezwania dla wielu innych ośrodków pozwalamy sobie przytoczyć niektóre ustępy:

„Za kombatanta uważam każdego, kto wybrał wolność i pielęgnuje w sobie ideę niepodległej Polski, niezależnie od tego, czy służył w szeregach wojskowych czy nie. I wierzę, że każdy kombatant czuwa nad tym, aby jedność ideowa Polaków na emigracji była zachowana”.

... każdy Polak z iskerką miłości do kraju ojczystego, może swą przynależnością do Koła przyczynić się dla sprawy polskiej. Zrozumiałe, że nie każdy może brać udział w pracach organizacji, ale twoja przynależność, kolego, jest tą bronią atomową, którą godzisz celnie i skutecznie w zbrodniące zamiary odwiecznych wrogów Polski i ludzkości. Legitymacja SPK... świadczy, że byli żołnierze polscy są grupą zorganizowaną i świadomą. Z przykrością trzeba stwierdzić, że wielu z tych, co pozostali poza organizacją — zeszło na manowce, a zatem ty, kolego, nie staraj się zasilać szeregow „mówiących do siebie”. Rozsądne i mądre słowa.

MIECZYSLAW KRUK-ROSTAŃSKI

Jak Janitor wymordził sobie redaktora

Boroń był starym weteranem, w dodatku kilka razy podziurawionym i kilka razy odznaczonym. Co tu dużo gadać? Już mu leciało na 62 lata i w Stanach Zjednoczonych już raczej patrzyło mu na „Social Security“ i ciepłe pantofle, ale i tego mu jeszcze los odmówił. Był tu zaledwie 7 lat, w ciągu których przeważnie odmawiano mu pracy i okropnie go wyszukiwano w ciężkiej pracy fizycznej, przed jaką go lekarz stale przestrzegał. Był tylko starym dziennikarzem-literatem i od dziecka jakoś mu się przyplątało malarstwo artystyczne, bo o „pajntowaniu“ pokoju nie miał zielonego pojęcia i — mówimy szczerze — gardził nim. Bo to też dla jego chorego serca była niebezpieczna praca, to i ją kochać?

W swoim zawodzie pisarskim trudno było uzyskać pracę, a marzył o tym swoim zawodzie, bo go naprawdę ponad czterdzieści lat kochał i znał na wylot. Jak na złość nie trafiało się wolne miejsce, a jeśli trzeba przecieć. Przyjął pracę „janitora“ w pięknym kościele i jak mógł tak starał się, aby go bodaj nie zaraz, ale po jakimś czasie dopiero wywalił, gdy już trochę odłoży i znowu będzie mógł przez miesiąc szukać czegoś leższego. Kawał drogi miał do tej pracy i trzeba było o trzeciej rano wstawać, aby dojechać i na wpół do szóstej kilka bram kościelnych otworzyć, zapalić światła przy bocznych ołtarzach, otworzyć szkołę, no i potem nic tylko sprzątać, czyścić, zamiatać wielki kościół, bo te nasze ludzie, to jakieś zaspane czy zamysłone i wszystko co dostają w kościele do czytania, rzucają na ziemię. Nawet biorą po kilka kopertek i jedną użyją na ofiarę, a resztę... będą na podłogę.

Boroń na wschodzie zwiedzał mecety tureckie i świątynie indyjskie, ale mu tam dawali nawet pantofle na nogi, aby posadzki nie zabrudzić, a tutaj, jak przyjdzie już niedziela, to całe buszle w poniedziałek trzeba śmieci wynosić, jakby nie ze świątyni, ale ze sali wiewce, albo wyborczej — całe kupy wydawnictw kościelnych, kopertek, nawet papierków z gumy do żucia.

Alle Boroń tyrał i co raz to westchnął do któregoś z licznych świętych jakich figury były w kościele. Św. Antoni nie pomagał, bo on tylko jest od zgubionych rzeczy. Małżonka Boroń z tym świętym żyje bardzo dobrze i jak tylko jej coś ginie, zaraz popatry na jego wizerunek, westchnienie i powiada: „Święty Antolku mój Padewski, obywateru niebieski, niech się spełni wola twoja, niech się zaraz znajdzie zgnana moja“. — Po takiej modlitwie, w kilka minut znajduje się każda pończocha, klucz, ważny adres, czy inna zgnana. Ale św. Antoni Borońowi nie mógł nic na uzyskanie zawodowej pracy poradzić. Przypominał sobie Boroń tedy, swoją

ukochaną babcią, która miała zwyczaj wzywać świętego Jacka, ale tak jakos dziwnie i nie wiadomo dlaczego, „Święty Jacku z pirogami!“. Skąd te pierogi wzięły w tym wezwaniu babcinym swój początek, tego Boroń do dnia dzisiejszego od żadnego nawet księdza się nie dowiedział, a w Polsce najszej było to często słyszane. Spróbował więc i tu wyszukać w kościele św. Jacka i już nie wspominając nie o tych babcinych „pirogach“, wzdychał do niego o jakiś „job“ dla siebie, w swoim zawodzie, aby nareszcie być naprawdę swoją pracą pożytecznym człowiekiem.

Sprzątał dalej i nawet jak mu tarcia od bolszewików wymyślały że bramy kościelnej nie otwiera przed wpół do szóstej, to im przebaczał i teraz już do obojwoch świętych wzdychał o poprawę swego losu i świeczki im dodatkowo palił na ołtarzu. Czekal i czekał i nic nie wychodziło ze wzdychania, a sił coraz więcej brakowało i nie było czasu nawet dobrze się wypaść. Dodatkowo przyszły śniegi, a z niemi oczyszczanie bram kościoła ze zasp, rąbanie lodu, no i ta pełna błota posadzka, budziły w Borońiu lęk, a doktor powiedział kategorycznie: „albo kwituj bracie z tej roboty, albo do mnie nie przychoź, bo pogardzam samobójcami, a i Kościół brzydzi się takimi co się sami zabijają...“

Niedobre ludziska mówili nawet, że Boroń leni się do pracy i myśli, że tu w Ameryce dolary leżą do zbierania na ulicy. Tak mu to dogryzło, że już zaczął dać się zwykłym pijaniom namawiać na wódkę, bo gnębiło go bardzo smutne położenie bez wyjścia i bez żadnych widoków na polepszenie.

Aż raz zmordowany i zły, zabiera swoją powieść pod pachę i wali z nią do znanego w mieście naczelnego redaktora wielkiego pisma. Redaktor kazał mu zostać i przyjąć za kilka dni. Boroń postuchał i zjawił się po tygodniu...

— Ile pan chce za tą powieść? — Czy ja wiem co chceć? Borońowi gorąco się zrobiło i westchnął znowu do św. Antoniego i do św. Jacka, a redaktor powiada: „Jest u nas wolne miejsce dla zdolnego redaktora. Pejda taka i taka, godziny i obowiązki takie to i takie, mieszka pan tu obok nas więc i blisko zarazem i start za tydzień, a tymczasem szczęść kole-dze Boże...“, uścił się sobie dłonie i Boroń pobiegł do domu z wieścią, jak zwariowany młodzieniaszek, a potem przyrzekł obojdom świętym wierność aż do zgonu. Temu od zgubionego losu życiowego i temu „z pirogami“.

Siedzi za biurkiem pilnie pisząc i jest nareszcie pożytecznym człowiekiem. No bo nie dziwota — przecie Boroń tylko tego się uczył całe życie i to tylko doskonale umie. Dwaj święci napewno o tym też wiedzieli.

PANI W DOMU I W ŚWIECIE

Paryż, w kwietniu 1963.

„NOWA FALA“ bez litości podbiła stateczny świat ludzi dorosłych. „Nowa fala“ to po anglo-sasku „Teen-agers“. Teraz ofiarą jej padła piosenka. Ustabilizowane gwiazdy jak Juliette Greco, Gilbert Bécaud, a nawet Edith Piaf (mimo że wysłała za mąż za szczeniaka, który mógłby być jej synem) zleciały z gwiazdzistego firmamentu piosenki za horyzont ciszey. Ich miejsce zajęła nagle jakaś Françoise Hardy o włosach w strąki (500 tysięcy płyt w ciągu kilku tygodni), lub trochę starszy Johnny Holliday, (20 lat), król od śpiewanego twista. Wcale nie pochodzi z Oklahomy, jak głosi jego oficjalna biografia, lecz urodził się tutaj i jego ojciec, Belg, pozostawił mu prozajczne nazwisko Smet. Niemniej ta „nowa fala“ wpada w jakiś trans, gdy Johnny pojawi się z gitarą na scenie.

Fabrykanci płyt nie mogą tego fenomenowi zrozumieć i na wycigi nagrywają wszystko, co spaceruje z gitarą, ma pretensje do śpiewania i jest w wieku poniżej dwudziestu lat. A nuż chwyci... To coś jak Françoise Sagan, gdy po raz pierwszy pojawiła się na półkach księgarskich.

Paryską giełdą tych nowych gwiazdeczek piosenek jest klub „Golf Drouot“. Członkiem jego może być tylko ten, kto jeszcze nie skończył 21 lat, bo z tą granicą wieku należy już do „starych“. Ta nowa fala zbiera się tam, by tańczyć (w kilkadziesiąt par) i słuchać nowych piosenek. Pije soki owocowe i Coca Kola, ku oburzeniu pokoleń winiarzy z niepokojem patrzących w przyszłość. Co z tego wyrosnie? Francaja przestanie być Francają... Z chwilą gdy tam jakaś piosenka „ślapie“, ma sukces zapewniony. Dwie wielkie prywatne rozgłośnie radiowe biorą ją natychmiast na antenę (Luksemburg i Europa nr 1), a fabrykant płyt, który ją nagrał, puszcza maszynę w ruch.

Ta „nowa fala“, w przeciwieństwie do naszych szczenięczych lat, ma poważny budżet „kieszonkowy“ i kupuje płyty. „To olbrzymia siła nabywczą“ — powiedział jeden z fabrykantów płyt, „15-letni amator piosenek i jaz-zowej muzyki ma często dyskotekę ze stu i więcej płyt“. Taki młody „meloman“ słucha nowej piosenki kilkanaście razy w ciągu dnia, a więc znu-dzi się mu ona szybko. Szuka nowej i oczywiście takiej, która nagle znalazła wzięcie w tym świecie jego rówieśników. Ponętna Brigitte Bardot, która nagle odkryła u siebie talent pieś-niarki i nagrała kilka płyt, nie szczeni...

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI KONKURSOWEJ NR 490/62

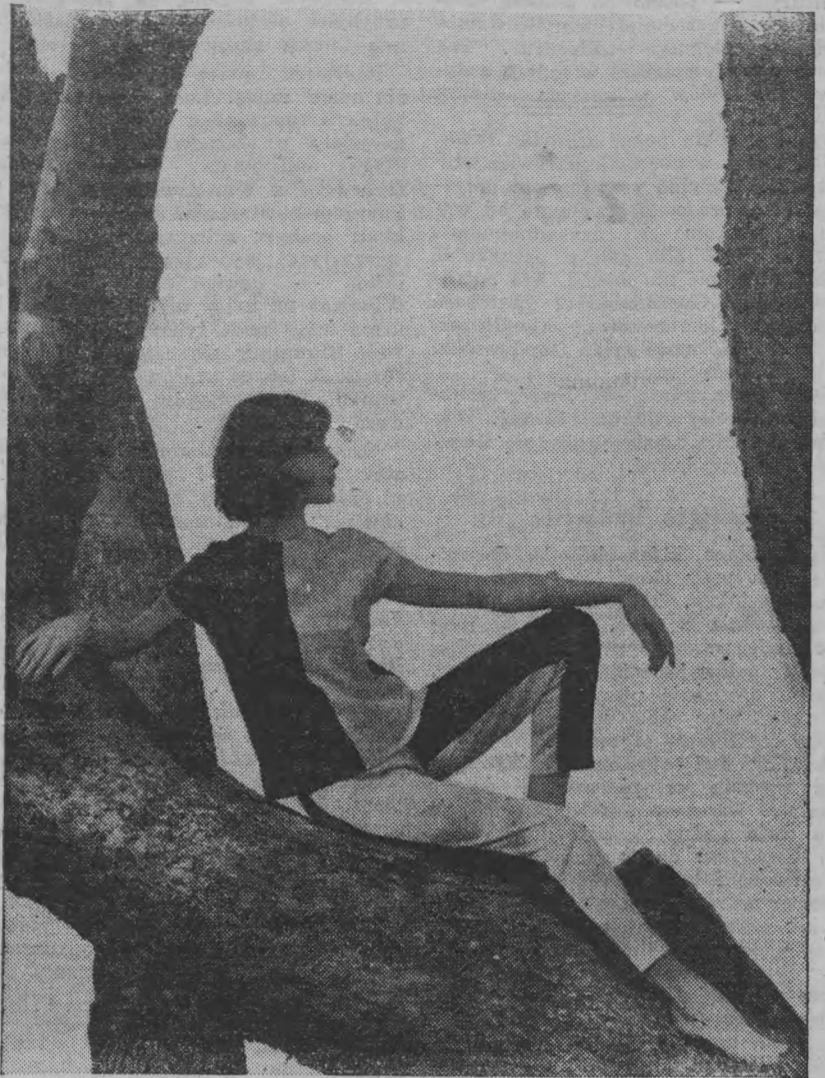
Poziome: 2) bierwiono, 6) stos, 7) Wigry, 8) gęsi, 9) Wilia, 10) Rurycy, 11) skoro, 12) czapa, 14) stajenka cicha, 19) i 20) koszalki, 21) cięta (wspak), 22) orna, 23) metr, 24) asfalt, 25) wrzask. Pionowe: 1) pasterze, 2) basalyk, 3) Wigilia, 4) organki, 5) gniadosz, 12) cieśla, 13) Ancezy, 14) stodoła, 15) finecja (wspak), 16) koleda, 17) chabeta, 18) korekta (wspak).

Nagrody za poprawne rozwiązanie krzyżówki konkursowej otrzymują w drodze losowania: 1. (£2) — O. Stojkow, 104 Chetywyd Rd. London, N.W. 5. 2. („Bolesław Chrobry“ Gólabiewa) — J. Doliński, 15 Hale Gdns. London, W.3. 3. („Wspomnienia“ — Al. Piłsudskiej) — I.J. Sukiennicka, 28 Franklin St. Bury, Lancs., 4. („Józef Piłsudski o Powstaniu 1863 r.“ — Z. Markiewicz, 17 av. Foch, Nancy, Meurthe at Moselle, Francaja, 5. („Cytadela“ — Cronina) — S. Dekoński, Penhros, Penhros Home nr. Pwhelli, Caerns Walia.

TERMIN NADSYŁANIA ROZWIĄZAŃ KRZYŻÓWKI KONKURSOWEJ: 15 maja br.

JAN CLAUDE

WIOSENNE MIGAWKI



Komplet jerseyowy z czystej, czesanej wełny. Kreacja BESSART (Copyright).

dząc wydatków na reklamę, że zdumieniem i z oburzeniem stwierdza, że te płyty nie idą. Nic dziwnego, dla „nowej fali“ nasza opływowa BB. jest „starą“ i nie interesuje jej. Z tych starych utrzymało się na rynku płyt tylko dwóch: Pierre Brassens i Aznavour.

W Paryżu już dawno zniknęły kawiarnie z orkiestrami, które kiedyś popularnie nazywano „Caf-cong“ (café concert). Dziś zagrożone są orkiestry kabaretów i nocnych lokali. Znowu wypierają je płyty. Kabaret za kabaretem likwiduje orkiestrę do tańca i zastępuje ją kosztowną instalacją „Hi-Fi“. Radio, telewizja i przede wszystkim techniczny postęp w wier-nym odtworzeniu przez elektrofony dobrze nagranych płyt, ba — często ta reprodukcja jest lepsza od natury — przyzwyczały ludzi do mechanicznej muzyki i zmieniły upodobania. Płyta daje najlepszą orkiestrę w najlepszym wykonaniu, z czym oczywiście nie może konkurować przeciętny zespół kabaretowy. W ten sposób pozbyły się orkiestr kabarety jak „Carroll's“, „Frède“, „Keur Samba“, „Eléphant Blanc“, „Club Saint-Hilaire“ i szereg innych. Oczywiście te instalacje elektrofonowe nie mają nic wspólnego z hałaśliwymi i zgrzytającymi „juke-boxami“ taniach kawiarniach i barów, ich koszt przekracza zwykłe tysiąc funtów.

„Cabaret de papa“ zamiera... Nie tylko Londyn może się chwalić swym drapiącym się w górę hotelem Hiltona, Paryż będzie miał ich dwa. Jeden na lotnisku Orly, a drugi na lewym brzegu Sekwany, w dzielnicy gdzie nie będzie zbyt rzadki — unowocześni tręcającą myszką 15-tą dzielnicę drobnych kupców i emery-tów. Natomiast najnowocześniejszy artykuł na temat „wiecie kogo“ fotografi „ex-generala...“ (wolę nie wymieniać nazwiska), paryski korespondent tego pisma gdzieś zaginął. Podobno stara się o prawo azylu w stylu Hiltona, lecz budynek harmonizujący z otoczeniem, a jego instalacje i urządzenia wewnętrzne będą wzorowym przykładem.

W kawiarni paryskiego Domu Kom-batanta mówi się, że odkąd jeden z londyńskich tygodników zaopatrzył artykuł na temat „wiecie kogo“ (wolę nie wymieniać nazwiska), paryski korespondent tego pisma gdzieś zaginął. Podobno stara się o prawo azylu w stylu Hiltona, lecz budynek harmonizujący z otoczeniem, a jego instalacje i urządzenia wewnętrzne będą wzorowym przykładem.

„Prezydent“ w Genewie, jego „brat-nim“ hotelu.

Obok tej trójki Paryż będzie miał jeszcze dwa wielkie i luksusowe „pa-lace“ hotelowe. Jeden na miejscu o-becnemu nieużywanego dworu d'Orsay, a drugi w projektowanym „drapaczu-wieży“ Montparnasse.

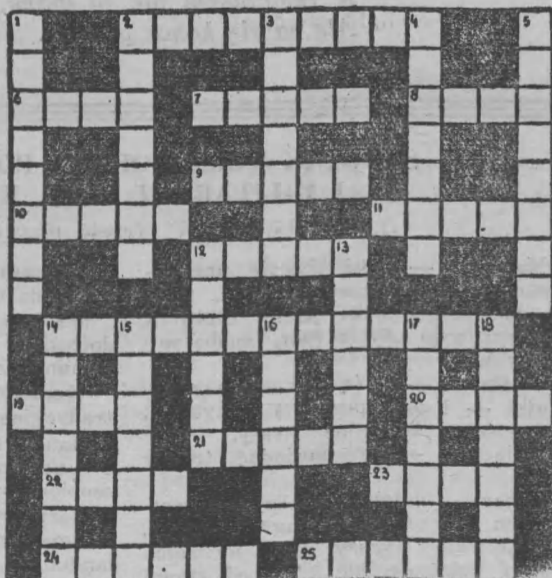
W ogóle we Francji podnosi się ho-telowy alarm, jeżeli chodzi o hotele luksusowe i drogie. Dotychczasowe „palace“ zaczynają być przestarzałe i bardzo kosztowne w eksploatacji, gdyż budowano je w okresie, gdy nikt nie liczył się ze służbą. Teraz o służbę trudno i zaczyna ona bardzo drogo kosztować, stąd konieczność zupełnie nowej organizacji tych przedsiębior-stw. Stare hotele często trudno un-o-wocześnić i dlatego tak wiele z nich przerebiono i sprzedano na mieszka-nia.

Paryż rozpocznie więc od „pala-ców“, natomiast na prowincji brak no-woczesnych hoteli średnich (80-100 pokojów). Obok tego główny wysiłek Komisariatu Turystyki ma być skiero-wany w pierwszym rzędzie na Korsy-kę, która mimo naturalnego uroku jest całkowicie zaniedbana i rozbedo-wująca się Sardinia może jej odebrać przyszłych turystów. Drugim rejon-em, gdzie mają powstać wielkie oś-rodki wakacyjne, jest wybrzeże śród-ziemnomorskie na zachód od Marsylii po Pireneje. Jego plaże przedstawia-ją większe możliwości niż Lazurowe. Wybrzeże, tylko panuje tam jedna plaga — miliony komarów. Nim staną tam nowe hotele i pensjonaty musi być z nimi rozegrana zasadnicza woj-na, inaczej wypłoszą najbardziej grubo-boskorynych „wczasowiczów“.

KRZYŻÓWKA KONKURSOWA nr 504/63

ZNACZENIE WYRAZÓW

Poziome: 2) raz na ty-dzień tracisz przy niej trochę czasu?; 6) czar-ny (wspak); 7) obronne narzędzie kuchenne?; 8) masa; 9) co dobre rodzi się i ginie?; 10) i 11) spiski; 12) ptak z kożuszkiem?; 14) prezydent polski z nieswoim imieniem w nazwisku; 19) i 20) hojny, może Bolesław?; 21) obok niej Ska-mander; 22) to można robić ze skórą; 23) świat-ło (wspak); 24) piechota na jagody lub mleko?; 25) ze stroju Krakowianki.



ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI nr. 492/63

Pionowe: 1) dawna for-tyfikacja z wyszynkiem?; 2) dawny strój w części mokry?; 3) miejscowość związana z Hetmanem z 16) pionowo; 4) dla każdego niezbędna w niebezpieczeństwie, zdrobniała dla dzieci (wspak); 5) kręcące się miasto polskie?; 12) w Polsce jest umiarkowany; 13) poprzedza śmierć; 14) robisz go, aby nie zapomnieć; 15) zakonnik; 16) bitwa w 17 wieku, w której zginął polski hetman; 17) tyl-ko wolny z niej korzysta; 18) również muzyka, ale niebezpieczne z ogniem?.

Poziome: 1) zgola, 3) i 16) Sparta, 5) kolec, 8) Salome, 10) grobla, 11) Luter, 12) prawda w oczy kole, 15) stale, 18) trzosa, 20) i 22) Parnicki, 21) zbójce, 25) kompres, 26) partacz, 27) Stefan Okrzeja. Pionowe: 1) zastęp, 2) Orle, 4) piętro, 6) luby, 7) czarne, 9) żagle (wspak), 10) groza, 13) wolant, 14) Kirgiz, 15) szparki, 16) Robinson, 17) kopiajka (wspak), 19) Spinoza, 23) graf, 24) zero (wspak).

**MIĘDZY PLOTKĄ I ANEGDOTĄ**

Jury przyznało nagrodę „Wiadomości” Gombrowiczowi. Triumf dla „Kultury” — poszło po mieście Londynie i jego przedmieściach. Bo Gombrowicza pielęgnuje „Kultura”. Tak twierdzą wtajemniczeni w kulisy wpływów i względów w naszym światku intelektualnym.

Dyskusja była ponoć zażarta. Trwała do późna w nocy. Gombrowicz wygrał 5 do 4. Tylko przytomność umysłu przewodniczącego oceniła go od wotum separatarnym „z uzasadnieniem”. Chwała Bogu! Nie należy uzasadnić czego uzasadnić nie można. Kto potrafi uzasadnić Gombrowicza? Lub uzasadnić antyGombrowicza? Gombrowicza uzasadnić może tylko Gombrowicz. Może to kiedyś zrobić.

Tymczasem warto zanotować, że nagrodę literacką otrzymał literat. Wypadek nie tak częsty jakby się naiwnym mogło wydawać.

**Święto budżetu**

Są plemiona, które obchodzą doroczne święta przy okazji obcinania uszu nieprzyjaciółom. Inne świętują przełamanie dnia z nocą. Jeszcze inne obżeranie, postrzyżyny, strzyżenie owiec, jesienny połów jesiostra lub coś w tym rodzaju. Obyczaje plemienne to dział Jeśmana, więc wolę nie wchodzić w dalsze czy bliższe szczegóły.

Anglicy świętują budżet. Uroczystość wypada w pierwszych dniach kwietnia. Kanclerz skarbu ma w tym dniu dwie ważne funkcje do spełnienia. Pierwsza: dać się sfotografować z czerwoną i bardzo sfatygowaną walizką w ręku. Pokazuje ją narodowi jak czarodziejskie pudło w którym zakłeto kamień filozoficzny. Ma się przy tym uśmiechać zawadiacko. Kanclerz ma się uśmiechać, nie kamień filozoficzny. Czynność druga to wygłoszenie mowy w Izbie Gmin. Jej treść ozdobiona dowcipami różnego kalibru i dobroci, zapowiada albo rok tłusty dla podatnika i chudy dla państwa, albo odwrotnie.

Oczywiście każdy ekonomista mógłby mi udowodnić, że plotkę głupstwa, gdyż budżet w W. Brytanii to nie żadna lipa tylko przełomowy i podstawowy zakręt w krzywej gospodarczej. A poza tym odcepcie się od Anglików, bo już i tak są smutni...

**Nie bójcie się o Anglików**

Psioczenie na Anglików należy do dobrego tonu nie tylko wśród Polaków. My mamy tę nad innymi przewagę, że podpatrzyliśmy coś niecoś z angielskich obyczajów. Raczej nie-dokładnie to prawda, gdyż dokładność nie jest naszym forte.

Lecz niech im się tylko gorzej powiedzie, natychmiast przystępujemy do obrony. Jeśli Polak z Francji powie coś złośliwego o niedoszłym udziale W. Brytanii we Wspólnym Ryнку, Polak z Anglii czuje się osobiście dotknięty i wypomina dobru skądinąd przyjacielowi wszystkie domniemane i prawdziwe grzechy Francji. Tak jakby on za nie był odpowiedzialny.

Więc Anglicy „są smutni”. Bo to wspólny rynek, bezrobocie, „Skybolt” i — proszę pana — co tu mówić — mieli — panie — imperium a teraz nie mają. Hm. Nie sądzę by byli smutni. I dadzą sobie radę.

Rozmówca mój nie był przekonany: „Jak, panie jak?”

Nie wyjaśniłem mu chociaż tłumaczyłem dosyć długo. Odszedł w przeświadczeniu, że jestem złośliwym angiobodem. Jako żywo nie jestem. Przeciwnie. Mam na to dowody. I dodał, że nie uwzględniłem sytuacji gospodarczej „tego kraju” (this country”).

Daję słowo, że mówiłem o sytuacji gospodarczej tylko i wyłącznie. Lecz angielskim sposobem (o) wpływ otoczenia) żenowałem się rozpocząć przemówienia od słów: Proszę pana, ja jako ekonomista...

Więc po prostu mnie nie słuchał. Jak to zwykle w rozmowie między dwoma rodakami bywa.

**Argument podstawowy**

Jeśli chcesz by cię słuchano z szacunkiem zaczynaj od słów wypowiedzianych z naciskiem: ja, jako ekonomista, ja jako socjolog, ja jako prawnik. Jeśli ci wygodniej, powiedz: ja, jako specjalista. To zastępuje wszystko i zaoszczędza pytań w rodzaju: gdzie Pan kończył? Każdy cię słucha i powtarza potem z namaszczeniem: slyszalem od specjalisty.

**Bilety wizytowe**

Bilet wizytowy służył niegdyś do zostawiania w domu znajomych z którymi nie miało się ochoty zobaczyć.

Podpatrywałeś porę gdy wychodzą na spacer i wrzucałeś im bilet wizytowy. Z zagiętym rogim, co znaczyło że przybyłeś osobiście a nie posłałeś biletu „przez służącego”.

Posyłanie „przez służącego” to już nie moje czasy. Lecz wiem, że takie były. Z opowiadań i z anegdot. W anegdoty o służących (rodzaju męskiego) obfitowała „Belle Epoque” francuska a Warszawa wiernie je za Paryżem powtarzała. Jako to na przykład: osobnik zaliczający się do „towarzystwa” wyjeżdża z miasta. Na urlop — powiedzielibyśmy dzisiaj. Wówczas na urlop nikt nie jeździł, bo urlop mógł mieć tylko taki co pracował. Szanujący się człowiek nie pracował. A ten co pracował nie dostawał urlopu. Więc urlopów nie było. Jeździło się „do wód”.

Osobnik daje zatem setkę wizytówek służącemu i powiada: rozwióz to, Janie, (służący był zawsze Jan, a „kuczer” czyli stangret to był „Bonawentura”) po moich znajomych. Dopisz na każdym „p. p. c.”.

Co to może znaczyć — głowił się Jan. Wytłumaczyli mu koledzy: „pour prendre congé”. Coś w tym rodzaju: kląnam się państwu bo wyjeżdżam. Osobnik wrócił „z wód”. Znowu dał setkę wizytówek by zawiadomić wytworny świat, że już jest. Jan rozwiózł, lecz uzupełnił napisem. Oczywiście w skrócie: „Monsieur est revenu des eaux” — „Pan wrócił z wód”.

Wypadło z tego „M. e. r. d. e.”. Były pojedynki bo się znajomi poobrażali. Aha. Jeszcze jeden użytek wizytówek. Obecnie zaniedbany. Jak i wizytówki. Chociaż nie. Wizytówki dają ci jeszcze sprzedawcy odkurzaczy i agenci ubezpieczeń. „Insurance persons” — jak mówił „butler” jednego z angielskich znajomych (daleki znajomy).

Zauważcie: w Anglii „butler” nie ma imienia tylko nazwisko. Mówi się do niego „Mason, Cochrane, Collins”. Nigdy nie Smith. Smith to kupiec na rogu. Tak jak Jones to „advokat rodzinny”. Każdy lekarz domowy to dr Turner.

O czasy, o ludzie.

**Na stacji, lecz nie węzłowej**

Dlaczego nie napisałeś niczego o planie Beechinga? O likwidacji kolei w Anglii? Temat jak znalazł. Sentymentalny.

Nie mogę. Po prostu nie mogę. Bo czuję się winny. Pośrednio. Psychicznie. Telepatycznie. Pisałem tyle razy i pod tyłoma pseudonimami jak to pięknie na świecie było gdy zamiast kolei kursowały po drogach dyliżansy. Albo odbywało się podróże konno. Kontakt z krajobrazem, z obywatelami, z ludźmi. Nie znaczy to bym sam jeździł dyliżansem. Rzekł tak mi się pisało. To był mój żelazny temat na szybki esesje, opowiadanie, felieton. Płacili mi za to. Mało bo mało, ale płacili. I psioczyłem na koleje. Chwaliliem je tylko w ich wydaniu amerykańskim. Wiecej: zdobywanie kontynentu, romantyzm pionierów postępu, bawoły, Indianie i t.d. i t.d.

Aż wreszcie doczekałem czego chciałem. Znikną maleńkie stacyjki angielskie w cudnym zielono-czekoladowym kolorze. Porośnie je trawa. Nie będzie się na nich pojawiał duch Sherlocka w pogoni za psem Baskerville’a lub złym doktorem Moriarty. Znikną pudła drewniane wysielane kanapami z pluszu wydzielającego dokładnie tyle kurzu ile starożytna lokomotywa wydzielala dymu. I plakać mi się chce i żal ogromny.

**Już tylko życzenia**

Dość. Bo następny temat w notესie to albo podatek obrotowy, albo uwagi o zawodzie modelki. Temat niebezpieczny, nie tyle z uwagi na moralność co na komplikacje sądowe. Po wyjaśnieniu proszę się zwrócić do redakcji „Paris — Match”.

A o Świętach Wielkanocnych? Proszę Państwa, ile razy można? Że kwiecień, że chmurki na niebie, że kiełbasa na stole, że pisanki?

Każdy wie, każdy zna i obejdzie się bez moich trzech groszy.

Na szczęście. Bo choć głupiejemy rzekomo z roku na rok (mowa o ludzkości jako takiej czyli nieosobowo), na Święta Wielkanocne wraca nam o-drobiną mądrości, która jest źródłem radości i wdzięczności za to co Bóg dla nas zrobił.

A więc życzę, by „Wesołego Alleluja” popłynęło nam z serca do serca a nie tylko z ust do uszu.

J. P. H.

*Zepkim piórem*

Od lat żona wierciła mi dziurę w brzuchu, że powinniśmy kupić dom.

— Astrachańscy od lat mają dom, Trzypstyccy także, Ekspertowicze w przeszłym roku przenieśli się do własnego flatu na Fulham, nawet taka Wodzirejska, chociaż za samotną chodzi, a także sobie zafundowała chałupinę na Acton. A my co? Co tydzień wyrzucamy grube funty w błoto, placąc za te trzy pokoje z kuchnią, które nigdy nie będą nasze.

Broniłem się, jak lew, przekonując, jakie dodatkowe obciążenia spadają na nieszczęśliwych właścicieli nieruchomości, jakie koszarne oprocentowanie trzeba płacić za pożyczkę hipoteczną, ile kosztów pociągają reperacje. Ale kiedy ogłoszono niższe stopy procentowej i specjalne ułatwienia dla nabywców domów, zrozumiałem, że grunt usuwa mi się spod stóp.

— Niech będzie — westchnąłem. — Tylko pamiętaj, że szukać odpowiedniego obiektu będziesz ty. Ja nie mam czasu, muszę pracować.

Wyczuła przytyk w moim głosie i spojrzała na mnie z pogardą:

— I to się nazywa mężczyzną! Wszystko byś chciał na mnie zepchnąć! Słusznie mnie mama ostrzegła, że ty szukasz w małżeństwie opieki kobiecej, że uciekasz przed odpowiedzialnością!

Nie przejmowałem się rozgoryczeniem żony, rozumując, że przy jej wymaganiach i skromności naszych funduszów i za dwadzieścia lat nie znalazłby odpowiedniego jej obiektu. To też moje zdumienie nie miało granic, gdy w następną piątek oświadczyła z triumfem:

— Jutro jedziemy oglądać bardzo przyjemny domek na Acton. I wcale nie drogi. Agent powiedział, że gwarantuje pożyczkę do 80-ciu procent. Zdrętwiałem.

— Już znalazł? Jakim sposobem? Ludzie szukają latami i nie nie mogą znaleźć, a ty tak od razu...

Z pogodnym uśmiechem wyjaśniła: — Wodzirejska mi pomogła. Ona ma doświadczenie w tych sprawach. Już dwa domy kupowała. Mówi, że teraz świetny moment na kupno domów, bo jest chwilowy zastój, a za miesiąc już będzie ściska na rynku. Trzeba się spieszyć.

Klnąc w duchu na Wodzirejską i jej porady, pojechałem oglądać dom. Niestety, wszystkie moje krytyki trafiły w próżnię.

— Jedna ubikacja na dwa mieszkania? — protestowałem.

— Zawsze można używać tej na zewnątrz — wzruszyła ramionami żona.

— A w deszcz?

— W deszcz weźmiesz parasol — zgasiła mój sprzeciw.

— Strasznie brudne tapety — zauważyłem.

— A coś ty chciał, żeby kto przed sprzedającą odnawiał? Odnowimy sami, to wypadnie za grosze — zbagatelizowała.

— My? Wiesz doskonale, że ja nie nadaję do rozmaitych domowych robót nie nadaję — obrzyłem się.

— No, to się nareszcie nauczysz — ucięła.

Przyszłość wyglądała czarno. Zwierzyłem się z moich trudności Sewilskiemu w biurze. Uśmiechnął się z wyższością:

— Niech pan zrobi prywatną inspekcję. Trochę kosztuje, ale napewno znajdzie mnóstwo felerów, żona się przestraszy i będzie pan miał spokój.

W tajemnicy przed żoną wydałem odpowiednie instrukcje i z drżeniem serca oczekiwałem raportu. Nie zawiodłem się. Po cennych informacjach wstępnych („Dom zbudowany jest z dziewięćciolawej cegły z łupkawym

WOJCIECH STEFANSKI

**KUPUJĘ DOM...**

dachem...) dotarłem do wstrząsających rewelacji. Czytałem z zapartym oddechem:

„Tylna ściana domu wymaga futowania z uwagi na liczne pęknięcia w murze. Rynny rdzewieją i złączenia wymagają wymiany. Jak zwykle w domach starszych, na ścianach wewnętrznych widać oznaki wilgoci zasanej od fundamentów. Konieczne jest zawieszenie nowych tapet i wymalowania sufitów w większości pomieszczeń. Łuk ponad oknem w ubikacji osunął się i wymaga przebudowania, lub podparcia żelazną sztabą. W dwóch miejscach na dachu dachówki są obłamane i wymagają wymiany. Niedawno założona nowa podłoga na parterze nasuwa podejrzenie poprzednio istniejącego grzyba”.

Włosy zjeżyły mi się na głowie. Machając trzymanym w rękę raportem, pobiegłem do żony.

— Masz, czytaj! — krzyknąłem, wtykając jej papier do ręki.

— Co to jest? — zapytała nieufnie.

— Raport z prywatnej inspekcji. Nie mam zamiaru kupować kota w worku. Kiedy przeczytasz, sama przyznasz, że miałem rację.

Spojrzała na mnie ze współczuciem:

— Widać od razu, że pojęcia nie masz o kupowaniu domów. Wodzirejska mówiła, że takie prywatne inspekcje, to wyrzucanie pieniędzy w błoto.

— Najpierw przeczytaj, a potem prywatną inspekcję?

będziemy mówili — obrzyłem się.

Przeczytała i spojrzała na mnie z pobażaniem.

— To cię przeraża? Chciałeś za swoje grosze kupić pałac, czy co? Wodzirejska mówi, że byle nie było strukturalnych braków, reszta to głupstwo.

— Głupstwo? — wykrzyknąłem. — Grzyb to głupstwo? Zassana od fundamentów wilgoć to głupstwo? Zardzewiały rynny to głupstwo?

Żona wstała i przerwała mi chłodno:

— Mój drogi! To są wszystko rzeczy do wyremontowania. Zrobi się stopniowo. Nawet tego nie pocujemy. A teraz pozwól, że cię opuszczę. Umówiłam się z Wodzirejską, żeby omówić sprawę otrzymania ewentualnej drugiej pożyczki hipotecznej.

I wyszła.

Jedyna nadzieja, że towarzystwo budowlane wręcz odmówi przyznania pożyczki. Sewilski twierdzi, że to mało prawdopodobne. Tymczasem mi-wam koszarne sny po nocach, w których grzyb pokrywa wszystkie podłogi naszego nowego domu, rynny z hukem walą się na ziemię, łuk ponad oknem w ubikacji załamuje się, a na zakończenie pęknięcia w tylnym ścianie domu poszerzają się gwałtownie i cała budowla rozsypuje się, jak na filmach z trzęsienia ziemi.

Po co, ach, po co przeprowadzałem prywatną inspekcję?

**fraszki****„ODWILŻ” W SZTUCE SOWIECKIEJ**

Chruszczow się nagle zrobił srogim,  
Wszystkim artystom rzekł: „Do nogi!”  
Nawet buntownik Jewtuszenko  
Na starą nutę śpiewa cienko.

**IDEALISTA**

„Uroda nie jest wszystkim!” — Jan rzekł mądre słowo  
I ożenił się z brzydką i bogatą wdową.

**BRĄK POCZUCIA HUMORU**

Rozłamu komunistycznego w tym leży przyczyna:  
Chcińscy jeszcze ciągle biorą na serio Lenina.

**KRYTYKA „MIASOJEDOWA”**

Pióra z Jasieńczykiem w „Orle”  
Krzyżuje coraz nowa osoba;  
A tymczasem nie to ładne, co ładne,  
Ale co się komu podoba.

Rawicz

**SŁOWNIK TERMINOLOGII POLITYCZNEJ I MILITARNEJ PROF. KLEPKI**

Litera „M” (część pierwsza)

Maczuga — broń obecnie przestarsza wobec postępów techniki, zdolna do zabicia tylko jednej osoby w jednorazowym użyciu (por. bombę wodorową).

Magistrat — (z łac. „magnus” wielki — i pol. „strata”) instytucja, przynosząca kolosalne straty.

Majaczyc — przepowiadać trwałe pokój.

Major — stopień wojskowy o wątpliwym pochodzeniu lingwistycznym, niewątpliwie wyższy, jak to sama nazwa wskazuje, ale tylko od stopni niższych.

Majtek — część składowa kompletnego garnituru floty wojennej (patrz „marynarka”).

Maksyma — stwierdzenie rzeczy oczywistej w formie filozoficznego odkrycia, z zapalem uprawiane przez starożytnych (por. „W zdrowym ciele zdrowe ciało” itd).

Makulatura — wczorajsze wypowiedzi polityków, ogłoszone dziś drukiem.

Malkontent — podstawa każdego ustroju demokratycznego.

Maltretować — zmuszać do płacenia podatków.

Malwersacja — zasadnicze źródło dochodów urzędników administracji komunistycznej.

Manierka — podstawowy motyw tradycyjnej pieśni żołnierskiej.

Mańka (zażył kogo z...i) — symbol przewrotności płci niewieściej, uosobionej przez ową Manię.

Margaryna — symbol zamożności. Ubogie kraje jedzą masło (por. Holandia — Polska).

Maruder — żołnierz, któremu się wcale, ale to wcale nie spieszy.

Marsz — sprawdzian sprawności fizycznej i braku bystrości umysłowej (o wiele wygodniej jechać!).

Marszałek — dostojnik, traktujący całą armię, jak ordynansów (por. „Każdy żołnierz nosi w plecaku buławę marszałkowską”).

Marynarka — część składowa kompletnego garnituru floty wojennej (patrz wyżej „majtek”).

Matrona — królowa (staropolska forma posiadająca od „tron”).

Jeśli chodzi o księstwa naddunajskie i drogę do Konstantynopola, to jeden rzut oka na mapę przekonuje, że chcąc osiągnąć Besarabię i granicę na Prucie armie rosyjskie muszą przejść Podole, gdzie ziemianie i każdy człowiek umiejący czytać albo pisać jest Polakiem z krwi i kości. A teraz przypuśćmy, że wojska rosyjskie walczyłyby w księstwach naddunajskich: w każdej chwili możnaby je odciąć od ich baz operacyjnych przez wyładowanie oddziałów francuskich lub angielskich u ujścia Dniestru. Maszerując na Kijów korpus taki byłby entuzjastycznie przyjęty przez mieszkańców miast i w najgorszym razie obojętnie przez ludność wiejską, która nie jest ani rosyjska ani polska.

W każdym razie w obliczu tego wielkiego mocarstwa, które grozi zaćmieniem Europy, trzeba koniecznie pamiętać, że wojska rosyjskie mogą dotrzeć do zachodniej Europy i do Konstantynopola tylko jedną drogą: poprzez terytorium, które dawniej było polskie.

Napoleon miał jakieś przesłanki, gdy powiedział że w ciągu stu lat Europa stanie się albo demokratyczna albo kozacka. W obecnej chwili wydaje się że dzięki krótkowzroczności angielskich mężów stanu, którzy nie chcą okazać się wielkodusznymi w stosunku do Francji, postępy robi kozacka. Jeśli Anglii rzeczywiście miłujają wolność, to dlaczego przyglądają się spokojnie jak Rosja niszczy wolność nie tylko w Polsce ale także w Niemczech, na Węgrzech, w księstwach naddunajskich i w każdym kraju, z którym wchodzi w kontakt? Któż może wątpić, że liberalne Prusy pokutują dziś za swoje współnictwo w rozbiórce Polski, będąc zmuszone ulegać Bismarckowi i wojskowemu despotyzmu podpartemu bagnami rosyjskimi? Trudno jest nam, szczęśliwie oddzielnym tu w Anglii morzem od wszelkich wpływów kontynentalnych, pojąć jak wielkim przekleństwem dla narodu jest bezpośrednie sąsiedztwo militarne kolosa w rodzaju Rosji. Może być że wolność wydała okrzyk grozy gdy Polska utraciła swą niepodległość nie tyle w obliczu krywydy, jaką wyrządzone rycerskiemu narodowi, ale dlatego że z chwilą rozbiórów polityka Austrii i Prus stała się z konieczności identyczna z rosyjską.

Jeśli się przyznaje że rozbiór Polski był wielką zbrodnią, to nie należy oczekiwać zadośćuczynienia za nią bez bolesnej kuracji. Przywrócenie do życia choćby części starodawnego królestwa polskiego — powiedzmy od Noteci do Niemna wraz z portem w Połędzie — spowodowałoby bezwzględnie znaczne naruszenie nabytych praw. Ale jeśli taki krok miałyby przyspieszyć postęp cywilizacji świata, wielki i szlachetny naród angielski powinien uczynić wszystko co w jego mocy, by doprowadzić do tego celu.

Na zakończenie parę słów o ludności zamieszkującej obecnie Polskę w jej granicach z roku 1772. Fałszowanie cyfr leży w interesie obu stron i dotarcie do ścisłej prawdy jest rzeczą beznadziejną. Ale cyfrę ogólną można w przybliżeniu przyjąć na 22 miliony z podziałem jak poniżej:

Polacy ... ..	9.000.000
Rusini ... ..	6.000.000
Litwini ... ..	2.500.000
Żydzi ... ..	3.000.000
Cudzoziemcy ... ..	1.500.000
	<u>22.000.000</u>

## ROZDZIAŁ II.

### Przygotowania do wyjazdu

Zgodnie z rozpowszechnionym w Anglii poglądem, istnieje dwa rodzaje Polaków: Polak gotów umrzeć za swój

W. H. Bullock

## DOŚWIADCZENIA POLSKIE W CZASIE POWSTANIA 1863-4

(LONDON & CAMBRIDGE, MACMILLAN & Co. 1864)

Przełożył Janusz Jasińczyk

kraj i Polak, który czmychnie z twoim parasolem, jeśli znajdzie się sam w przedpokoju — Polak typu sławnego Tadeusza z Warszawy i Polak z notatek policyjnych. Większość z nas czytała o jednym, a nieliczni spotkali drugiego w prawdziwym życiu. Przyjmując powszechnie istnienie tych dwóch odrębnych klas Anglicy są jakoś skłonni ściągać w jedno cechy ich obu w przypadkach, które trafiają pod ich obserwację. I właśnie przez łączenie tych dwóch typów z dodaniem odrobinki logiki dochodzi od zjawisk, jakie miały miejsce w związku z wybuchem powstania w Polsce. Jesteśmy głodni w wyrażeniu naszej sympatii dla Polaków w ogóle, gdy tylko spodobą się im rzucić rękawicę swym prześladowcom, ale rezerwujemy sobie prawo pozostawiania nieufnymi w stosunku do poszczególnych Polaków. A ponieważ mniej niż jeden Anglik na dziesięciu widział na własne oczy Polaka i nawet nie jeden na sto z nim choćby raz rozmawiał, jest rzeczą oczywistą iż jakie by nie były nasze poglądy na polski charakter, mają w każdym razie znikomą wartość. A jednak gdyby było powszechnie wiadomym jak czujnie naród polski śledzi stanowisko Anglii, jak wielką wagę przywiązuje do wypowiedzi brytyjskich mężów stanu, powstałaby w nas od czasu do czasu pokusa poświęcenia jakiejś myśli ludzkiej, którzy interesują się tak poważnie naszymi słowami i czynami. Członkowie naszego parlamentu, którzy zbyt często zapominają że nie mówią tylko do angielskich słuchaczy, byłiby zdumieni znalazłszy każde swe słowo zanotowane w polskich gazetach.

Faktem jest że szeroka publiczność brytyjska przejmie się bardzo mało lub nie przejmie się wcale jakąkolwiek polityką zagraniczną. Uważam to za udowodnione okolicznością że Anglii przy urabianiu sobie poglądów na sprawy kontynentalne pozwalają się na ogół zbijać z tropu najdrobniejszym przypadkiem i nigdy nie zadają sobie trudu przywoić tego poinformowania się o danym przedmiocie. Są gotowi sympatyzować z Polską, z Węgrami, z Włochami czy Danią, ale nie potrafią powiedzieć z czym właściwie sympatyzują. Publiczność brytyjska uważa politykę zagraniczną za teren do błagowania. Każdy uważa się za uprawnionego do tworzenia sobie opinii gratis, to jest bez odpowiednich studiów. Jako naród jesteśmy tak pochłonięci interesami i polityką wewnętrzną, że żałujemy każdego strzępu czasu poświęconego na zdobywanie informacji na tematy zagraniczne. Dopóki ministrowie służą publiczności w sprawach wewnętrznych mogą robić co im się podoba w zagranicznych. Brytyjski kupiec po zjedzeniu dobrego obiadu, pozwoli się leczyć podniecającymi wiadomościami zza granicy i nawet ofiaruje funta ulb dwa, aby Polacy i Węgrzy mogli w dalszym ciągu rzucać się w paszczę lwa. Ale z chwilą, gdy tylko powstanie możliwość — jak to się mówi — wciągnięcia

3) Anglii w wojnę i uzyskania przez to jakichś konkretnych korzyści dla tych uciemiężonych narodów, natychmiast zapina swą kieszczę i z wielkim zadowoleniem czyta artykuły „Times'a” o pokoju za wszelką cenę.

I ja muszę się przyznać do winy podzielenia w najwyższym stopniu angielskiej ignorancji i beztrokski w sprawie polskiej. Przed niecałymi osiemnastoma miesiącami moja znajomość Polaków ograniczała się do przypadkowego spotkania z jednym z nich w pensjonacie w Heidelbergu i do wspomnienia o pewnej polskiej pani, która śpiewała swe pieśni narodowe w jednym z dworów wiejskich w Devonie. Ale w związku z tym nie można mnie oskarżyć o stronniczość na rzecz Polski w czasie, gdy przygotowywałem się do podróży. Jestem głęboko przekonany, że podobnie jak większość Anglików nie poświęciłem przedtem Polsce ani jednej myśli.

Mniej więcej przed dwoma laty spotkałem pierwszego w życiu Polaka. Doszło do tego w następujący sposób. Chcąc korzystać z konferencji niemieckiej postanowiliśmy z moją siostrą spędzić kilka tygodni w przypadkowym towarzysztwie, jakie się spotyka w niemieckim pensjonacie. Po przybyciu na miejsce zaalarmowała nas trochę wiadomość że wśród lokatorów znajduje się Polak. W owym czasie podzielałem powszechną w Anglii nieufność do Polaków i zacząłem się zastanawiać nad odwrotem. Byliśmy przygotowani na przypadkowych Niemców, lecz nie zależało nam na Polakach. Ostatecznie jednak postanowiliśmy dostosować się do sytuacji i pozostać tam na próbę. Tak się złożyło, że następnego dnia przy kolacji, gdy przedstawiono nas reszcie towarzystwa, dostaliśmy dwa miejsca przy owym Polaku, który przyczynił nam tyle obaw. Zająwszy krzesła pomiędzy moją siostrą i Polakiem rozpocząłem swe obserwacje. Ku mojemu zdumieniu jego strój i manieri wskazywały na doskonałego dżentelmana i zaczęło mi świtać w głowie, że na świecie istnieją Polacy różni od owych indywiduów w wyszarzałych płaszczach, o których ocieramy się w okolicach Leicester Square i przed których sztuczkami ostrzegał zazwyczaj swych studentów profesor logiki w Oxford, ten profesor, który został nabrany tylko raz w życiu i to właśnie przez Polaka. Powróciwszy do naszych pokoi, wymieniliśmy spostrzeżenia co do bezpodstawności naszych obaw w stosunku do naszego Polaka. A pod koniec tygodnia stwierdziliśmy że był on nie tylko najbardziej dżentelmeński, ale również najbardziej interesujący w konwersacji przy stole.

Podczas gdy moja osobista znajomość Polaków była tak ograniczona, wstydziłbym się w ogóle przyznać do bezmiaru mojej ignorancji w przedmiocie historii i geografii Polski, gdybym nie był świadom, że od nikogo nie oczekuję się choćby jakiejś takiej znajomości tych spraw. Niemcy i Rosjanie nieustannie głoszą że Polska przestała istnieć, a my w Anglii woleliśmy wierzyć tym oświadczeniom zamiast jeździć do Polski, by się samemu przekonać jak sprawy wyglądają naprawdę. Dlatego, gdy temat polskiej historii i obyczajów wpływał w rozmowach, był traktowany jako przedmiot o posmaku starożytnym, interesujący mniej lub więcej etnologów — na równi z dyseratacjami o innych wymarłych ludach, słowem jako sprawa bardzo mało, albo wcale nie interesująca polityka.

Dziś sam sobie prawie nie wierzę, że przed kilkoma zaledwie miesiącami moja znajomość historii Polski obejmowała tylko trzy fakty, o żadnym z których nie potrafiłbym dać zadawającej relacji: ocalenie Wiednia przed Turkami przez Jana Sobieskiego, upadek Kościuszki i śmierć księcia Poniatowskiego w wodach Elstery.

(Dalszy ciąg nastąpi)

JÓZEF GARLIŃSKI

### O klubach dla młodzieży

Mgr Goławski jest zdania, że godzin tych nie wolno spędzić w klubie, zorganizowanym specjalnie dla młodzieży.

Dlaczego? Dlatego (twierdzi mgr Goławski), że po pierwsze kluby organizowane są na wzór angielski i mogą nawet grozić wynarodowieniem, a po drugie, że zając się młodzieżą poza nauką ma prawo tylko szkoła sobotnia lub ewentualnie harcerstwo — nikt inny.

Pierwszy argument nie trafia mi do przekonania. Cóż z tego, że kluby dla młodzieży zostały zapoczątkowane przez Anglików? Byli oni także inicjatorami skautingu, pierwsi zaczęli grać w piłkę nożną. Czy z tego powodu mamy się wyrzec harcerstwa i jednego z najpopularniejszych sportów?

A wynarodowienie? Ono zależy wyłącznie od kierownictwa klubu. Z własnego doświadczenia wiem, że na przykład klub na Ealingu daje pełną gwarancję, że o jakimkolwiek atakowaniu polskości nie ma tam w ogóle mowy. Wręcz odwrotnie. Klub prowadzony jest przez Angielkę, mówiącą po polsku, która trzy córki i syna wychowuje w naszej tradycji. Daj Boże, by dzieci wszystkich, czysto polskich rodzin w W. Brytanii znaly tak dobrze nasz język.

na, ale nie znaczy to wcale, że nie mogą jej przejawiać także i rodzice w formie, którą sami uznają za stosowną. Walka o polskości toczy się przede wszystkim w rodzinnym domu.

Jeszcze słowo o wynarodawianiu. Najsukuczniejszym instrumentem są już zorganizowane polskie imprezy. Zabawa świąteczna ze św. Mikołajem, który wygłasza długie polityczne przemówienie, pogadanka, której prelegent przez dwie godziny nie może skończyć, lekcja historii, ograniczona do łzawych opisów narodowej martyrologii — oto wrogowie polskości naszych dzieci.

### CZYTAJ POLSKĄ KSIĄŻKĘ

PRZEKAZY PIENIĘŻNE DO POLSKI  
PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU TRANSFEROWEGO  
**HASKOBA LTD**  
121, ERLS COURT ROAD,  
LONDON, S.W.5. FRE 7888  
PACZKI WOLNE OD CŁA

### IŁE ZIEMI CHŁOPSKIEJ PRZYDZIELIŁ REŻIM PGR-OM?

Z miesięcznika warszawskiego „Biuletyn Statystyczny” dowiadujemy się, że w okresie od czerwca 1961 do czerwca 1962 roku powierzchnia użytków rolnych indywidualnych gospodarstw chłopskich w Polsce zmniejszała się o 113,400 hektarów, a powierzchnia spółdzielni produkcyjnych o 21,000 hektarów. Jednocześnie w tym samym okresie czasu powierzchnia użytków rolnych w PGR-ach (państwowych folwarkach) zwiększyła się o 156,000 hektarów.

Cytowany „Biuletyn” nie wyjaśnia co spowodowało te zmiany. Należy więc przypuszczać, że powierzchnia użytków rolnych w PGR-ach zwiększyła się kosztem indywidualnych gospodarstw chłopskich i kosztem spółdzielni produkcyjnych, które się rozleciały. Wiadomo bowiem, że podczas jesiennej akcji ubiegłego roku przemówienia przez reżim gospodarstw chłopskich za długi i podatki, ziemie tych gospodarstw (ponad 135,000 hektarów) przydzielił reżim niemal wyłącznie PGR-om. Ten sam los musiał spotkać również 113,400 hektarów w okresie od czerwca 1961 r. do czerwca 1962 r. Razem więc w ciągu półtora roku reżim „zpegeeryzował” 279,400 hektarów chłopskich użytków rolnych.  
(FEC)

POPIERAJ POLSKIE FIRMY

W „Dzienniku Polskim” ukazał się na początku marca artykuł mgr. M. Goławskiego pt.: „Szkoły czy kluby”.

Już sam tytuł artykułu stworzył kontrowersję i ustawił zagadnienie na płaszczyźnie polemicznej, czego rzeczywistość wcale nie wymaga. Mam syna, który kończy niedługo 16 lat, jestem więc dobrze zorientowany w trudnościach i problemach wychowania młodzieży na tutejszym terenie. Może uwagi moje zainteresują Czytelników.

Wymagania szkoły średniej są na terenie Anglii tak wysokie, że uczniowie w ciągu tygodnia nie mają w ogóle czasu na jakiegokolwiek inne zajęcia poza wykładami i pracą w domu. Do tego dochodzi jeszcze wojsko (szkolny korpus kadetów), które zajmuje każde piątkowe popołudnie i wymaga przygotowań lekcyjnych. W sezonie wiosennym i letnim niektóre sobotnie popołudnia poświęcane są na mecze sportowe, również dla ogólnego wychowania ważne. Dopiero na marginesie tych bogactw szkolnych zajęć odbywają się wykłady w szkołach sobotnich, zbiórki naszego harcerstwa, próby teatrów amatorskich, lekcje muzyki i tańca. Syn mój, który zdał właśnie język polski (O-lewel) zupełnie niezależnie od swej angielskiej szkoły, chodzi na lekcje prywatne, bo poziom sobotniej szkoły był już dla niego niewystarczający. Również prywatnie uczy się naszej historii i pobiera lekcje muzyki. Przy takim programie ile zostaje czasu na odprężenie się, na rozrywkę? Najwyżej kilka godzin tygodniowo.

**POGRZEB Ś.P. ALEKSANDRY PIŁSUDSKIEJ**

Pogrzeb śp. Marszałkowej Aleksandry Piłsudskiej stał się wielką manifestacją całej emigracji. Kościół św. Andrzeja Boboli w Londynie w którym odbyło się nabożeństwo za duszę śp. Zmarłej, wypełniony był po brze gi. Ok. tysiąc osób wypełniło jego mury biorąc w głębokim skupieniu udział w nabożeństwie odprawionym przez ks. inf. B. Michalskiego. Tuż przed rozpoczęciem mszy św. zajęta w pierwszym rzędzie miejsca rodzina. Dr Wandę Piłsudską wprowadził do kościoła gen. W. Anders, w którym Zmarła widziała zawsze Naczelnego Wodza PSZ i przywódcę Wolnych Polaków w całym świecie. Śp. Aleksandra Piłsudska bardzo swo interesowała się działalnością Zjednoczenia Narodowego z Radą Trzech na czele. Obok dr Wandy Piłsudskiej zajęła miejsce jej siostra, pani Jadwiga z mężem kpt. Andrzejem Jaraczewskim i z dziećmi 13-letnią Joanną i 8-letnim Krzysztofem. Miejsca za rodziną zajęli gen. W. Anders z małżonką, gen. T. Bór-Komorowski, przewodniczący Rady Jedności Narodowej dr T. Bielicki, przewodniczący Egzekutywy A. Ciołkosz oraz liczni przedstawiciele życia politycznego i społecznego. Przy dźwiękach marsza żałobnego Szopena wniesiono trumnę do kościoła. Trumna okryta była barwami orderu Virtuti Militari i pięknymi bukietami kwiatów od najbliższej rodziny. Po mszy św. wielki kondukt żałobny, składający się z licznych autobusów

i samochodów prywatnych, wyruszył na cmentarz Fulham North Shenn, gdzie ks. inf. B. Michalski odprawił ostatnie żałobne egzekwie. Nad otwartym grobem wygłosił przemówienie gen. Janusz Głuchowski, jeden z najstarszych żołnierzy, który brał w r. 1914 udział w sławnym patrolu Beliny (był jego zastępcą). Gen. Głuchowski jest obecnie prezesem Instytutu im. Marszałka Piłsudskiego w Londynie. Z Instytutem tym była Zmarła związana serdeczną przyjaźnią, biorąc żywy udział w jego działalności. Śp. Aleksandra Piłsudska wygłosiła w Instytucie kilkanaście relacji, nie przeto dziwnego, że właśnie prezes Instytutu żegnał ją serdecznymi słowami. Po przemówieniu pochyliły się nad trumną stundary i posypały się grdy ziemi... W czasie mszy św. śpiewał Chór Szopena pod dyr. Z. Gedla, a na organach grała pani Zofia Coughlan-Grynkiwicz. Przy trumnie pełniła straż młodzież z „Pogoni“ a z boku ustawiła się licznie młodzież harcerska w mundurach i ze sztandarem. Nad trumną Marszałkowej Piłsudskiej zebrano się całe społeczeństwo polskie, by oddać hold wdowie po Pierwszym Marszałku Polskim Józefie Piłsudskim. Uroczystości żałobne pozostały na wszystkich uczestnikach głębokie wrażenie.

**ZJEDNOCZENIE POLSKIE ...**

(Dokończenie na str. 4)

liście wysłany do viceprezesa Komitetu p. prezesa J. Jundził-Balińskiego, na ręce którego prof. B. Helczyński złożył rezugnację, pisząc m. in.: „...w dyskusji podkreślono (na walnym Zjeździe — przyp p.h.) że na Zjednoczenie Polskie spada w pewnym sensie odpowiedzialność za działalność Komitetu, albowiem Zjednoczenie Polskie jest inicjatorem powołania Komitetu...“. W liście tym z dnia 22 marca br. Zarząd Zjednoczenia prosi o zwolnienie prezydium Komitetu dla przedyskutowania tej i innych spraw. Mogę tylko dodać, że w wyniku tego listu odbyły się już konferencje między Zarządem Zjednoczenia a członkami prezydium Komitetu i władzami duchownymi. A że w dniach od 4 do 7 maja br. przebywać będzie w W. Brytanii — z okazji poświęcenia kościoła polskiego w Melton Mowbray — ks. arcybiskup J. Gawlina, najprawdopodobniej odbędą się w tym czasie posiedzenie pełnego prezydium Komitetu — z udziałem Księży Arcybiskupa. Na tym posiedzeniu Komitet przedstawi swój — opracowany od dawna — program pracy a w konsekwencji przystąpi do jego pełnego realizowania. Nie ulega wątpliwości, że Komitet ma do spełnienia wielkie zadania, bo już tylko 3 lata dzieli nas od Tysiąclecia chrztu Polski, projektów jest wiele a prace jeszcze więcej.

Na tym samym posiedzeniu zarząd przedyskutował problemy, które wyloniły się na Walnym Zjeździe oraz uchwały zjazdowe. Powołano specjalną komisję w składzie viceprezesi Z. Bieńkowski i J. Wawrzkiwicz, która z zainteresowanymi organizacjami członkowskimi Zjednoczenia opracowała w pierwszych dniach kwietnia nowy „Kalendarzyk Zbiórek“. Omawiano również działalność Komitetu Obchodu Tysiąclecia Polski Chrześcijańskiej oraz sprawę budowy „Domu Polskiego“. Na drugim zebraniu w dniu 28. 3. br. zarząd przedyskutował program pracy w obecnej kadencji.

Starłem się w tych czterech artykułach podać nieco wiadomości o działalności Zjednoczenia Polskiego. Domagam się tego na Zjeździe, aby częściej i szerzej informować na łamach prasy o tej działalności. Nie poruszyłem jeszcze wiele innych zagadnień. Być może że będzie na to okazja w ciągu roku.

Paweł Hęcik

Bezpośrednio po Walnym Zjeździe Zjednoczenia Polskiego odbyło się zebranie nowego zarządu, który ukonstytuował się następująco: P. Hęcik — prezes, Z. Bieńkowski i J. Wawrzkiwicz — wiceprezesi, S. Kolańczyk — sekretarz generalny, D. Gutmanówna — zastępca sekretarza, H. Niedziałowski — skarbnik, W. Kański, J. Oblamski, J. Płoski, A. Urbański, Cz. Woyno — członkowie. Do zarządu dokooptowana została p. I. Paluchowa.

**Miecz koronacyjny Zygmunta Starego**

KOMUNIKAT INSTYTUTU HIST. IM. GEN. SIKORSKIEGO

W zagrabionym w roku 1794 przez Prusaków Skarbie Koronnym na Wawelu znajdował się obok Łokietkowego miecza koronacyjnego, drugi miecz z napisem „Sigismundus Rex iustus“, którego „do pasowania rycerzy używano“. Był on później w posiadaniu Hohenzollernów, przechowywany na ich zamku Monbijou. Po wojnie ostatniej grono obywateli polskich na obywatelnie wykupiło go z handlu anty-

kwarskiego z funduszy własnych i publicznych i zdało pieczę nad mieczem i dalszym jego przechowaniem Instytutowi Historycznemu im. Gen. Sikorskiego w Londynie.

Zarząd Instytutu, po dojrzałej rozważce i zapoznaniu się z zdaniem wielu współobywateli, doszedł do przekonania, że właściwym miejscem przechowania tej drogiej pamiątki po Zygmuntach jest Wawel, gdzie znajduje się ona obok włóczni Bolesława Chrobrego i Łokietkowego „szczyrba“ jako trzecie ocalałe insygnium koronne. Zarząd zwrócił się przeto do Dyrektora Zbiorów Wawelskich o przyjęcie miecza na przechowanie, tak by był dostępny dla Narodu Polskiego.

W wykonaniu powyższej uchwały dnia 30 marca br., w Hótel Lambert w Paryżu, przekazano miecz Dyrektorowi Zbiorów Wawelskich, prof. dr. Jerzemu Szablowskiemu, który go przyjął na przechowanie na Wawelu. Dokument przekazania zaopatrzonej został w podpisy stron obu i licznych świadków.

**O AUTORACH**

**NA KOTWICZA**

Nie świętego dla Kotwicz, bo tylko siebie do świętych zalicza.

**„MIĘDZY PLOTKĄ“**

Jużes nie plotką, gdyś „Między plotką“.

**O JEŚMANIE**

Nie masz pana nad Jeśmana, cała jemu ziemia dana.

Stefan Legeżyński

**SOVIETICA**

**Menuet Chruszczow — Mao**

Coroczne zapowiedzi zerwania między Moskwą a Pekinem, które stały się od lat specjalnością sowietologii zachodniej, wtórowanej w tym punkcie przez wielu publicystów polskich, znowu się nie spełniły. Przeciwnie, mamy natomiast wstęp do wyrównania ideologiczno-taktycznych różnic, jakie się głównie między sowieckimi a chińskimi komunistami wyloniły, polegający na publicznej wymianie listów między obu czołowymi stolicami komunistycznego bloku. Wstęp jest tak ceremonialny, że słusnie nazwano go w prasie amerykańskiej „menuetem Chruszczow-Mao Tse-tung“, do czego ze swojej strony dodam, że ten menuet jest przez obu przywódców komunistycznych z pewnością głównie dla obserwującej go bacznie opinii światowej wykonywany. Inicytywą wyrównania różnic wysłała wprost z Pekinu i wyraziła się pierwotnie w idei zwolania ogólnej konferencji komunistycznych partii świata dla przedyskutowania spornej problematyki. Tej koncepcji Moskwa przeciwstawiła myśl dwustronnych rozmów sowiecko-chińskich, co Pekin przyjął, i zaprosił przedstawicieli sowieckich z Chruszczowem na czele do siebie, dokąd premierowi sowieckiemu miało być rzekomo po drodze do Kambodży. Okazało się jednak, że do Kambodży udaje się zamiast Nikity — Breżniew i skości Kreml zwrócił się do Mao Tse-tunga z uprzejmą propozycją przybycia do Moskwy w maju, kiedy w stolicy sowieckiej „panuje łagodny klimat“. Protokolarnie biorąc, Mao nie powinien odmawiać przyjazdu sowieckiemu Chruszczowowi, który odwiedzał Pekin trzykrotnie, podczas gdy Mao był dwa razy w Moskwie. Niemniej, jako że chiński „pierwszy numer“ uważa się po śmierci Stalina za pierwszego również w całym obozie czerwonym, nie uważa się jego osobistego przyjazdu za pewny. Spodziewana jest w każdym razie delegacja poważna, upełnomocniona do rokowań i potrzebnych uzgodnień, które wyznaczą kierunek ideologicznej ewolucji komunistycznego bloku na najbliższy okres. Nie będzie to zresztą

z pewnością uzgodnienie ścisłe ani sztywne, bo nie podobnego nie jest, ani Moskwie ani Pekinowi, potrzebne. Otworzy to nowy etap rozwoju, odpowiedni do dalszych celów oraz metod, jakie światowy komunizm uzna za najwłaściwsze.

**CZY NIKITA ZACHWIANY?**

Tymczasem Kreml robi na własnym podwórku wewnętrzne porządki „wiosenne“, które stanowią równocześnie przygotowanie do uzgodnień z komunistami chińskimi. Wzmocnienie dyscypliny partyjnej, głównie wśród artystów i pisarzy, a dalej ogólnej w rozluźnionym społeczeństwie sowieckim, któremu zawsze co jakiś czas trzeba przypomnieć knut policyjny i wreszcie na terenie gospodarczym, rolniczym i przemysłowym, gdzie obok normalnych niedomagań trzeba zwalczać wzmożoną demoralizację, coraz częstszymi wyrokami śmierci za finansowe przestępstwa.

Na tle tego ruchu w Sowietach pojawiły się też pogłoski o zachwianiu jakoby pozycji Chruszczowa, co puściło w świat komuniści włoscy, ale rzekomo z myślą o własnych, przedwyborczych (z końcem miesiąca odbędą się we Włoszech wybory parlamentarne) rozgrywkach. Przeważa opinia, że pogłoski te nie mają dostatecznego uzasadnienia. Wydaje się, że Nikita jeszcze swojej roli na Kremlu nie dograł do końca. Czerwony drut do Białego Domu może się okazać, chociaż nie nieodzowną... deską ratunku.

(s)

**KRONIKA TYGODNIA**

3 kwietnia

Gen. Menendez dokonał w Argentynie zamachu stanu. Zamachowcy nie chcą dopuścić do kandydowania w wyborach do parlamentu zwolenników b. prezydenta Perona. Zamach został stłumiony.

4 kwietnia

W Warszawie zmarła znana powieściopisarka Pola Gojawiczyńska, przeżywszy lat 67.

5 kwietnia

We Francji zakończył się 35-dniowy strajk górników.

Rosja Sow. przyjęła propozycję rządu amerykańskiego założenia bezpośredniego połączenia telefonicznego i dalekopisu między Moskwą a Waszyngtonem na wypadek powstania nagłego kryzysu politycznego czy wojskowego.

6 kwietnia

W północnym Laosie powstały na nowo walki między oddziałami komunistycznymi a oddziałami armii neutralnej.

W Waszyngtonie podpisany został układ między rządem amerykańskim i brytyjskim w sprawie zakupu przez W. Brytanię 100 pocisków „Polaris“ dla brytyjskich atomowych okrętów podwodnych.

7 kwietnia

W. Brytania znajduje się w przededniu strajku generalnego kolejarzy, protestujących przeciwko planom zamknięcia około połowy stacji kolejowych i poważnej redukcji personelu.

W Londynie odbył się pogrzeb śp. Marszałkowej Aleksandry Piłsudskiej.

**PRZEGLĄD WYDAWNICTW**

**POLAND AND GERMANY** — kwartalnik Związku Polskich Ziem Zachodnich w Londynie, wydany z pewnym opóźnieniem (za co wydawcy w załączonej ulotce przepraszają czytelników) za ostatni kwartał ub. roku. Jest to już 22 numer wydawany pod redakcją red. A. Dargasa i zawiera ciekawy artykuł wstępnego pióra znane go publicysty i polityka Stronnictwa Narodowego, Zygmunta Berezowskiego. W artykule p.t.: „Dr Adenauer's record“ omawia autor erę rządów kanclerza Adenauera oraz politykę Niemiec zachodnich wobec Polski i jej granic na Odrze i Nysie. J. Zaremba pisze o stratach materialnych i ludności Polski w czasie ostatniej wojny. W dziale recenzyjnym książek piszą: S. Biegański o książce Hansa Roosa (Geschichte der polnischen Nation), M. Bogdański o książce T.H. Tents'a (The New Germany and the Old Nazis), L. Koczy o książce H.E. Kaplana (The first Partition of Poland) i J. Garliński o głośniejszej książce o Powstaniu Warszawskim pióra Hans von Krannhalsa. Kwartalnik uzupełnia dział dokumentacyjny i głosów prasowych.

zwiełonego Kraju, przymykająca o czy na wolność, milcząca o Lwowie i Wilnie, zdolna będzie wykrzesać z siebie siłę protestu na skalę światową przeciwko ludobójstwu, którego terenem jest jej własny kraj, jej własny naród“.

Poza prezeską Zjednoczenia piszą: J. Surynowa-Wyczółkowska (Argentyna), dr Marya Kastarska (Francja), Zofia Bohdanowiczowa (Kanada), Danuta Kossowska (USA), Janina Kościakowska (Francja) i inne. Nieunikniony jest oczywiście dział: „Moda i uroda“ i dział praktycznych porad.

**WYCHOWANIE OJCZYSTE** — zeszyt 1/44 — styczeń, luty 1963 wydawane przez Polską Macierz Szkolną dla nauczycielstwa i rodziców. To bardzo praktyczne i doskonale redagowane wydawnictwo naprawdę spełnia swoją rolę. Na wstępie nawiązuje do rocznicy Powstania Styczniowego, publikując interesujące dokumenty z epoki Powstania, uzupełnione inscenizacją opracowaną na podstawie materiałów zawartych w dawniejszym artykule o J. Jarzębowskiemu p.t.: „Traugutt i jego dzieci“. Z innych materiałów wymienić należy lekcję ilustrowaną na temat Konstytucji 3 Maja M. Goławskiego, następnie dział: sprawy nauczycielskie — redagowany przez Zarząd Koła Londyn Zrzeszenia Nauczycielstwa Polskiego za Granicą. Słusznie przypominano rolę Związku Harcerstwa Polskiego i zacytowano rozporządzenie Rady Ministrów z dn. 8 kwietnia 1936 stwierdzające, iż ZHP jest stowarzyszeniem wyższej użyteczności. Numer zamyka serdeczny apel redaktora Wychowania Ojczyście o nadsyłanie artykułów i konspektów lekcyjnych itp. „Wszystkim nam chyba zależy — czytamy — aby Wychowanie Ojczyście doczekało się 10-lecia swego istnienia i ukazywało się nadal. Dokonać tego możemy wspólnym wysiłkiem“.

(p.h.)

CENA EGZEMPLARZA: w W. Brytanii sh. 1/3 — we Francji NF. 0.75 — w Austrii 1.60 Sch — w Belgii 7 br b. — w Holandii 60 cent. — w Niemczech 60 Pf — w Portugalii 3 esc. — w Szwecji 90 öre — we Włoszech 60 lir. — w Australii A 1sh 9d. — w Argentynie \$0.20 (w przeliczeniu) — w Kanadzie 20 cent. — w Stanach Zjednoczonych 20 cent. — w Szwajcarii 60 cent.

PRENUMERATA (opłata za przesyłkę lotniczą wg taryfy płatna z góry) Zamówienia i należności przyjmują: W W. Brytanii: „Gryf“ Publications Ltd., 169-171, Battersea Church Rd., London, S.W.11; miesięcznie 6/-; kwartalnie 16/6, rocznie £3.00. Zmiana adresu 1s. — W Belgii: miesięcznie frb. 25; kwartalnie frb. 75; M. J. Korab-Brzozowska-Csaky 116, rue Joseph II, Bruxelles 4; wpłacać na rachunek pocztowy: J. Korab-Brzozowska-Csaky nr. 415/20, podając swój dokładny adres. — FRANCJA: N.F.: kwart. 8.00, półr. 15.00 rocznie 28.00. Admin. „Syrena“ 20, rue Legendre, Paris 17. Konto poczt.: Edit. ELKA-Paris 5507-30; „Libella“ Librairie, 12 rue St. Louis-en-l'Île Paris IV; nr. konta poczt. Paris ce 565150. Francja Północna: inż. Eugeniusz Tuszewski, 107 rue Royale Lille (Nord) tel. 568-50. Dep. Bouches-du-Rhône, Var, Vaucluse: Stefan Horodyski, Ecole des Filles, La Penne sur Huveaune (Bouches-du-Rhône) — W HOLLANDII: mies. fl. 2.00, kwart 5.50, wpłacać przez poczt.: Fr. Małecki, Tulpenlaan 17, Lindenheuvel, Geleen (L.) — W NIEMCZECH: St. Mikulicz (13b) München, 45, Gableznerstrasse 7/1. — W NORWEGII: koron: mies. 4, kwart. 10, rocznie 36; Narvesens Kiosk Kompanii Post box 115, Oslo. — W PORTUGALII: kwart 35 esc., rocz. 120; A Zielniński Lisboa, Central Caixa, Post Nr 110. — W SZWAJCARII: fr. szw. mies 2.00 kwart 5.60; Maria Wasung, 6 rue des lilas Genève i Janusz Rakowski Malnaustr 28, Zurich. — W SZWECJI: koron: mies 3.60 kwart 10.00 rocz 36.00, Polski Komitet Pomocy Jungfrugatan 30/11, Stockholm. — WE WŁOSZECH: lirów: kwart 7.00; W Zahorski Associazione Combatt Polacchi Via Licita 19-9 Roma; należność wpłacać przekazem poczt. — W ARGENTynie: prenumerata roczna \$8.00 (w przeliczeniu); Tadeusz Dąbrowski „Libreria Polac“ Serrano 2076 Buenos Aires. — W BRAZYLII: półrocznie \$4.00, rocznie \$8.00. — W AUSTRALII: „Vistula“ (Australia) Pty Ltd. Dakings House Rawson Place Sydney; „Spolem“ 64 Tapleys Hill Rd. Royal Park Adelaide SA.; R Gronowski 23, Clifton Str., Richmond E.1 Vic kwart £1.00A rocznie £3.15.0A. — W KANADZIE: rocznie \$8.00; „Gryf“ London. — W P.I.D. AFRYCE: kwart 16/6 rocznie 60/-; prenumerata przyjmując bezpośrednio „Gryf“ Publications Ltd. — W STANACH ZJEDNOCZONYCH: prenumerata kwartalna: \$2.10 półroczna: \$4.00. Przedstawicielstwa: J. Bieńkowski, 627, Tracy Street, Utica, N.Y., Polish American Book Co., 1136 Milwaukee Ave., Chicago 22, Ill.; „Księgarnia Ludowa“ L. Zukowski, 5347 Chene St., Detroit 11, Mich., USA; „Polinvalco“, 1029, Cuba St., Toledo, 17, Ohio i 6947, Oregon Ave., La Mesa, via San Diego, Calif.

CENA OGŁOSZEN: za jeden cal przez jeden tam £15.00 wzgl. 1 cm przez jeden (am NF. 7.50) Przyjmuje: GRYP PUBL. LTD., 171, Battersea Church Rd. London S.W.11; Adm. „Syrena“ 20 rue Legendre, Paris 17, tel WAGRAM 0045; Carlton Berry Ltd., Gr. Buildings, Trafalgar Sq. London W.C.2; lub Odra Press Ltd 20 Queens Gate Ter. S.W.7. Tel. KNI 6855. Nadestanych rękopisów Redakcja nie zwraca. Za treść ogłoszeń Redakcja nie bierze żadnej odpowiedzialności. Adres Redakcji i Administracji: „Gryf“ 171, Battersea Church Rd. London S.W.11. Tel. BATTERSEA 1445. We Francji: „Syrena“ 20 rue Legendre, Paris 17. Tel. WAGRAM 0045. Konto pocztowe: ELKA cc. Paris 5507-30.